

AP - Kraków BG



1050072301

TEKA DOWA

Nr. 23

Serja I

Z CZARTORYSKICH
MARJA Ks. WIRTEMBERSKA

MALWINA

CZYLI

DOMYŚLNOŚĆ SERCA

OPRACOWAŁ.

KONST. WOJCIECHOWSKI

WRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA





Scena po kłótni, z domu, gdzie się rozgrywa IV

a twoga, ockal, rychtę one słowo wypraszam

2 - W
MARJA ANNA Z KS. CZARTORYSKICH
KSIĘŻNA WIRTEMBERSKA

MALWINA

8 - 15
CZYLI

DOMYŚLNOŚĆ SERCA

Z WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI
KONSTANTEGO WOJCIECHOWSKIEGO
PROF. UNIWERSYTETU LWOWSKIEGO.

18702
Sporządzone
spójne

3A 000 3
K R A K Ó W
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ



27 159



2 BIBL. AP.

200..... K

9,00

W S T Ę P

I

KSIEŻNA MARJA

Pierwsza to, obdarzona wcale wybitną już zdolnością twórczą, poprzedniczka znakomitych, późniejszych autorek polskich — autorek powieści. A równocześnie postać niezmiernie sympatyczna, gorąca Polka, obywatelka, z szlachetnością duszy wrodzoną, gotowa do poświęceń, umysł subtelny, wrażliwy. Wychowały Marję i rozmaite struny jej wnętrza duchowego wyczuliły: atmosfera puławska, wpływ najbliższej rodziny, obfita lektura, ale także tragedia życia narodu i życia własnego.

Urodziła się Marja w roku pamiętnym w dziejach Polski, 1768, dnia 15 marca. Ojciec, Adam Kazimierz, generał ziem podolskich, komendant Korpusu kadetów, później członek Komisji Edukacyjnej i poseł na Sejm czteroletni, jest osobistością w dziejach Polski zbyt znaną, by szerzej trzeba było o nim mówić. Zasłużył się nie tylko jako znakomity obywatel, ale również jako pisarz. On to jest twórcą *Katechizmu moralnego dla uczniów Korpusu kadetów*, obok tego zaś autorem szeregu komedyj i znanych współcześnie dobrze *Myśli o pismach polskich*. Matka Marji, Izabella, z domu Fleming, choć zrazu — jako młodziutka mężatka — myślała głównie o zabawach i przyjęciach, z czasem spoważniała bardzo i przejęła się mężowskim duchem obywatelskim: jej przecie zawdzięczała swe powstanie słynna „Świątynia Sybilli“. Gorliwie też — wiadomo o tem dobrze — poczęła się opiekować ludem wiejskim — założyła szkołkę w Puławach, nadto, jak i mąż,

książę-general, i piórem pragnęła być użyteczną, pisząc *Ksiązkę do pacierzy* (dla szkółki puławskiej), historję Polski p. t. *Pielgrzym w Dobromilu*, książkę *O ogrodach*. Brat Marji, Adam Jerzy, walczył w roku 1792 przeciw Moskwie: brał udział w bitwie pod Grannem i Połonnem. O jego uczuciach narodowych świadczy *Bard polski*, a wymowniej jeszcze trud całego życia.

W takim to środowisku rodzinnem najbliższem plynęła młodość księżniczki. Prawda, zrazu księżna-matka niewiele zajmowała się wychowywaniem dzieci: powierzono jej, uwiecznionej przez Norblina, niejakiej pannie Petit, a tylko języka francuskiego miała uczyć Marję matka sama. Nie należy jednak sądzić, by o kształcenie księżniczki nie troszczono się; owszem, dano jej osobnego nauczyciela do historii polskiej, literaturę zaś polską poznała pod kierunkiem Książnina, który — jak wiemy — był jakby nadwornym poetą księstwa Czartoryskich, w cichości serca kochał się w swej uczenicy i chwałę jej głosił w trzech poematach (w *Balonie* — tam księżniczką jest Tamia; w odzie, napisanej na cześć Marji, p. t. *Amarylla*; i w *Rozmarynie*). Ale silniej, niż nauczyciele, oddziaływała na księżniczkę wspomniana atmosfera dworu puławskiego. Nie zapominajmy bowiem o innych, prócz Książnina, poetach, o malarzach, którzy gościli w Puławach czasowo lub stale, o przedstawieniach teatralnych, stylowych festynach, słowem, o treści i kształtach życia polskiego Wersalu. W gabinecie księcia-generalu robiła się wielka polityka; na przyjęciach i festynach o polityce mniej mówiono, zato dbano o styl: o pewien gest, o barwę wyrażen, o to, by słowa były obrazem sentymentu uczuć. Panowała tam bowiem atmosfera „sentymentalna“. Ważne momenty dziejowe mąciły jednak tę idyllę dworską, wносиły żywioł rycerski, czasem tragiczny. A że Puławy były pulsem całej Polski, głęboka świadomość wszystkiego, co naród przeżywał, tam się najsilniej ujawniała. Wszystkie te zaś elementy chłonięła w siebie wrażliwa, w pewnej mierze nawet egzaltowana, dusza księżniczki.

Tymczasem zbliżała się tragedia osobista. Młodziutką Marję, kiedy skończyła ledwie lat szesnaście, wydano (w r. 1784, 28 października) za Ludwika, księcia Wirtembergji. Chodziło o osiągnięcie celów politycznych, o akcję w związku z przymierzem z Prusami i inne plany, książe Ludwik bowiem miał protektora w osobie Fryderyka II. W poemacie Książnina *Rozmaryn*, gdzie księżniczką jest Amarylla, a Lindorem książe Wirtemberski — Amarylla w „sporze zmuszonych myśli“, mimo westchnień Lindora, nie wie, czy ma mu oddać swą rękę, ale wkońcu „umysł smutnie wahany“ nakazuje sercu miłość. W rzeczywistości serce milczało, nawet i wtedy, gdy księżna Marja wyjechała już jako mężatka wraz z małżonkiem do jego posiadłości. Gdybyż tylko milczało! — gorzej, bo buntowało się. Teraz to właśnie rozpoczyna się męka jej życia. W małżonku nietylko nie znalazła ideału, ale nawet choćby człowieka, w pożyciu znośnego. Książe Ludwik był zaprzeczeniem wszelkich ideałów. Osłoda smutnej doli miał się stać syn, Adam, który przyszedł na świat w r. 1792 (16 stycznia) w Puławach, lecz błyskawice, które pojawiły się na horyzoncie politycznym, oderwały wzrok matki od kolebki, tem snadniej, że w działaniach wojenno-politycznych miał wziąć również udział jej mąż. Wybuchła wojna. Armja rosyjska w obronie Targowicy wkroczyła w granice Rzeczypospolitej, książe Wirtemberski miał dowodzić armją litewską. Ale z wyjazdem, mimo „słowo“ dane królowi, zwlekał, a gdy na rozkaz komisji wojskowej podążył wreszcie na Litwę, to poto tylko, by udawać chorobę lub zmyślać inne przyczyny beczynności. Przejęte listy wskazywały, że porozumiewał się z królem pruskim, że słuchał jego poleceń. Można sobie wyobrazić rozpacz w domu księstwa Czartoryskich i grozę i wstyd, jakie objęły niešťęsną księżnę Marję. Zażądała rozvodu, zamknęła się w klasztorze Sakramentek. Tymczasem król odebrał księciu Wirtemberskiemu dowództwo, ale armja litewska, niezorganizowana, poniosła klęskę. Książe Ludwik wyjechał

do Berlina, księżna Marja osiadła przy rodzicach w Puławach.

Jakkolwiek jednak nieszczęścia narodowe i osobiste wstrząsnęły głęboko księżną Marją, nie złamały jej. Ukojenie znachodziła w dzieleniu prac matki, w spieszeniu z pomocą wieśniakom, a jak się domyślać wolno, także w literaturze. Jak odczuła powrót legjonów, jakiej nadziei i jakich trwóg doznawała, gdy poczęły dochodzić wieści z placu boju w epoce Księstwa Warszawskiego, to się da wyczytać z kart *Malwiny*.

Pisała ten romans w Warszawie, gdzie przebywała od 1810 r. w charakterze „dozorczyni“ (wizytatorki) pensyj i szkół żeńskich. Tam też wydała go bezimiennie w r. 1816, ale dla współczesnych nie było tajemnicą, kto jest autorką, w szczególności zaś wiedział o tem świat literacki (księżna Marja wydawała w Warszawie obiady literackie). Powodzenie romansu było bardzo znaczne i ono też może zachęciło księżnę do dalszej pracy autorskiej. Mianowicie przy końcu *Pielgrzyma w Dobromilu* (1818) znachodzimy pięć „powieści wiejskich“, pierwszych powiastek, pisanych wprost dla ludu — pióra księżny Marji. Wszystkie treści moralizującej.

Dlaczego chlubnie rozpoczętej pracy autorskiej zaprzestała, trudno powiedzieć — może zabrakło podniecającej twórczość atmosfery.

¹ Listy księcia Ludwika Wirtemberskiego do b. adjutanta książęcego, generała Michała Franciszka Wedelstäda, z czasów od r. 1792–96, pozwalają poznać, że książę używał wszelkich środków, by się z żoną pojednać, stwierdzają jednak równocześnie, że to, co tradycja utrzymuje o jego charakterze, ma swe uzasadnienie. Oryginały listów są obecnie w posiadaniu prof. Ludwika Finkla, który otrzymał je od prof. Antoniego Gluzińskiego (temu zaś znów ofiarował ów zbiór syn generała). Książę Ludwik ożenił się powtórnie w r. 1797 z Henrjetą, córką księcia Karola v. Nassau-Weilburg. — Umarł w r. 1806, jako książę panujący. (L. A. Cohn: *Stammtafeln zur Geschichte der deutschen Staaten...* Braunschweig, 1871). Syn księcia Ludwika i księżnej Marji, Adam Karol Wilhelm, wychowywał się przez czas krótki przy matce, poczem odebrał go ojciec. Służąc w wojsku rosyjskiem, w r. 1831 oblegał i bombardował Puławy.

Przebywała księżna (po r. 1831) kolejno w Małopolsce i za granicą (w Wiedniu i w Paryżu). Słynęła z dobroczynności, której nie umniejszyła strata majątku. Umarła w r. 1854 (21 października). Typ kobiety-Polki nawskróś szlachetny, uduchowiony, wznoszący się wysoko ponad współczesny poziom. Głęboka religijność i gorący patryjotyzm, jak niemniej miłość ludzi, dodały jej sił do znoszenia nieszczęść, wysoka kultura i żywa wyobraźnia pozwoliły zająć obiektywne stanowisko wobec przeżyć i wcielić je — częściowo — w kształt artystyczny.

II

ROMANS W POLSCE PRZED „MALWINĄ”

Romansu nowożytnego Polska przed *Przypadkami Mikołaja Doświadczyńskiego* (1776) nie znała — znała „romanje”, opowieści heroiczno-fantastyczne, dbające nie o prawdę, nie o postać rzetelnie nakreśloną, obyczaj wiernie chwycony, sytuację zewnętrzną czy wewnętrzną, w której wyraziłyby się charaktery ludzkie i uczucia tudzież procesy uczuciowe, lecz o zajęcie wyobraźni czytelnika nadzwyczajnością scen czy pomysłów. Powieść nowożytna zaś tem właśnie różni się od swej poprzedniczki, że zbliża się do życia. Raz zwróci główną uwagę na stronę obyczajową, innym razem na zagadnienia psychologiczne, nierzadko oba zadania połączy. Odbije się zaś w niej silniej, niż w dawniejszym typie, indywidualność twórców. Echa tego dawnego typu (w szczególności przygód dziwnych) odezwą się jeszcze nieraz, przygłuszając czasem nawet nową treść wewnętrzną, co więcej: sensacja stanie się w pewnem odgałęzieniu romansu nowożytnego żywiołem dominującym, ale z sensacją połączy się chęć wywołania nastroju, a postaci nawet w romansie sensacyjnym będą przecież kreślone tak, by mówiła przez nie prawda uczuć.

Krasickiemu przy tworzeniu *Przypadków*, podniętą była lektura „domowej” powieści angielskiej, w silniejszej

mierze „powiastki filozoficznej“ Woltera: *Kandyd*, nadto — obok innych dzieł — Robinson i utopje. Najwydatniej zaznaczył się wpływ *Kandyda*, w którym naprawdę dadzą się odnaleźć te trzy typy romansu, jakie tworzą trzy księgi *Przypadków*; nowożytna powieść obyczajowa, dbająca o prawdę charakterów i sytuacji, oparta o obserwację, o realizm rysów, następnie utopja (typ dawny, rozgałęziony na Zachodzie w liczne konary), wreszcie „awanturnicze przygody“ (również typ dawny z niemałą zdolnością regeneracyjną). Ale te trzy typy, z których piętno nowożytności ma naprawdę tylko pierwszy, łączy wspólny problem wychowawczy. Bo nastrój (satyryczny) i dowcip (świetny), nadające w części pierwszej *Przypadków* barwę powieści, w częściach dalszych odzywają się tylko słabem echem. *Przypadki* wszelako to romans bez romansu, przygody pana Mikołaja i Julji nie obchodzą czytelnika nic, albo bardzo mało, motywem konstrukcyjnym jest nie miłość, lecz — jak w powieści awanturniczej — podróże i przygody bohatera.

Podobnie w księdza Michała Krajewskiego *Wojciechu Zdarzyńskim* (1785), stworzonym na obraz i podobieństwo imci pana Doświadczyńskiego. I tu na czoło wysuwa się problem wychowawczy, i tu nie brak rysów realistycznych, zrodzonych z obserwacji, i tu są trzy typy romansu — bez romansu, i tu motywem konstrukcyjnym jest podróż, a celem satyra, walka na dwa fronty przeciw sarmatyzmowi i szlachowi wieku oświecenia.

Zupełnie zaś już brak wątku romansowego w Krasickiego *Panu Podstolim* (cz. I. 1778, cz. II. 1784, cz. III. 1802), co tem dziwniejsze, że w powieści odzwierciedlił się wpływ pilnej lektury Russa *Nowej Heloizy*. Ale Krasicki zużytkował z płomiennych dziejów serc tylko te partje, w których autor *Emila* roztacza obraz wzorowego gospodarstwa, wszelkiego sentymentu wystrzegając się jak djabeł święconej wody.

Nie pogardził nim natomiast, w nowym romansie, szukający stale natchnień w twórczości księdza biskupa,

ksiądz Krajewski i w *Pani Podczaszynie* (1786) w partjach erotycznych naśladował nietylko styl *Nowej Heloizy*, ale i schemat wątku miłosnego. Czynił to jednak poto, ażeby zwalczać Russa — przy pomocy Russa. Nie obrona praw serca bowiem, z taką żywiołowością głoszona w pierwszej części „listów dwojga kochanków“, przemówiła do psychiki naszego autora, nie postulat analizy uczuć, lecz część druga romansu, dydaktyczna, i *Panią Podczaszynę* pisał w tym celu, by wykazać, że głos serca trzeba stłumić, gdy każe tak uczynić głos inny, głos obowiązku. A raczej nie w tym celu pisał romans — był to cel uboczny tylko, — celem istotnym była dla ks. Krajewskiego propaganda aktualnych wówczas haseł społecznych, w szczególności walki z pańszczyzną.

Bo tendencja społeczna staje się wogóle głównym motorem twórczości naszych powieściopisarzy w dobie Stanisławowskiej. Ona była piastunką *Pana Podstolego*, w jej służby zaprzęgnię się w dalszym ciągu ks. Krajewski w *Leszku Białym*, jak i w romansach swych księża Jezierski i Kossakowski. Powieść nasza chce być „użyteczna“ (tem pragnie okupić grzech swój pierworodny), idzie w parze z publicystyką społeczną, toruje drogę tym reformom, które skryształizują się w uchwałach Konstytucji 3 maja. To jej chwała i zasługa, ale równocześnie także jej słaba strona, nie tyle bowiem o artyzm chodzi jej autorom, ile właśnie o „pożytek“. To też jest to raczej publicystyka, przybrana w szatę powieściową.

Charakter naszego romansu zmienia się w wieku XIX. Zrazu milczenie, spowodowane katastrofą narodową; rychło jednak poczną się pojawiać pierwsze zwiastuny przełomu w pojmowaniu celu powieści. Zmienia się jej typ i szybko się różniczuje. W *Wyborze powieści moralnych i romanśów* Józefa Lipińskiego (20 tomików, 1804/5) bohater jednego z romanśów (*Halina i Firlej czyli Niebezpieczne zapamięty*) przypomina już kochanków z powieści sentymentalnych. Autor wziął sobie za wzór którąś z licznych „werterjad“, może francuskich, Firlej bowiem ma już po-

ciąg do samotności, jego uczuciowość moglibyśmy nazwać chorobliwą, a jego pesymizm — echem pesymizmu postaci, które nigdy kontusza nie przywdziewały. Sentyment jest w Cypriana Godebskiego *Grenadjerze filozofie* (1805), ale sentyment to swoisty, współdźwięk z piosnką o żołnierzu tułaczem. Tendencja społeczna, odzywająca się sporadycznie, zwraca się przeciw okropnościom rewolucji francuskiej, ale silniej rozlega się ton tendencji patriotycznej, tego zatem żywiołu, który tak znamienne barwę nada większości produkcji literackiej w dobie porozbiorowej, Księstwa Warszawskiego i późniejszej. W tok opowieści wplecione obrazy natury — dwojakie: natury „miłej“ i budzącej grozę, przytłaczającej. Ostatnie wiodą autora do snucia refleksyj moralno-filozoficznych.

A wnet znów typ inny: romanse Anny z książąt Radziwiłłów hrabiny Mostowskiej (1806, 1807, 1809), konar bujnego drzewa powieści „sensacyjnej“, motywów romantycznych w rodzaju „tajemnicy, grozy i upiorności“, z światem zagrobowym, z widmami, z pierwiastkiem cudownościowym (lub cudownościowym pozornie), z efektownymi dekoracjami (rozwaliska, burze piorunowe), z intrygą skomplikowaną. Romans taki krzewił się w Anglii w ostatnich dziesiątkach XVIII wieku (Walpole, pani Radcliffe, Lewis), i stamtąd to Mostowska czerpała natchnienie, posługując się przekładami francuskimi, a równocześnie nie gardząc wzorami, jakie znalazła w romansach pani de Genlis. Bo pod działaniem lektury tej właśnie autorki rozmawiała się nasza powieściopisarka w dekoracyjnej stronie średniowiecza, w turniejach i skry złote siejących pancerzach. Obrazy natury mają u Mostowskiej charakter konwencjonalny, ale zadaniem ich bywa również wywołanie pewnego nastroju lub też stworzenie paralelizmu z nastrojem już wytworzonym. O ile mają być środkiem wzruszeniowym w pierwszym znaczeniu, przystosowują się do tła sceny, a więc inne są przed scenami miłosnymi, inne przed pełnami grozy i t. d. Do wydobycia efektów świetlno-nastrojowych służy jej najczęściej księżyc. W przedmowie —

z pewnem zażenowaniem — usprawiedliwia się autorka z tego, że romanse jej nie są użyteczne. Silne echa wyobrażeń XVIII wieku. Choć nawiązywała do przeszłości dziejowej, czuła brak związku romansów swych z życiem i w tem miała słusność, nie rozumiała jednak, że „użyteczność“ nie jest równoznacznikiem dydaktyzmu.

Nie dydaktyka społeczna i nie sensacyjność, lecz chęć oddania namiętnych uczuć, nie dających się okiełznać rozumem, kierowała Ludwikiem Kropińskim, gdy pisał swą powieść p. t. *Julja i Adolf czyli Nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru*. Ogłosił ją autor dopiero w roku 1824, ale wnet po napisaniu powieść krążyła w odpisach i dobywała strumienie łez z oczu czytelniczek. *Julja i Adolf* jest jednak nie tylko obrazem uczuć namiętnych, jest także ich apologją. „O pismach serca — woła autor w przedmowie — powinno wyrokować serce, kierowane dokładną znajomością serc ludzkich“. Czy jest tam ta dokładna znajomość, to sprawa inna, ale jest dążenie, jest ambicja. Na kartach romansu zapanował wszechwładnie t. zw. styl sentymentalny, kopja z Russa *Nowej Heloizy*, z wykrzyknikami, skargami, pytaniami, kopja niezbyt udatna, ale znów świadcząca o ambicji autora, by dać nowy typ stylu. (Próby jego były już w *Pani Podczaszynie*). Obok Russa naśladuje Kropiński w częście także Wertera Goethego, biorąc z niego epilog, a niektórymi rysami Werterowskiemi obdarzając przyjaciela bohatera, Mirosława. Naśladuje też „Werterjady“ z ich typowemi motywami.

Więc była w Polsce przed *Malwiną* i powieść obyczajowa, rysy realistyczne czerpiąca z życia (przytem silnie tendencyjna, walcząca w obronie wyznawanych przez się dogmatów społecznych) i sensacyjna i „sentymentalna“, russowsko-werterowska, wysuwająca na czoło zagadnień podpatrywanie i odtwarzanie „gwałtownych“ uczuć, w bardzo skromnej mierze celem ich analizy, w większej — ażeby wzruszyć niemi czytelnika. Odezwała się i nuta patryjotyczna, o niezmiernem przywiązaniu do ziemi rodzinnej mówiąca (u Godebskiego), i rycerska (u Mostowskiej). Po

tych romansach dostali czytelnicy w roku 1816 do rąk *Malwinę* czyli *Domysłność serca*.

III

„MALWINA“

Autorka o swej powieści. „Nie ma ona (*Malwina*) — pisze autorka — innej zalety nad tę, że w ojczystym języku pierwszym jest w tym rodzaju romansem. Gdyż romanse Krasickiego, Jezierskiego i t. d. opisują zwyczaje naszych ojców i dziadów; lecz bynajmniej nie malują obrazu teraźniejszego społeczeństwa. Ten obraz w *Malwinie* nie jest ani doskonałym, ani dokończonym; lecz będąc pierwszym, wzbudzi może ciekawość...“ O czym świadczą te słowa? Oto, że według autorki problemem artystycznym powieści miało być odtworzenie obrazu współczesnego „społeczeństwa“ (*société* — towarzystwa, powiedzielibyśmy raczej dzisiaj), skreślenie obyczajowej strony tego towarzystwa. Powieści, któraby ten cel miała na oku, nie było istotnie — autorka zapragnęła tę lukę wypełnić. Równocześnie zaś chciała dowieść, że język polski nadaje się do odtworzenia takiego obrazu, o czym zresztą zapewnić trzeba było głównie dlatego, iż znano niemal wyłącznie romanse francuskie.

Ale z przedmowy da się wyczytać jeszcze coś więcej: przekonanie, że romans jest to jeden z niższych rodzajów literackich, ponieważ inne są — użyteczniejsze. To samo ciągle pokutujące nieporozumienie... Wszelako jest i pociecha: i romans może być „korzystnym“, boć „pod pokrywką“ zabawy może dać „przepisy, prawdy, nauki...“. Zresztą, kto się w romansie ujrzy i spostrzeże „błędy, w które wpadał“, dzięki snuciu refleksyj może dojść do przeświadczenia, że „działać dla cnoty, jest to... działać dla szczęścia“. Więc jednak zawelonowany utylitaryzm... Nie sama przecież księżna Marja żywiła pewne skrupuły i w wskazany sposób szukała usprawiedliwienia, to samo

czynili u nas jej poprzednicy, a we Francji Prévost w przedmowie do *Historji Manon Lescaut* zapewniał czytelnika i siebie, że „osoby, zdrowo myślące, nie będą uważały dzieła tego za bezużyteczną pracę“, bo w powieści jego znajdują się wydarzenia, które będą mogły posłużyć „ku poprawieniu obyczajów“, a „niemałą oddaje usługę czytelnikom ten, kto uczy ich wśród zabawy“; co więcej „przykład“ posłuży wielu „za wskazówkę w wykonywaniu cnoty“. Na szczęście w toku tworzenia nie pamiętali ani Prévost, ani księżna Marja o tym zewnętrznym proklamowanym przez się motywie twórczości i myśleli więcej o przedmiocie, który zajął ich wyobraźnię, niż o ucnотliwieniu czytelników.

Chodziłoby jeszcze o to, czy autorka, nazywając *Malwinę* pierwszym w języku ojczystym „w tym rodzaju romansem“ i rozumiejąc przez ten rodzaj współczesność przedmiotu, ściślej: współczesne malowidło obyczajowe, określiła trafnie istotę swej powieści. Otóż niewątpliwie nie. Dała więcej, niż dać zamierzała, a równocześnie i mniej, niż to było jej zamiarem. Mniej, boć w rzeczy samej obraz nie jest „dokończonym“ — są to fragmenty malowidła; więcej, bo znaczenie *Malwiny* nie na obrazach „społeczeństwa“ (towarzystwa ówczesnego) polega.

Geneza postaci Malwiny. Największą zdobyczą i wartością, jaką niósł z sobą romans, było to, że studjum nad wnętrzem duchowem bohaterki odbyła autorka na własnem wnętrzu duchowem. Przykład szedł z Francji (Russo). Malwina jest to księżna Marja. Już sam portret bohaterki romansu wskazuje pierwowzór. Malwina odznacza się piękną, giętką kibicią, zdobią ją długie, czarne warkocze, twarz ma łagodną, bladą, choć nie klasycznie piękną — i taką widzimy księżnę Wirtemberską na portrecie w muzeum ks. Czartoryskich. Bolesne dzieje Malwiny, to dzieje księżny, jej młodości. O smutnych (milionych) losach bohaterki romansu poucza nas rozdział jego trzeci. Malwina, jako dziecko prawie, wychodzi za mąż — z woli rodziców, mimo, że czuje do męża odrazę.

Źródłem odrazy jest brak u narzuczonego jej małżonka delikatności. Po ślubie wyjazd do „odludnego zamku“ w głębi „najdalszej prowincji“. Tam dopiero występują w całej pełni wszystkie fatalne przywary męża. Zamężcza młodą żonę „dzikością charakteru, zazdrością bez powodów“, „truje“ jej „młode lata, dni i godziny“. Kiedy mu się zaś żona uprzykrzyła, „zmieniwszy całkiem sposób życia, z najgwałtowniejszą pasją zabrał się do polowania... Malwina w najzupełniejszej żyła samotności. Byle z domu nigdzie nie wyjeżdżała i nie przyjmowała nikogo do siebie..., więcej o nią nie pytał“. Studium L. Dębickiego, oparte na dokumentach archiwalnych, przekonywa nas, że księżna Marja w smutnym losie Malwiny nietylko przedstawiła dzieje własnego małżeństwa, ale że niejedno z tych dziejów zataiła. Książę Ludwik, człowiek „niezmiernie popędliwego charakteru i gwałtownych namiętności“, „hulaka, awanturnik“, miał u swoich opinię wyrobioną, skoro Fryderyk zapytał wręcz księżnę Izabellę: „Co W. Ks. Mość skłoniło do oddania tego anioła, swej córki, temu djabłu, mojemu kuzynowi?“ Zapytał trochę zapóźno. W Pomeranji zamężcza ks. Wirtemberski żonę scenami zazdrości — bez powodu. Księżna „z anielską słodyczą znosiła... brutalność, przechodzącą wszelkie granice, i tała wszystko przed rodziną“. Raz książę Ludwik „wpada w taką wściekłość, że chorą żonę za włosy wyciąga z łóżka“. Na szczęście z czasem staje się w domu tylko rzadkim gościem, o czym świadczy choćby „pocieszenie“, udzielone księżnej przez króla pruskiego: „dziecku w kole rodziny nie będzie brakowało opieki w czasie częstych nieobecności ojca“. Z tym „szaleńcem z instynktami zbrodniarza“ cierpi nieszczęsna ofiara lat ośm, ucząc się szukać ulgi w religii.

To byłyby jednakowoż wygląd zewnętrzny, „portret“ i dzieje, ale autorka wogóle utożsamia się z bohaterką swego romansu. „Nieraz — pisze — zatrudnienie zastąpić szczęście może... Znużona umartwieniem, zniechęcona przeciwnościami, ocucona smutną rzeczywistością zdarzeń tego życia z lubych omamień pierwszej młodości, nieraz... w zu-

pełne i z wielu miar niebezpieczne zniechęcenie byłabym wpadła, gdyby nie miłość zatrudnienia... Malwina w tem równie jak i ja myślała..." To, co w romansie czytamy o gotowości Malwiny każdej chwili do „pomagania cierpiącym“, odpowiada wszystkim znanym relacjom o księżnie Marji, jak i zeznaniom matki, ks. Izabelli: „gdzieżbym lepszą córkę znaleźć mogła? któraby pilniej czuwała na wszelkie, choć najdrobniejszych okoliczności, ulżenia cierpiącym boleści...?“ (w niewydrukowanej dedykacji *Pielgrzyma*). Zresztą autorka czasem jakby wprost chciała poinformować czytelnika i dopomóc mu, by się w przypuszczeniach nie wahał, jak wówczas, kiedy starając się usprawiedliwić niezwykłość uczuć Malwiny, wtrąca uwagę: „Żeby czytelnik tak dobrze znał Malwinę, jak ja, to może tak dziwaczne uczucia pojałyby i wytłumaczył.“ Trudnoż o wskazówkę więcej mówiącą.

Rodzaj romansu. Autorka widziała w romansie swym „obraz teraźniejszego społeczeństwa“, uważała więc *Malwinę* za romans obyczajowy, acz nie doskonały. Zabawy w Krzewinie, bale i zabawy w Warszawie, turnieje w Wilanowie, intrygi, plotki, uboczne wzmianki o życiu prowincjonalnem, niektóre obrazki z kwesty dają bezwątpienia pewien zespół rysów obyczajowych w Polsce w pewnej dobie, wśród pewnych sfer. Jednakże ten element obyczajowy zbyt jest szczupły, by mógł nadać właściwe piętno powieści. Wrodzona zresztą skłonność autorki wiodła ją do zajęcia się innym problemem i do wysunięcia go na plan pierwszy, prawda, że w związku z prądami w powieściopisarstwie zachodniem. We Francji już w XVII wieku począł się krzewić romans, który za cel swój uznał śledzenie uczuć ludzkich. Uczuciami, w szczególności cierpieniami ludzkiemi, psychologią cierpienia zajmuje się pani de Lafayette, autorka *La Princesse de Montpensier* (1662) i *La Princesse de Clèves* (1678) i znachodzi naśladowczynię. Analizę mistrzowską duszy kobiecej daje Marivaux w słynnym romansie *La vie de Marianne* (1731-1741). Czy oddziaływał on na powieść angielską, a w szczególności na

Richardsona, jest kwestją sporną, ale to pewna, że autor *Pameli* (1740) i *Klaryssy* (1748) chce dać poznać czytelnikowi nie tylko losy, ale i charakter bohaterów, że analiza stanów duchowych, postaci kobiecych zwłaszcza, jest jednym z głównych jego zadań. Odtąd też analiza psychologiczna zyskuje w romansie prawo obywatelstwa.

W *Malwinie* psychologia uczuć bohaterki to ten właśnie problem, który najżywiej zajmuje i autorkę i czytelnika. Więc taki n. p. rys świetnie pochwycony, jak reagowanie na niezgodność w odczuwaniu, w myślach, sądach — z kimś, kogo się kocha; jak szukanie obrony przed nieuchronnie zbliżającym się rozczarowaniem; jak postępowanie wbrew temu, czego się pragnie, w myśl jakiegoś wmówionego w siebie obowiązku (by później „w skrytości serca“ postępku swego żałować); jak podpatrzenie i stwierdzenie tego stanu psychicznego, który nazwano „rozmiłowaniem się w cierpieniu“; jak uświadomienie sobie i czytelnikowi faktu, że z cierpienia rodzi się poczucie wyższości, zwłaszcza gdy powód cierpienia jest subtelny; jak dobrowolne, zeznane przed sobą oszukiwanie siebie; jak odczuwanie trwogi wobec konieczności rewizji swych stanów wewnętrznych; jak zazdrość o wyłączną własność uczuć; jak zmuszanie się do uczuć pewnego rodzaju... W tem podpatrywaniu subtelnych poruszeń serca, półświadomych stanów psychicznych jest autorka mistrzynią, nie ustępującą zupełnie Marivaux, od którego (i to najprawdopodobniej bezpośrednio) wiele skorzystała. Marjanna bowiem (w *La vie de M.*) również ustawicznie się śledzi, ciągle ma się na baczności, a spostrzeżenia swe wypowiada z bezwzględną szczerością. Refleksje mają jednak w *Malwinie* niekiedy także charakter ogólniejszy (porównaj w rozdz. XVII na temat skutków miłości) t. j. nie wyjaśniają nam wyłącznie psychologii bohaterki, lecz odnoszą się do wszystkich ludzi — według metody spotykanej wogóle w pewnym typie romansu zachodniego.

Gdyby więc o rodzaj chodziło, słuszniej byłoby nazwać *Malwinę* romansem psychologicznym, niż obyczajowym.

Ale *Malwina* jest równocześnie także t. zw. romansem intrygi, który wyłonił się z dawnych typów romansu. Intryga zaś opiera się na tajemniczem pochodzeniu bohatera w związku z podobieństwem dwu braci, nie wiedzących nawzajem o swem istnieniu (z czego wypływają następstwa), tudzież na przysiędze bohaterki, nie pozwalającej jej węzła intrygi rozwikłać. Nie jest to intryga pomyślana oryginalnie, poszczególne jej składniki mają długi rodowód. I tak motyw tajemniczego pochodzenia jako motyw konstrukcyjny występuje u angielskich powieściopisarzy Fieldinga, Edgeworth i innych (tajemnicze pochodzenie wyjaśnia się i umożliwia pojęcie za żonę ukochanej). We francuskich komedjach i romansach jest on bardzo częsty, znachodzimy go i w *La vie de Marianne* (w osnowie dziejów Marjanny i Ludomira jest wogóle wiele punktów stycznych). Motywem tym posłużył się także Walter Scott w *Guy Mannering* (1815). Podobnie nierzadkim jest pomysł podobieństwa bliźniaków, wywodzący ród swój od Plauta, podobnie pomysł przysięgi. Usiłowania autorki biegły więc tylko w tym kierunku, by z różnorodnych, zapożyczonych składników skonstruować intrygę jednolitą, spójną i prawdopodobną. Ale prawdopodobieństwo jej, dzięki wprowadzonemu motywowi przysięgi, jest właśnie najsłabszą stroną całej koncepcji.

Romans psychologiczny z romansem intrygi łączy problem o charakterze motywu pobudzającego, problem „domyślności serca“, rozsnuty na tle miłości. Motyw ten, uwydatniający się stale, rozwijany przez autorkę z umiłowaniem, jest spoidłem istotnem; czerpiąc rację bytu z intrygi, jej zawdzięczając swe istnienie, służy do tem lepszego oświecenia psychologii uczuć bohaterki, a ma też i głębsze znaczenie. W tak szerokiem rozwinięciu i zastosowaniu motywu tego — o ile do dziś stwierdzono — literatura romansu zachodniego nie zna.¹

¹ Już po napisaniu tego Wstępu, dzięki uprzejmości i uczynności profesora J. Kleinera, dostałem rękopis jego uwag o *Malwinie* ks. Wirtemberskiej. W spostrzeżeniach i wnioskach zesłaliśmy się nie-

Barwa romansu. Zasadniczo barwa romansu jest sentymentalna. I bohater i bohaterka mają serca czułe, skłonni są do łez, do omdleń, bohaterowi miłość wypełnia życie, a gdy celu marzeń osiągnąć nie może, szuka śmierci. Wszelako na ów zasadniczy ton sentymentalny składają się rozmaite odcienie. Ludomir jest w części jeszcze kochankiem z rodziny Filonów, wije dla ukochanej sznury z bławatów, wiesza dla niej na brzozie wieniec z barwinku, układa — według mody ówczesnej — grupy alegoryczne, rzeźbi na kamieniu wiersze w cześć Malwiny, słowem przybiera manjery, któreby zachwyciły Karpińskiego. Więc konwencjonalnej barwy sielankowej nie brak romansowi. Ale Ludomir jest nie tylko kochankiem czułym, powodującym nim również „burzliwe zapędy duszy“. Nie St. Preux jednak

jednokrotnie. Prof. Kleiner odnalazł jednak jeszcze jedno pokrewieństwo powieści księżny Marji z literaturą zachodnią, mianowicie z romansem pani Cottin, również ochrzczonym ossjanowskim imieniem Malwiny. Chodzi mianowicie o sytuację początkową. Bohaterka romansu, młoda wdowa, Malwina Sorcy, poznaje na wsi niszczyciela serc niewieścich, Sir Edmonda Seymoura. O tem jednak, że Sir Edmond jest zawodowym Don Juanem, pani S. nie wie. W niej i w nim budzi się uczucie miłości. Spotyka potem pani Sorcy Sir Edmonda w Edynburgu, ale wówczas widzi, że jej uczucia ulegają przemianie. Jest bo w Sir Edmondzie dwu ludzi, jeden odpowiadający ideałom bohaterki, drugi — zaprzeczenie tych ideałów, a ten „drugi“ właśnie powoduje u pani S. konflikt uczuć. Zachodzą też podobieństwa w szczegółach, jak oglądanie przez bohaterki odbicia figur w zwierciadle, u pani C. Sir Edmonda, u księżny W. księcia Melsztyńskiego. Sytuacja jednak zrazu tylko jest w pewnej — zaznaczonej — mierze podobna, potem rysuje się zupełna rozbieżność. Niema w *Malwinie* księżnej Wirtemberskiej ani zbrodni, ani rozwiązania tragicznego. Oczywiście zasadnicze podobieństwo polega na tem, że bohaterkę romansu boli i razi w ukochanym płochość, niezgodna z porywami jego idealnemi, zasadnicza różnica na tem, że w powieści księżny Marji płochym jest nie ukochany, lecz jego brat, istny sobowtór. Konflikt uczuć jest tu i tu, natomiast motyw domysłowości serca u p. Cottin nie istnieje. — W fakturze zewnętrznej dadzą się zauważyć pewne analogje („portret“ bohaterki znajdujemy w obu powieściach, u p. Cottin w rozdz. 2-gim, u ks. Marji w 3-cim). Kombinację listu z opowiadaniem (o czem w niniejszym Wstępie niżej) spotykamy i we francuskim romansie.

z *Nowej Heloizy* przekazał mu swe rysy znamienne, lecz Werter. Namiętność, płomiennność i zmysłowość wielbiciela Julji są mu obce, ale serce, „a ż n a d t o może tkliwe“ posiada, dotknięty jest „melancholją serca“, ma „popęd do melancholji“, przytem, jak Werter (jak Firlej z *Niebezpiecznych zapałów*) rad się pograża w samotności, ma z pewnością duszę także „utworzoną do cierpienia“, popada nawet w „dziki i ponury smutek“. Kopją Wertera jednak nie jest. Zdolność do entuzjazmu, do przechodzenia ze stanu apatii do najradośniejszych uniesień znamionuje i jego, brak mu przecież tego rysu, który jest najgłębszym pokładem duszy Wertera, konieczności nieodpartej spoglądania na wszystko przez pryzmat refleksji. Nie gardzi też światem, którym gardził Werter dlatego, że świat ten każe żyć człowiekowi „w p e w n y c h granicach i w p e w n e j mierze“, nie gnie się pod brzemieniem nieszczęścia, płynącego z niemożności poznania celu życia, na naturę nie spogląda jak na „wiecznie przeżuwającego potwora“. Jest raczej smutnym marzycielem, nie umysłem filozoficznym, powody jego melancholji są zewnętrzne, to też do konsekwencji (myślowych) Wertrowskich nie dochodzi. W towarzystwie Wertera czułby się niższym, zaprzyjaźniłby się natomiast z przyjacielem Adolfa z Kropińskiego *Nadzwyczajnej miłości*.

Ale jego sentyment napół sielankowo-pasterski na pół werterowski (we wskazanem znaczeniu) nadaje barwę powieści, barwę pewnego typu. Swoistej barwy użycza jej również bardzo charakterystyczne „ossjanizowanie“.

Pierwiastek ossjaniczny nie pierwsza księżna Marja wprowadziła do polskiej powieści, poprzedników miała w autorze *Haliny i Firleja* i w Mostowskiej, ale tam są to objawy przygodne i na koloryt całości nie wpływają. W *Malwinie* uwarstwienie ossjanizmu jest wcale wydatne. Mniejsza o to, że imię Malwiny zapożyczono zostało z pieśni Ossjana, ważniejszym będzie wielokrotnie powracające tło księżycowe, czar nastrojowy tego tła, najważniejszym zaś fakt, że księżna Marja upodabniała się sama, a w ślad za tem bohaterkę romansu, do postaci Ossjanowskich. Nic-

tylko bowiem „żywa imaginacja Malwiny stawiała jej na pamięć świetne rycerskie czasy, lub mgliste bardów dumania“, ale „kibić jej giętka i hoża, długie, czarne warkocze, twarz łagodna... — gdy w białą szatę odziana po księżycu promieniu, który wąskimi dobywał się oknami, jak lekki cień po owych salach przechadzała się, postać jej jak i imię przypominały te młodziane dziewice, które niegdyś po bajecznych pałacach Fingala snuły się i które Ossjan śpiewał“ (R. III). Pewna rozwiewność, mglistość, lekkość, nieuchwytny urok płynący z łagodności wyrazu, pewna nawet słodycz — oto znamiona dziewic Ossjanowskich i Malwiny. Nastrojową zaś barwność kontrastową osiąga Ossjan, a za jego przykładem autorka *Domyślności serca*, przy pomocy dwu barw: białej i czarnej.

Znamienny krajobraz księżycowy, na którego tle pokazuje się taka ossjaniczna postać, w *Malwinie* bardzo częsty, ma proveniencję, płynącą nietylko z *Pieśni Ossjana*. Od Ossjana przejął go Walter Scott i Goethe w *Werterze*. Księżna Marja знаła *Pieśń ostatniego minstrela*, a upodobniając siebie i bohaterkę romansu do dziewic ossjanowskich, kazała równocześnie Malwinie bładzić samotnie po pałacu pod gotyckimi sklepieniami, śpiewać pieśni przy blasku księżycu i łączyć głos z „poważną organów harmonją“ na wzór Anny, która

„sama jedna, na wysokim ganku
Patrzac po niebie, marzac o kochanku,
Tręcała z lekka swojej arfy struny:
Lub w dal bez celu śląc wzrok zamyślony,
Czekała zda się, aż błysnie z za wgórz
Milej kochankom wschód wieczornej zorzy.“

Słowem ossjanizm wsączał się do *Malwiny* jako element nastrojowy i bezpośrednio, z zasadniczego swego źródła, i z utworów, w których refleksy ossjaniczne przebłyskiwały silnie i mniej silnie. Z podstawową barwą sentymentalną żywioł ów spływał się w całość organiczną.

Żywiołem, który barwy nastroju nie psuł, ale zjawiał

się jako coś przypadkowego, była tajemniczość (tajemniczość postaci bohatera), a w silniejszej mierze dziwność. Rola jej nie wystąpiła w tem natężeniu, by zadecydować o charakterze rodzaju romansu, ale zabarwienie pewne romansowi nadała. Jak pani Radcliffe i jej towarzysze, jak J. Potocki, jak Mostowska, wprowadza ks. Wirtemberska motyw widma i każe wierzyć czytelnikowi (do czasu), że ma do czynienia istotnie ze zjawiskiem nadprzyrodzonym. Przygotowuje go (śladem mistrzów) do tego starannie. Mówi o wierze w zjawienie się widma wśród ogółu „zakorzenionej“, przypomina, że był to poniedziałek, zatem dzień, w którym widmo zwykło się ukazywać, że była to nawet jego godzina. I wtedy to dopiero na tle krajobrazu nocnego, oświetlonego blaskiem księżyca (jak często w romansach sensacyjnych), spostrzega Malwina postać, „okropność i rozpacz“ noszącą na twarzy, a „bładość nadzwyczajna“ postaci zdaje się potwierdzać, że zjawisko jest mieszkańcem „nie tej ziemi“. Autorka jednak, znów jak pani Radcliffe, jak J. Potocki, jak Mostowska (choć nie stale), sugeruje czytelnika w tym tylko celu, by rychło go oświecić, że mylił się zupełnie. Widmem był owszem mieszkaniec „tej ziemi“. Motyw to wzruszający, który zjawiał się tu, jak płonka sztucznie przeszczepiona z drzewa innego — gwoili pomnożenia środków emocji. Towarzyszy mu motyw snu wróżebnego, znany u nas także już z Mostowskiej.

Odcina się barwą od „czułych“ partyj romansu rozdział XIV p. t. *Kwesta*. Autorka zapragnęła dać w tym rozdziale szereg sylwetek, nakreślonych metodą Sterna (którego *Podróż sentymentalną* sama wymienia), nie myśląc jednak o uczuciowości Sternowskiej, lecz raczej o technice kompozycyjnej i o humorze Sternowskim, który ona dowcipem nazywa. Humor zabarwia się w *Kweście* ironją. Ironicznie traktowany jest „pyszno-skąpski“ pan i dama, właścicielka rozstrojonej gitary. Postaci te i inne (w gospodarstwie) wzięte jednak zostały z pewnością z życia, a nakreślić je zapragnęła autorka z realizmem.

Usiłowania jednak realistyczne przewijają się wogóle w całości romansu i one to, kontrastując z barwą sentymentalną powieści, czasem wybijając się na czoło, czasem zanikając (w szczególności ilekroć Ludomir pokaże nam swe melancholiczne oblicze), stanowią nie mniej jak czułość i sentyment o zasadniczym tonie *Malwiny*. Już samo umiejscowienie tła (Krzewin a naprawdę Puławy, Warszawa, Wilanów) mówią o dążności autorki. Z realizmem, mimo Ossjanowską rozwiewność (opartą zresztą na auto-observacji), skreślona została postać Malwiny; stale wśród smug światła rzucała autorka cień, przypominała ciągle od siebie troskliwie, że bohaterka jest czymś więcej, niż tworem wyobraźni, podkreślała, że „Malwina nie jest dziełem idealnem, lecz istotą prawdziwą”. Mnóstwo rysów realistycznych ma Ludomir książę Melsztyński (pułkownik), lekkomyślny, skłonny do miłostek, zalotny, ale waleczny, o honor wojskowy dbający, jakby ks. Józef z doby młodości — w minjaturze, nie mniej elegantka i intrygantka Doryda, intrygant, choć nie elegant, major Lisowski, „rozwalający się” w salonie swobodnie, typ także z literacką tradycją bogatą, bo sylwetki egoistów, zarozumiałców, intrygantów a samochwałów kreślili z zamiłowaniem i Fielding i Smollett i Miss Burney i Edgeworth i i. Rysy realistyczne, uwypuklane metodą realistyczną, znajdziemy także u ciotki Malwiny, u Florynki, u Alfreda. Źródła tej metody szukać należy w powieści zachodniej. Arcydziełem realizmu w literaturze romansu była wspomniana już powieść Marivaux'a *La vie de Marianne* (autorowi chodziło o wierny obraz bohaterki, z niezrównanym realizmem kreślił takie postacie jak pani Dutour, jak starego zalotnika Climala i i.). W Anglii zwrot ku realizmowi widoczny już jest u Richardsona, metodę zaś jego rozwijają William Godwin i Miss Austen. Był to więc kierunek, który zarysował się już bardzo wybitnie i który przysporzył piśmiennictwu europejskiemu szereg dzieł niepoślednich.

W *Malwinie* barwa realistyczna z barwą sentymentalną

talną nie szarmonizowała się w jednolitą całość, owszem można mówić o dwu barwach, niezmiernie zresztą charakterystycznych dla utworu z doby przejściowej.

Żywioł podmiotowy w romansie. Ten reprezentowany jest w *Malwinie* bardzo silnie. Nie chodzi tu tylko o te wstawki autorskie, których celem są spostrzeżenia nad stanami psychicznymi bohaterki, o refleksje psychologiczne ogólniejszej natury, tem mniej o Sternowskie polemiki z czytelnikiem, zrodzone z przewidywań, że nie zadowoli go psychologia postaci, ani też o dygresje nieskapą miarą wymierzone (w rodzaju zarówno Marivaux jak i Sterna), ułatwiające autorce swobodne ruchy, zajmowanie się tą lub ową postacią (por.: „Taką była Malwina; cieszyć się będę, jeżeli, mimo wad i niedoskonałości, łaskawych na siebie spotka czytelników; a teraz wracam do ciotki, którąśmy trochę niegrzecznie porzucili“ (R. I). Ta kategoria żywiołu podmiotowego ma raczej pozory subiektywności; mogłaby ulec obiektywizacji, a powieść doznałaby przekształceń tylko pod względem formalnym. Zaniknęłaby pewien odcień jej kolorytu, ze stanowiska jednak podmiotowego autorki nicbyśmy nie uronili, jak nie stracilibyśmy również nic, gdyby autorka przestała się z nami dzielić zwierzeniami, że nie zdoła oddać pewnych stanów uczuciowych.

Inaczej się sprawa przedstawi, gdy potrącimy o strunę rycersko-patriotyczną romansu. Tu już mamy do czynienia z żywiołem podmiotowym w ściślejszem słowa znaczeniu. Element narodowy-polityczny, zrazu nie dający znać o sobie, w dalszych partjach romansu staje się, chwilowo, nawet elementem dominującym. Dzieje się to przede wszystkim dlatego, że pojawia się nowy motyw — wojny, wojny narodowej. Pomysł i sposób wprowadzenia tego elementu (mianowicie dopiero w dalszych partjach romansu) przypominająby Walter Scottowskiego *Waverleya* (1814), nie mamy jednak pewności, czy autorka powieść tę знаła. Ale to kwestja uboczna — ważnym natomiast jest fakt, że księżna Wirtemberska, raz wprowadziwszy ów żywioł,

z uczuciami swemi się nie kryje, owszem, czasem przechodzi nawet w lirykę. Nic to, że w rycerskości rozmiłowana jest Malwina, że lubi „śpiewy o dawnem rycerstwie“, że dla objawów rycerskości żywi nawet cześć; autorka sama, bezpośrednio, daje poznać swój własny sentyment wobec tego rysu duszy narodowej, uważa go za rys szanowny, sądzi, że młodzież polska została stworzona „właściwie do ćwiczeń rycerskich“ (R. XVIII). Co więcej — i to już wysoce znamienne — stara się, zgodnie z duchem i kierunkiem literatury Księstwa, nawiązywać do przeszłości dziejowej (o dniu 3 maja — w rozdz. XIX, o Janie Sobieskim — tamże), apostrof patriotycznych bynajmniej nie unika. Gorącą miłość ojczyzny, jaką w powieści pała Taida, motywuje w sposób wiele mówiący: „Polskę szczęśliwą byłaby kochała zapewne, ale nieszczęśliwą kochać nad wszystko za cnotę najpierwszą miała“ (R. XV). Na chwałę Polaków podnosi, że choć wojny nieszczęsne zabrały im wszystko, „mimo tego jednak, za każdym promykiem nadziei polepszenia losu... Ojczyzny, każdy stan, każda płeć, każdy wiek zawsze siebie, dzieci, zdrowie, majątek i co tylko w świecie posiada z tą samą gorliwością oddaje i poświęca“ (R. XXII). A czyż ma kreślić obraz niepokoju, przypominać owe trwożne pytania: „gdzie już są nasi? czy wszyscy żyją?... wszak nieprzyjaciół odparty?“. Czytelnik rozmowy takie „łatwo sobie wystawi, będąc Polakiem...“ I na tem nie koniec. Autorka dochodzi do pewnej apoteozy przeszłości Polski, wyrabia w sobie przeświadczenie o wyższości Polski nad innemi narodami: „U nas wojsko bije się o swoją własność, o swoje schronienie, za żony, dzieci, prawa, język i byt swój... My wojen nigdy nie prowadzimy, aby złupić sąsiadów; zaburzenia i okropności nie wnosimy w kraje cudze dlatego, że odmiany rozumne lub porządek u siebie chcieli wprowadzać. Nasze wojny mają słuszość i prawo własności za pierwsze zasady, miłość Ojczyzny i sławę za godło...“ Poczem biegają zupełnie już osobiste wspomnienia, poczynszy od słów „Wieleż to

ja ich sama przeżyła?...“ (R. XXII). Ton wprost liryczny — powieść staje się na moment pamiętnikiem.

Żywioł podmiotowy zaznaczył się w *Malwinie* także humorem, ale w mierze tak skromnej, że błysków jego trzeba wprost śledzić. O humorystyczno-ironicznym traktowaniu pewnych postaci w rozdziale *Kwesta* była już wzmianka. Zamigotały tam refleksy Sternowskie. Czasem przedstawi autorka z humorem jakąś błahą sytuację, jak na przyjęciu u Dorydy epizod z suknią, splamioną herbatą (w r. XVII), czasem światelkiem humoru oświeci jakąś postać (ciotka Malwiny nie może pojąć, dlaczego siostrzenica, kochając Ludomira w Krzewinie, jest dla niego obojętna w Warszawie; nie może zaś tego pojąć, bo „nigdy... takowego przypadku w żadnym nie wyczytała romansie“), raz nawet promyk humoru padnie na melancholijną figurę Ludomira (umiał on znikać niespodzianie, ale „po szczęśliwej... z Malwiną rozmowie“ nie okazywał już „bynajmniej chęci do tajnego, do jawnego, ani do żadnego odjazdu“), to znów na widok wniebowziętych kochanków zaigra uśmiech na ustach autorki („niejednemu może z czytelników za długą stała się rozmowa Ludomira z Malwiną, ale... długa dla czytelnika, dla nich piorunem przeleciała“, R. XXVIII). Zbyteczna dodawać, że wobec znikomej ilości owych błysków *Malwina* piętna romansu humorystycznego nie posiada.

Budowa romansu i właściwości jego techniki.
O artystycznej budowie romansu polskiego w XVIII wieku nie można naprawdę mówić, natomiast Mostowska dbała już o strukturę kunsztowną, księżna Marja zaś obmyśliła plan szczegółowo, siłała się wprost na misterną architektonikę. W rozdziale I zaznajomiła nas z głównymi osobami, bohaterowi i bohaterce pozwoliła się nawzajem poznać; w r. II dowiadujemy się o przyczynie wyjazdu Ludomira (rozstrój wewnętrzny), jak i o tem, że Ludomir zakochał się w Malwinie; rozdział III to dzieje Malwiny aż do osiedlenia się jej w Krzewinie; dwa następne (IV i V) poświęcone są kolejno charakterystyce bohatera

(w oświeceniu obcem) i bohaterki, równocześnie zaś oba zaznajamiają czytelnika o wzajemnym stosunku L. i M. To ekspozycja — o wzorowej symetrii: pokazanie obu głównych postaci, rzut oka na przeszłość jednej, nakreślenie przeszłych losów drugiej, charakterystyka postaci obu — na tle rozwijających się uczuć. Teraz poczyną akcja szybko postępować naprzód i rozwija się organicznie. W r. VI—XV zawiązuje się wątek intrygi, oparty na wskazanych częściach składowych, ale w r. XV pojawia się także wstawka: historia matki bohatera. Rozdziały XVI do XXIV to dalsze snucie intrygi w zespole z kreśleniem stanów wewnętrznych głównych postaci. Ze autorka myśli już o rozwikłaniu, świadczy wprowadzenie w akcję potrzebnych jej ku temu postaci (w r. XVI cygana Dżęgi, w XXII młynarki z Zienkowa). Rozdział XXV to dzieje bohatera od chwil dzieciństwa, następny daje rozwikłanie tajemnicy przez zaznajomienie czytelnika z dziejami Ludomira od urodzenia. Dwa ostatnie rozdziały, to epilog: dwie pary małżeńskie. Podstawą układu powieści jest tedy bieg zdarzeń chronologiczny, ale w obraz tych zdarzeń wkraczają trzy wstawki z antecedencjami w układzie $a+c+b$ (dzieje matki bohatera, dzieje jego młodości, dzieje jego dzieciństwa). Zasłona uchyla się powoli, napięcie uwagi czytelnika nie tylko nie słabnie, ale wzrasta. Architektonika ta odpowiada w zupełności celowi, o ile za cel taki uważamy rozsnuć i rozwikłanie intrygi, nie zaś psychologię bohaterki i nie nakreślenie malowidła obyczajowego. Architektonika przystosowała się tedy do tego elementu powieści, który istotnie odgrywa w niej znaczną rolę, ale o którym w przedmowie autorka nawet nie wspomniała.

Technika romansu nawpół „listowa“. Romans w listach rozpowszechnił Richardson, Russo technikę tę rozślawił i wywołał rój naśladowców. Ograniczyli szczęśliwie tę formę Smollett i Miss Burney, łącząc list z niezależnem od niego rozwijaniem akcji. Tą połowiczną metodą posłużyła się także księżna Marja, w jednych bowiem rozdziałach autorka jest osobą opowiadającą, w innych mamy

listy różnych osób, czasem list wpleciono w opowiadanie. Ograniczenie techniki listowej było zresztą w *Malwinie* niemal koniecznością, list bowiem, służąc znakomicie do rozwijania problemów psychologicznych, liche usługi oddaje efektownej a zawikłanej intrydze. Ale mimo że partje listowe co do objętości nie dorównały partjom, zawierającym opowiadanie autorskie, dramatyczne napięcie romansu wiele na tem nie zyskało, autorka bowiem nie umiała się posłużyć dialogiem, wprowadzała go wyjątkowo, a już zupełnie nie pokusiła się o to, by akcję przez dialog rozwijać. Panuje tu przeważnie jeszcze metoda narratywna.

Usiłowania w kierunku osiągnięcia plastyki dadzą się spostrzec, kiedy za wzorem Sterna kreśli autorka scenę w gospodzie, zwracając uwagę na ruchy i wrażenia akustyczne, lub kiedy przygląda się ruchom i gęstom pana pyszno-skąpskiego, chwytając je jakby aparatem migawkowym („okulary zdjął, szlafroka poprawił“, a „z pod ręki“ na Malwinę spoglądając, ujęty jej położeniem socjalnem i powabem, „zaczął się jąkać, potknął się, ekran od komina zawadził...“)

Na technikę portretowania postaci wpłynęła w części lektura Ossjana. Malwina jest nie tylko piękną ossjanowską, ale także jej portret kreślony jest metodą ossjanowską jakby pastelami, ręką aż dziwne jak wprawną, przez lekkie dotknięcia kredką, przez zaznaczenie tych rysów, które składają się na sumę wyrazu. Ogląda czytelnik ów portret kilkakrotnie. Dwakroć kreśli go Ludomir: „Na rękę moim... śliczna głowa Malwiny spoczywała; na rękę moim zwieszona, podobna była białej lilji, którą burza nachyliła! twarz jej blada, czarne długie warkocze, które na szyję i śnieżną suknię spadały...“, a wnet powtórnie: „Malwina już nie blada, jak wczora, ale świeża jak zorza, odziana w najbielszym, com kiedy widział, muślinie, kapelusz miała biały, różową bladą wstążką wiązany, który trochę zasłaniał twarzy i nie dozwalał obfitym włosom zewsząd się dobywać...“ (R. II). Potem portret, na który już wyżej zwrócono uwagę, skreślony wprost ręką autorki

(kibić giętka, czarne warkocze, twarz łagodna, szata biała, całość postaci podobna cieniowi lekkiemu) i również od autorki pochodzący (w R. V) dokładniejszy nieco, ale także z wyraźnem piętnem szukania wyrazu: stan giętki, poruszenia pełne wdzięku, „włosy czarne i gładkie jak krucze pióra“, czarne oczy, „w których wszystkie uczucia duszy się malowały“ („coś anielskiego... a wkrótce figlarność“), płeć blada... Każdy z tych portretów, a w szczególności trzy pierwsze, ma wartość nastrojową, nigdy tu nie chodzi o dokładność, lecz o wydobycie ogólnego wrażenia wdzięku pewnego typu. Temu celowi służą też porównania (do białej lilji, którą burza nachyliła, do zorzy, włosów do piór kruka). Raz cały portret kreśli autorka wyłącznie przy pomocy porównań („jak lilja wysmukła, lub róża lubością tchnąca...; wstęga diamentowa na gładkiem spuszczone czołe, zasypana srebrnemi blaszkami, jak kroplami rosy...“ — w R. XIX *Turnieje*). Portretu zaś od kostjumu nie oddziela; szukając wyrazu i dążąc do wywołania wrażenia, obejmuje całość. Kostjum harmonizuje zawsze z portretem, potęguje rozwiewny jego, nieco melancholijny wdzięk. Ale także przy portretowaniu innych postaci o wyrazie przedewszystkiem myśli księżna Marja. Portret Ludomira każe skreślić trzpiotowi Wandzie. Wanda i w tym wypadku nie sprzeniewierzy się sobie: „Ludomir jest wysoki, śliczne ma zęby, ale rzadko się śmieje (co zdaniem mojem nie jest dobrze); wzrok ma powłóczysty, i długie, czarne oczy, które nigdy krótko nie patrzą“ (R. IV). Rzecz zrozumiała, że autorka każe Wandzie zwrócić uwagę na śliczne zęby Ludomira, że pozwoli jej wyrazić głęboką refleksję, jak to niedobrze śmiać się rzadko; mimo to jednak spostrzeżenie trzpiota o oczach, „które nigdy krótko nie patrzą“, odrazu mówi o sugestywnym wyrazie wzroku postaci. A obraz Florynki, skreślony piórem Alfreda? „Wyobraź sobie lat piętnaście i pączek kwiatów, a będziesz miał portret Florynki. Dwa rzędy jednostajnych pereł błyszczą się jasno, ilekroć różowe usta otworzy, a to często bywa, bo lada rzecz ją rozśmieszy...“ (R. XVII). Tyle!

Ale to więcej, niż najsumienniejsze wyliczanie wdzięków, bo schwycona została istota wdzięku. To też technika portretowania w *Malwinie*, różna zupełnie od dotychczasowej w polskiej powieści (portret był zresztą rzadkością, wpadał w ogólniki albo w karykaturę), technika dbająca o wyraz, o odzwierciedlenie dyspozycji psychicznych, jest jedną z istotnych wartości tej powieści.

Podobnie nowe elementy spotykamy w technice kreślenia obrazów natury, i nowa — w części — jest ich racja bytu. O pejzażu przed *Malwiną* była wzmianka w rozdziale II niniejszego Wstępu. W *Malwinie* pejzaż ma wartość przeważnie nastrojową — w rozlicznym znaczeniu. Od konwencjonalizmu nie potrafiła się autorka całkowicie uwolnić, ale nawet obraz konwencjonalny nie odgrywa w *Malwinie* roli malowidła obiektywnego, lecz służy jakiemuś celowi. Częstokroć chodzi autorce o wywołanie przy pomocy obrazu natury (żywej i martwej) nastroju u czytelnika, któremu zresztą poddaje się także któraś z postaci romansu, jak w scenie w ogrodzie klasztornym (R. XIV), kiedy autorka zwraca uwagę na wysoki mur, suche łodygi krzewów, ciszę, a później głuchy, jednostajny szmer, dochodzący z chóru kościelnego, jak w wieczór przed rozszaleniem się pożaru, kiedy grube obłoki pokrywają niebo, a w powietrzu znów cisza złowróżbna, przerywana nastrojowo „miłosnemi tonami“ słowika (w R. I). To znów obraz natury powie nam, jak go odczuwa pewna postać romansu w pewnym określonym stanie psychicznym, a równocześnie — metodą powieści sensacyjnej — obraz ów budzi zamierzony przez autorkę nastrój w czytelnikach, przygotowując ich na coś niesamowitego, jak przed ukazaniem się widma, kiedy to w Wilanowie posągom, okrytym cieniem, księżyc przedzierający się przez liście, zdawał się udzielać jakiegoś ruchu, a każda biała statua zdawała się być marą w grobową płachtę odzianą (R. XX). Czasem przyroda, obraz jej ma być tylko znakiem psychicznym, odpowiednikiem — jak w *Werterze* i za *Werterem* — stanów

wewnętrznych, jak wówczas, gdy Ludomirowi w Krzewinie „łaki zdają się być zieleńsze, bujniejsze drzewa, wonniejsze kwiaty, niż gdziekolwiek“. Czasem znów natura pozostaje w zgodzie z odczuwaną potrzebą nastroju (odczuwaną przez pewną postać) i ten stan psychiczny czytelnikowi uwydatnia (Malwina „gwałtem potrzebuje“ spokoju i ciszy; wieczór, zachód słońca, cichość, jednostajny szmer wody — niepokoje i tęsknoty Malwiny gdzieś znikają; R. XXV); czasem obraz przyrody służy do wydobycia kontrastu z nastrojem bohaterki (w rozdz. VII cała natura budzi się do życia, blask kwiatów, śpiew ptactwa — serce Malwiny tem boleśniej się ściska). Słowem w technice autorki obraz natury nie przedstawia wartości obiektywnej, a gdy nawet ma wartość malarską, jest to wartość nastrojowa. O perspektywie autorka nie myśli, o szczegóły się nie troszczy, jak w portrecie szuka w naturze wyrazu, szuka nastroju lub budzi go — w celach wskazanych.

Styl w „Malwinie“. Jednolitym styl w romansie nie jest. Wynikło to z założeń autorki, z uświadomionych dążeń. Dążyła zaś ks. Marja do realizmu stylu. Gdy przemawia od siebie, stara się o wytworną prostotę języka, psuje go jednak niestety rażącemi gallicyzmami. W listach pragnie się nagiąć do indywidualności autorów listów; styl Taidy jest poważny, styl Wandy to styl miłego trzpiota („Blisko od tygodnia mamy tu gościa — gościa bardzo niepospolitego; — Ciocia ciekawa wiedzieć o tym gościu?... Ale, ale Malwina prosi, błaga Cioci...“; R. IV), styl Alfreda to kategoria elegancko-łobuzowska. („Lube moje lenistwo szepce mi, że niebezpieczną jest rzeczą w długie zapędzać się opisywania. Więc z ciekawych komerażów, zabawnych portretów, pasztetów i wiadomości, które ci miałem donieść i na któreś ty już chciwie oczy i uszy otwierał, nic wiedzieć nie będziesz. Uspokój się, mój królu: dość i tak mojej łaski, że ci pannę młodą opiszę...“; R. XVII). W listach Ludomira, w jego wyznaniach miłosnych naśladuje autorka wszelkie sposoby retoryczne,

wprowadzone przez Russa, któremi zresztą popisał się już Kropiński, a które z książek przeszły do życia. Romansowość bowiem przestała być przywilejem literatury, styl romansów stał się stylem kochanków żywych, zwłaszcza w listach. Więc nie wykroczyła księżna Marja przeciw zasadzie realizmu stylu, gdy w listowych i nie listowych wyznaniach miłosnych z obfitością posługiwała się powtarzaniem wyrazów, stopniowaniem efektów bezpośredniem i przez porównania, pytaniami, wykrzyknikami, przeciwstawieniami.

„Malwino, kocham cię nad wszelkie wyrazy, kocham cię, jak cię nikt nie kochał, jak cię nigdy nikt kochać nie będzie. W tobie moje życie, w tobie moje szczęście, a dla ciebie i życia i szczęściabym odstąpił...” Oto list Ludomira do Malwiny. A tegoż do matki przybranej: „Do ciebie chcę wrócić i w dzikich, odludnych lasach naszych zamknąć się na zawsze, od miłości, od szczęścia, od Malwiny... daleki od Malwiny?! o nieba!... i kiedyż, w jakim moment?... Kiedyż oddzieram się od niej? w tej chwili, gdy pierwszy raz dostrzegł promień szczęścia, szczęścia nad wszelkie wyrazy, szczęścia, którego serce Ludomira, do cierpienia tylko przywykłe, niezdolne może byłoby i wytrzymać... Nicem nie widział, nie myślał, nie czuł na świecie, prócz tego, że ją kocham nad życie, nad siebie, nad wszystkich, nad wszystko”. A jeszcze wyznanie nie listowe, lecz bezpośrednie: „Jabym cię miał obwiniać, moja najdroższa Malwino? Ciebie, w której anioła i postać znajduję i duszę? Ciebie, w której sercu niebian czerpam słodycze? Nie, nie sędzę, nie widzę, nie czuję nic innego, tylko to, że jestem najszczęśliwszy w całym przyrodzeniu i że tobie to szczęście winien!...” Ten to styl, charakteryzujący wszystkie przemówienia Ludomira, styl „romansowy”, ściślej mówiąc: russowski, przejęty w części przez Goethego w *Werterze*, wrażący się przy lekturze romansu w pamięć najsilniej, nadaje piętno romansowości całej powieści, zaciera wrażenie innych partyj, w których styl ten znika zupełnie.

Dążąc do realizmu stylu, usiłowała autorka kilkakrotnie zbliżyć się do typu gwary ludowej. Cygan Dżęga mówi o znalezieniu dzieciątka „kieby anioła“, używa porównania z zakresu najbliższych pojęć („miesiąc gdyby ser roztoczony świecił“), posługuje się charakterystycznymi zwrotami („aiem się nieraz obzierał, bo mi serce przyrosło było do tego dzieciątka“), ale są to próby ilościowo bardzo skromne, jakościowo zaś w części tylko zadowalające.

Sądy współczesnych o „Malwinie“, wartość i znaczenie romansu. Romans cieszył się wielkiem powodzeniem wśród publiczności. Stwierdzają to ponad wszelką wątpliwość sądy współczesnych; dzieło to — czytamy — już jest w ręku wszystkich w stolicy“, prawdę zaś tych słów poręcza niezwykła, jak na owe czasy, ilość wydań. Jan Śniadecki oddał powieści niemałe pochwały w *Liście stryja do synowicy pisanym z Warszawy 31 stycznia z przestaniem nowego romansu*, pomieszczonym w *Dzienniku wileńskim* (1816, zesz. lut.). Chwalił zwłaszcza język, choć gallicyzmom nagany nie poskąpił; co jednak nas najbardziej zajmie, uznał powieść, za „całkiem narodową, o familjach, miejscach, zdarzeniach, towarzystwach wyższego rzędu i obyczajach polskich“, widział więc w *Malwinie* przede wszystkim współczesny romans obyczajowy. Choć był przeciwnikiem romansów, albowiem „patrzył nieraz w swem życiu na okropne skutki lekcji romansowych..., na ruinę zdrowia, rozsądku i pokoju duszy“, *Malwinę* nie uznał za niebezpieczną. Ale nie potrafił ukryć zdziwienia, „jak (bohater powieści) mógł w sobie pielegnować i karmić tak nieszczęśliwą namiętność, zjeżdżać do Warszawy dla podniecania jej i rozdrażniania“. Synowicy swej stawiał za wzór nie Malwinę, lecz Wandę, szczęśliwość bowiem pierwszej (jako iż znosiła udręki miłości) uznał wyłącznie za wytwór czyli, jak się wyraził, za „dobrodziejstwo“ „imaginacji autora“, kiedy szczęśliwość drugiej była według niego „owocem niezmieszanego pokoju duszy“. Patrząc więc na powieść głównie z punktu widzenia skutków, jakie

mogłaby wywołać, gdyby czytelnicy i czytelniczki szli w ślady bohatera i bohaterki. „Miłość bez nadziei — wyrokował — jest to ogień, który zgasnąć, nie zaś rozniecać się powinien“. — Tenże sam *Dziennik wileński* uczył *Malwinę* wierszem niejakiego Antoniego Chrapowickiego (*Do Malwiny*, 1816, III). Wiersz świadczy o zachwycie jego autora. Żadnych tu zarzutów, żadnych zastrzeżeń, *Malwina* „w miłości kraju... początek wzięła“, „czułość dusz naszych rozrzewnia i pieści“. Obyż zachęciła inne „dusze tkliwe“ do malowania szczęśliwych owoców cnoty i obrazów „współczesnych i dawnych zwyczajów“. Nie mniej zachwycił się romansem jakiś S. S. (według przypuszczeń Chmielowskiego Aleksander Linowski), przyznając *Malwinie* w *Pamiętniku warszawskim* (1816, zesz. lut.) „powab miejscowy“, jak i tę wielką zaletę, że „wierne wystawia obrazy“. Głębiej w wartość romansu współcześni nie sięgnęli, ale i te zeznania trzeba uznać za cenne, świadczą bowiem o jednym: wszyscy widzą w nim prawdę uczuć, o przesadnej sentymentalności nikt nawet nie wspomina. Czyli: to, co dzisiejszemu czytelnikowi wydaje się afektacją, to przemawia nie przeciw romansowi, lecz za nim, jest bowiem widocznie wiernem odtworzeniem sentymentu epoki.

I na tem polega niewątpliwie jego wartość i znaczenie. Jest to dokument nie tylko obyczajów, ale i rodzaju uczuć w początkach XIX wieku, barwy umysłowości ówczesnej ze zwrotem ku wnętrzu duchowemu, ku kultowi czułości, a równocześnie ze zwrotem ku przeszłości narodowej. Z kart powieści wygląda to polski, uproszczony nieco Werter, to rycerz z orszaku księcia Józefa, to wrażliwa postać kobieca wykarmiona na Ossjanie, Russie, Werterze, Werterjadach, to — elegantka warszawska ze sfery, nadającej ton, z t. zw. wówczas „sosjety“.

Ale oprócz wartości dokumentu epoki ma *Malwina* także wartość inną, powab prymitywu. Autorka szuka nowych dróg. Chce stworzyć powieść obyczajową i z wewnętrznym zadowoleniem myśli, że celu, choć niezupełnie,

dopięła. Ale rozmiłowana w Ossjanie nie może przenieść na siebie, by wykluczyć z romansu pierwiastek ossjaniczny, tem bardziej, że sama upodobniała się do dziewic z pałaców Fingala. Szukając ciągle dróg nowych, wkracza i na znane już szlaki, wtedy, kiedy po styl uniesień miłosnych zwraca się do Russa, ale wchodzi i na ścieżki ledwie dostrzeżone przez polskich autorów, wówczas, kiedy Ludomira stylizuje na wzór kochanka Lotty, ani myśląc jednak o pogrzebaniu go bez kapłana. Szuka ciągle i wytrwale, i motywami powieści sensacyjnej nie gardzi, i celem zajęcia czytelnika obmyśla skomplikowaną intrygę, przypominającą jeszcze typ dawny romansu, i gra na strunach domysłowości serca, by w romansie polskim znalazło się wszystko, co było w obcym. Za wzorem to właśnie romansu obcego kusi się o subtelna analizę psychologiczną ledwo docierających do świadomości stanów wewnętrznych, i wychodzi z tej próby zwycięsko, co więcej, okazuje prawdziwe mistrzostwo. Po niej Hoffmanowa będzie już miała grunt przygotowany. Szukając ciągle, dba o indywidualizowanie rysów postaci, o indywidualizację stylu, o realizm postaci i stylu, do Sterna ucieka się o pomoc, uczenicą jest pilną szkoły Marivaux. Nawet o próbach charakteryzowania postaci przy pomocy ruchów i giestów nie zapomina. A przytem wytycza nowe drogi technice portretowania, nie o szczegóły dbając, lecz o wyraz, subiektywizuje naturę, wyznaczając jej rolę nastrojową. O artyzm budowy, o architektonikę troszczy się z widocznem zrozumieniem ważności problemu, przemysła cały plan, lubuje się w nim widocznie.

Czy różnorodne pierwiastki zdołała księżna Marja w dziele swem sharmonizować? Odpowiedzieliśmy już na to i odpowiedź wypadła przecząco, ale też znaczenie *Malwiny* nie na harmonji pierwiastków polega, lecz na wprowadzeniu ich do powieści polskiej i na ich mnogości. Jest to hojną dłonią rzucony siew, z którego plony schodzić będą długo. Jedne z tych kwiatów zwiędną rychło, inne wybudają okazale. Styl uniesień miłosnych, jakkolwiek

on właśnie nadaje romansowi piętno najbardziej znamienne, zmieni barwę niebawem, zniknie z kart powieści polskiej zadumane oblicze potomka Wertera, ale usiłowania realistyczne autorki podejmą następcy, a śledzenia i określania stanów psychicznych będą się mogli od niej uczyć. W dziejach romansu polskiego XIX wieku była *Malwina* wielkiem „stań się“, była pobudką i zachętą i dowodem istotnym, że „niema tego rodzaju pisma, do którego język polski nie byłby zdolnym“.

Sama zaś autorka przez *Malwinę*, przez wprowadzenie motywów z romansu sentymentalnego i Ossjanowskich i Walter Scottowskich, przez podniesienie znaczenia władz irracjonalnych duszy ludzkiej i obronę tych władz, przez przeciwstawienie ich rozumowi i wywyższenie ponad rozum, stała się jedną z poprzedniczek romantyzmu polskiego.

Rękopisy i wydania „Malwiny“. W bibliotece Zamoyskich w Warszawie znajdują się dwa rękopisy romansu, pierwszy (A) oznaczony numerem 1842, drugi (B) — numerem 1090.¹ Rękopis drugi jest kopją, sporządzoną ręką autorki, ale z bardzo licznymi poprawkami (pióra księżnej), tak, że przybiera charakter drugiej redakcji. Nadto — w tym rękopisie drugim — to lub owo zdanie, ten lub ów ustęp stara się autorka wyrazić poprawniej, inaczej wystylizować, tak, że czasem możnaby mówić o trzeciej a nawet czwartej redakcji pewnych drobnych partyj. Zasadniczych zmian jednak niema. W rękopisie A, B i w tekście drukowanym ta sama jest kompozycja powieści, ten sam układ poszczególnych rozdziałów i ta sama ich treść. Ani jednej różnicy w pomyśle, ani jednej sceny w tekście drukowanym nie nowej, ale chociażby inaczej rozwiniętej. Czasem ulegnie zmianie tytuł rozdziału (rozdział X w rp. A ma napis: „Nie bardzo ciekawy“, w rp. B i w tekście drukowanym: „Krótki“; rozdział XXV

¹ Odpisu autografów użyczył mi z całą gotowością prof. Br. Gubrynowicz, za co mu wyrażam szczerą podziękę.

zatytułowano w rp. A: „Może się tego niejeden z czytelników spodziewa“, w rp. B: „Mnich“, w tekście drukowanym: „Zakonnik“); wyjątkowo zmieni się imię osoby lub jej godność (w autografach Alisia jest Malwinką, Marysia Agatką, starościc szambelanem: nie o Kapucynach też czytamy lecz o Bazylianach), zupełnie wyjątkowo teren (bitwa nie pod Mohilewem się toczy, lecz pod Grannem, stąd w rp. A i B napis rozdziału XXIII: „Batalja pod Grannym“). Na czym więc polegały pilne i nieustanne przeróbki? Na zmianach stylistycznych i to prawie wyłącznie w tym kierunku podejmowanych, by składni, mającej w rękopisach charakter tak wyraźnie francuski, nadać polski, tudzież by zwroty, przejęte żywcem z francuskiego, zastąpić polskimi. W rękopisie A czytamy: „chłopi w pierwszym śnie przebudzeni gorzej się tylko strachali jedni drugich“ z dopiskiem na marginesie: „muwiąc (tak!), że ogień boski ratować się nie godzi“. Natomiast w rękopisie B i w tekście drukowanym zdanie to brzmi: „chłopi w pierwszym śnie przebudzeni, ani umieli, ani chcieli ratować, myśląc, że pożaru od piorunu wszczętego gasić się nie godzi“ (R. I); w rp. A czytamy: „promienie słońca, mocno dając jusz w okna, nauczyli (dowiedli), że długo spać musiała“, w tekście drukowanym: „promienie słońca, jasno bijące w jej okna, dowiodły, że długo spać musiała“. (W rp. B tekst urywa się na słowach rozdziału XXV: „w takowy nakoniec sen się zamieniły“, ustępu więc tego brak). Czy w ciągu pracy nad *Malwiną* autorka opanowała na tyle językiem polskim, że sama mogła wyczuwać, gdzie popełniła gallicyzmy i że sama zdolna była zastępować je składnią polską i polskimi zwrotami? Trudno to przypuścić. Raczej przyjąć należy, że miała uczynnego doradcę (może doradców), którzy wskazywali jej błędy popełnione przeciw duchowi języka polskiego i nasuwali zwroty poprawne. A także i korektora (co przypuszcza prof. Gubrynowicz) musiała mieć *Malwina* sumiennego, a może cały rękopis B ktoś jeszcze przepisał i ortografię i nie tylko ortografię w nim poprawił, w rękopisach bowiem

nie jedynie „promienie słońca nauczyli“, ale i „ziemby radośnie zorze witali“ i „pszczoły brzęczeli“. Księżna pisze: dźwięg, muwiąc, wi, iusz, trombuw i t. d. Pisała tak, jak jej rówieśnice. Powód powszechnie znany. W tekście drukowanym błędów tego typu niema.

Wnet po wydaniu pierwszym, z roku 1816, ukazało się — w roku 1817 — wydanie drugie „poprawne“, znów ze zmniejszoną ilością gallicyzmów. Trzecie, z korektą niedbałą, wyszło w roku 1821, czwarte w roku 1828-9. Na język francuski przełożyła *Malwinę* Anna z Krajewskich Nakwaska. Przekład wyszedł w Warszawie w roku 1817, p. t.: *Malvina ou l'instinct du coeur, roman traduit du polonais par une Polonaise*, powtórnie zaś w roku 1822 w Paryżu p. t.: *La Polonaise ou l'instinct du coeur, traduit du polonais de la princesse W*** par madame Nakwaska*. Tłumaczenie na język rosyjski pojawiło się w roku 1834 w Moskwie. Tekst polski zdobiło sześć rycin wykonanych w Paryżu u Lecerfa.

BIBLIOGRAFJA

- Andrzej Edward Koźmian. „Wizerunki osób społeczeństwa warszawskiego z czasów Kongresowego Królestwa“. Dwie siostry, Marja z ks. Czartoryskich Wirtemberska i Zofja Zamojska. Przegląd poznański, XXIV, 1857.
- Lucjan Siemieński. Marya z ks. Czartoryskich ks. Wirtemberska. („Kilka rysów z literatury i społeczeństwa“ I, 1859 i w „Dzielałach“, III).
- Piotr Chmielowski. M. z ks. Cz. ks. Wirtemberska. („Autorki polskie w wieku XIX. Studium literacko-obyczajowe“. Warszawa [1885]).
- Seweryna Duchińska. Wspomnienie z życia M. z ks. Cz. Wirtemberskiej. Kronika rodzinna, 1855 i osobno Warszawa, 1886.

- Stanisław Tarnowski. *Romans polski w początku XIX wieku*. Przegląd polski, 1871 (zesz. lut.) i osobno, Kraków, 1871.
- Ludwik Dębicki. *Małżeństwo księżniczki M. Czartoryskiej z ks. L. Wirtemberskim*. Przewodnik nauk. i lit., Lwów, 1886.
- Ludwik Dębicki. *Dwie autorki*. Przewodnik nauk. i lit., Lwów, 1887. (Porówn. także w dziele „Puławy“, t. I i IV).
- Roman Pleniewicz. *Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek XIX wieku*. Warszawa.
- Konstanty Wojciechowski. *Czy autorka Malwiny znała Wertera?* Pamiętnik literacki, Lwów, 1904.
- Konstanty Wojciechowski. *Przedmowy do pierwszych powieści polskich XIX wieku*. Pamiętnik liter., Lwów, 1905 i osobno („Dwie notatki do dziejów romansu polskiego z początków XIX wieku“, Lwów, 1905).
- Konstanty Wojciechowski. *Malwina* ks. Marji z Cz. Wirtemberskiej. Pamięt. liter., Lwów, 1913 i osobno.
- Konstanty Wojciechowski. *Rozwój powieści w Polsce. Od r. 1776—1830*. Encyklopedia polska. Wydawnictwo Akademii Umiejętn. Dzieje literatury pięknej w Polsce, cz. II, Wydawnictwa t. XXII, Kraków.
- Marjan Szykowski. *Ossjan w Polsce*. Kraków, 1912.
- Wacław Borowy. Ignacy Chodźko. *Prace historyczno-literackie*. Kraków, 1914. (Tam szereg spostrzeżeń, odnoszących się do *Malwiny* w „Przypiskach i ekskursach“).

Przedruk *Malwiny* w niniejszym tomiku *Biblioteki Narodowej* dokonany został na podstawie drugiego wydania, sporządzonego w r. 1817, a oznaczonego słusznie — jak wspomniano wyżej — jako „edycja poprawna“. Wyszło ono w Warszawie, nakładem Glücksberga i Spółki, w dwu tomikach, podobnie jak pierwsze bezimiennie.

MALWINA

CZYLI

DOMYŚLNOŚĆ SERCA

DO MOJEGO BRATA¹.

Nie mam dość miłości własnej, bym rozumieć mogła, że dzieło by najmniej doskonałe przypisuję tobie; lecz serce moje przyzwyczaiło się od dzieciństwa łączyć myśl o tobie do każdego w życiu wypadku; w okolicznościach ważnych, jak w najdrobniejszych zdarzeniach nawykłe zawsze być przez ciebie wspieranem, zachęcanem, pocieszanem, przyciodło mnie i teraz twojej pieczy moją oddać *Malwinę*.

Nie ma ona innej zalety nad tę, że w ojczystym języku pierwszym jest w tym rodzaju romansem. Gdyż romanse *Krasińskiego*, *Jezińskiego* i t. d. opisują zwyczaje naszych ojców i dziadów; lecz bynajmniej nie malują obrazu teraźniejszego społeczeństwa². Ten obraz w *Malwinie* nie jest ani doskonałym, ani dokończonym; lecz będąc pierwszym, wzbudzi może ciekawość; przebiegającym te kart kilka przypomni, że niema tego rodzaju pisma, do którego język Polski nie byłby zdolnym³; wtedy to, co moja chęć dobra nastreńczyć chciała, wyższa czyja umiejętność dokona.

¹ Do brata — księcia Adama Jerzego (1770—1861), autora *Barda polskiego*, później kuratora szkół na Litwie i Wołyniu, ministra, a w r. 1831 prezesa Rządu narodowego.

² Franciszek Salezy Jeziński (1740—1791), prawa ręka Kołłątaja, napisał romanse: *Głoworek... powieść z widoku we śnie* (1789) i *Rzepicha* .. (1790).

³ *Spółczeństwo* — tak stałe w znaczeniu towarzystwa (société)

⁴ O uprzedzeniu ówczesnem do języka polskiego, rozpowszechnionem wśród kobiet, świadczy także przedmowa Kropińskiego do *Julji i Adolfa*. Czytamy tam: „Romans ten napisałem w roku 1810, do czego wiele miałem powodów, a między innemi i ten, że powszechnie prawie naówczas było uprzedzenie płci pięknej, iż nasz język nie jest zdolnym wydać tkliwych uczuć delikatnej miłości, dla których język francuski w *Nowej Heloizie* zdaje się być stworzonym“.

Wiem także, że wiele innych gatunków pism byłyby nad romans użyteczniejsze; lecz nie czując w sobie zdolności do uskutecznienia ważniejszego zamiaru, chwyciłam się tego, którego brak zupełny w naszym języku czyni mi nadzieję, że moja praca nie zupełnie czczą będzie. A przytem rozumiem, że i romans czasem korzystnym być może. Zdaje mi się, że przepisy, prawdy, nauki, które pod pokrywką zabawy w dobrym romansie znaleźć można, więcej nieraz przekonywają, niżeli suche morały, obnażone z pojęt ciekawość wzbudzających, a do czytania których mało kto się nawet porywa. W romansach zaś, w tych szczerzych obrazach społeczeństwa, każdy niemal, znajdując zdarzenia podobne tym, których doświadczał, uczucia sercu znajome, błędy, w które wpadał, namiętności, jakie nieraz w pożyciu spotykał, mimowolnie zajmuje się tem opisaniem, porównywa, rozważa i częstokroć skutkiem tych rozważ, czynionych bez uprzedzenia, staje się to w głębi serca przekonanie, że w jakiejkolwiek doli, w jakimkolwiek wypadku, działać dla cnoty, jest to pewniejszym nad wszelkie inne sposobem działać dla szczęścia.

Mysł ta, nader miła sercu mojemu, zwróciła mnie znowu ku tobie, bracie ukochany! Przekonana o jej rzeczywistości, jakżebym wierzyć nie miała, że ciebie kiedyś ujrzę zupełnie szczęśliwym? Ciebie, któremu od urodzenia widziała ciągle działającego dla cnoty, ciągle poświęcającego życie szczęściu drugich i dobru powszechnemu.

MALWINA

CZYLI

DOMYŚLNOŚĆ SERCA

Enfin quand la raison hésite et flotte encore,
Souvent l'instinct a déjà pris l'essor.¹

De Lille
Imag Chap. 1.

TOM PIERWSZY

ROZDZIAŁ I

PIORUN

„Teraz, co burza minęła,² zdaje mi się, że duszno tu w pokoju. Dobrze byłoby okno na balkon otworzyć.

— Siostro! komarów do światła naleci tysiącami.

— Rąbek w oknie komarów nie puści, a chłód do nas dojdzie i zapach rezedy, którą deszcz musiał dobrze odświeżyć. Ale, mój ty luby tchórze (dalej z uśmiechem rzekła Malwina do siostry), nie komarów podobno ale grzmotów raczej się boisz! prawda, że dość mocne przez godzin kilka trwały; lecz ponieważ zupełnie się uspokoiły, to i ty się uspokój, moja Wandulu, i dlatego, żebyś jeszcze łatwiej o strachu swoim zapomnieć mogła, zagram ci owego mazurka, który, jak mówisz, najzabawniejsze bale ci przypomina“.

¹ „Słowem, gdy rozum waha się jeszcze i brak mu pewności, instynkt często wszedł już na właściwą drogę“. Cytat z Delilla, znanego dobrze w Polsce z *Les Jardins*. (Dwuwiersz wyjęły z poematu p. t.: *L'imagination, poème en huit chants*, Londyn, 1806 r.). Zrozumiałe, że cytat ten tworzy pendant do „podtytułu“: *Domysłność serca*.

² *Teraz, co burza minęła* — błędnie, zamiast: *teraz gdy burza minęła*

Młoda Wanda, przekonana temi słowy, od krosienek skoczyła otwierać okno, a Malwina, zapiąwszy robotę, siadła do fortepianu i ulubionego mazurka grać zaczęła. Wesoło przebiegając salę i rozmyślając o zimowych balach, Wanda zupełnie zapomniała, że kiedykolwiek grzmoty na świecie bywają, lecz przypomniawszy sobie, że zaprzestać być dziecinną i za słuszną już osobą uchodzić życzyła, poważną postać przybrawszy i siadłszy przy fortepianie, „Dość tych szaleństw (rzekła), dość tego mazurka; teraz siostrzyczko, zaśpiewaj mi jedną z tych pieśni, które, choć niebardzo są smutne, mnie jednak zawsze rozrzewniają, kiedy ty twoim słodkim głosem je śpiewasz!” Malwina, każdemu rada dogodzić a bardziej jeszcze siostrze, pograwszy trochę, następującą pieśń śpiewać zaczęła:

WIENIEC HALINY.¹

Zielone z ozdób obrałem doliny,
Fijołkiem świeżą przeplatając różę,
By skronie mojej uwienczyć Haliny,
Zbierałem goździk i liliję hożę.

Z poranku miękkich swych włosów pierścienie,
Wieniec odemnie kraśnym ozdobiła,
Wonniejsze nadeń różowych ust tchnienie,
A świeżość twarzy blask jego zgasiała.

Dzień cały Halkę te kwiaty zdobiły,
I każdy pasterz w tej przyznał krainie,
Że na jej skroni bardziej się pyszniły,
Niż kiedy rosły w ojczystej dolinie.

Lecz gdy wieczorem bez farby i woni
Omdlone kwiaty Halka obaczyła,
Wzrok się jej zmienił: upuściwszy z dłoni,
Wieniec ku ziemi i oczy spuściła.

Wzrok tedy lepiej wyraził, niż słowa,
Tę czułość, którą dały jej niebiosy,

¹ Z angielskiego poety Prior (*przypisek autorki*). — Mathew Prior († 1721), poeta w Polsce mniej znany. Zbiorowe wydania jego dzieł wyszły w roku 1718 p. t.: *Poems on several occasions* i w r. 1779 p. t.: *Poetical works*.

Gdy na omdlone łza z oczu perłowa
Upadła kwiaty, jakby kropla rosy!

Wówczas, chcąc wiedzieć, co było przyczyną
I skąd takowa wzięła się odmiana,
O moja, rzekłem, nadobna Halino!
Powiedz, co znaczy ta łza niespodziana?

Westchnęła, potem z uśmiechem podobnym,
Jakim cierpliwość w żalu się rozśmieję,
Patrzaj, zawoła, w tym wianku nadobnym,
Jak krótka chwila przyćmiła nadzieje!

Wiosny nadzieje, co kwitną na łące,
I ranna młodość, podobne są sobie,
Pyszną obydwie pięknnością błyszczące,
Równe w trwałości, równe i w ozdobie.

Snuły rozkosze dnie młodej Teony,
Wśród grona pustej szalała młodzieży,
Alic w okropne uderzono dzwony,
Czytam na grobie: — Teona tu leży. —

Co wczoraj losem stało się Teony,
To dzisiaj może czeka twą Halinę,
Osądź-że teraz, o mój ulubiony!
Jeśli nie słuszną mam smutku przyczynę.

Nigdy, jak tego wieczora, głos Malwiny przyjemniej się nie rozlegał. Na prośbę siostry, gdy strofę ostatnią raz jeszcze powtarzała, szmer taki, jak gdyby ktoś na tarasie pod oknem chodził, Malwinie słyszeć się zdało, co raptownie przerwało jej śpiewanie. Malwina ucichła, Wanda podług zwyczaju hać się zaczęła; potem obie, dodając sobie męstwa, odważyły się wejść na balkon, lecz noc tylko czarną tam znalazły. Grube obłoki, deszcz, jeszcze i grzmoty wróżące, niebo całe zaciągnęły; cichość zupełna w powietrzu panowała (jak zwykle przed największymi bywa nawałnicami) i słowik na bliskiej topoli, miłosne swe nucąc tony, jedynie powszechnie przerywał milczenie.

Pewnieśmy się omylili, rzekła Wanda, rozumiejąc, że hać, jakiś słyszemy; tu żywej duszy niema, ciemno okropnie, i polewaj nie-



szczęściem nie w tych czasach żyjemy, w których Sylfy koło siedlisk ziemianek czasami się błakali, moja rada byłaby wrócić do pokoju, ho tu, prócz kataru, niczego się nie doczekamy.

Malwina, oparta na kracie balkonu i oczy mająca wlepione w ciemność, która wszystkie przedmioty okrywała, nie bardzo słuchała roztropnej mowy Wandy; lecz błyskawica, co w ten moment czarne obłoki przeszła, przerwała jej dumanie, i Wanda, korzystając z tego wypadku, siostrę do pokoju wepchnęła, okiennice i firanki pozasuwała, aby, ile możliwości, ni widzieć, ni słyszeć grzmotów i łyskania, które z bojaźnią przewidywała.

Ledwo skończyła te wszystkie środki ostrożności i tylko co obie siostry usiadły były znów do krosienek, alie burza niesłychana, miotająca z szelestem ogromnemi topolami koło domu, deszcz kroplisty bijący w okna, i grzmoty po całej rozlegające się krainie, strachem przejęły trwożliwe serce Wandy. Malwina nawet, która zwykle grzmotów się nie bała, okropnością jakąś przejęta, wstała była dla dania rozkazu, żeby drzwi i okna wszędzie pozamykano, gdy w ten moment taki okropny trzask piorunu dał się słyszeć, iż nie można było wątpić, że w sam dom, lub przynajmniej bardzo gdzieś blisko uderzył. Malwina osłupiała na chwilę, lecz postrzegłszy Wandę z przelęknienia jak bez duszy leżącą, zaraz o swoim strachu zapomniała i skoczyła siostrę ratować; z pośpiechu wielkiego ledwo wszystkich dzwonek nie zerwała. Ludzie przybiegli z całego domu; starania ich wkrótce Wandę ocuciły, i Malwina, widząc ją mniej bladą i uśmiechającą się znowu, wtedy dopiero odzyskała zdolność słuchania długich opowieści, które razem gadając, czynili wszyscy o owym strasznym piorunie i o wrażeniu, jakie sprawił na każdym. — Jak mi Bóg miły (żegnając się rzekła Frankowska, zasłużona pokojowa Malwiny), nigdy równego strachu nie doświadczyła. Ja właśnie kołnierzyk prasowałam dla Jejmości (powiedziała na to Marynia, dziewczyna służąca) ale ze strachu żelazko upuściłam na łapkę Kory, która do tego czasu skowyczy! Jeszcze to wszystko nie jest, ale ja wam opowiem krótko moje osobliwe zdarzenie w tem powszechnem przerażeniu, zaczął wołać Marcin, stary zasłużony kamerdyner, poczciwy i dobry, który wszystkie miał zalety, ale od urodzenia nie jeszcze prędko nie powiedział, i którego relacja Bóg wie jak długo byłaby potrwała, gdyby następującą okolicznością nie została przerwana. Lokaj wpadł do sali, oznajmując, że ów piorun, który wszystkich prze-

raził, padłszy we wsi na Somorkowej stodołę, zapalił ją, a wiatr duży i bliskość chałup większego jeszcze kazał obawiać się pożaru; nawet cała wieś spłonąćby mogła. Dobra Malwina, której najpierwsze wzruszenia zawsze ją prowadziły do litości i do pomagania cierpiącym w jakim bądź gatunku, jeszcze osobistą miała przyczynę zajęcia się Somorkową, gdyż ta wieśniaczka mlekiem ją swoim karmiła i od dzieciństwa jak własną kochała córkę. Malwina tedy, ani na noc, ani na wicher nie uważając, ani na przestrogi starego Marcina, który wiele rzeczy za to o zdrowie swoje mało dbanie jej przepowiadał, rozkaz dała jemu i kobietom swoim, aby przy słabej jeszcze Wandzie zostały, a zarzucawszy tylko szal na siebie, sama z domu wybiegła. Spiesząc, kędy ją blask łuny prowadził, wkrótce smutny nader widok ujrzała. Stodoła Somorkowej ze zbożem już spalona, chałupa jej i kilka innych w ogniu; chłopci w pierwszym śnie przebudzeni, ani umieli, ani chcieli ratować myśląc, że pożaru od pioruna wszczętego gasić się nie godzi. Płacz kobiet i dzieci, noc ciemna, wicher okrutny, wszystko to razem zebrane, trwogą przejąwszy Malwinę, odjęło jej na chwilę sposobność i moc rozkazania, coby w tym razie działać trzeba, gdy jeszcze te słowa: *ach, moja wnuczka, moja biedna Alisia w komorze uspiona*, — *zginie bez wątpienia!*¹ z najboleśniejszym jękiem przez Somorkową wymówione, do reszty Malwiny przytomność mieszały. Nie wiedząca już sama, co robi, słuchająca jedynie swego dobrego serca w chęci ratowania tego dziecka, leciała pomiędzy kłęby dymu blaskiem ognia zaćmiona; w tem belka wpół spalona padła przed nią i przeszkodziła zupełnie do dalszego postępowania, a siły, tylu wzruszeniami zwątlone i nie równające się mocy duszy, opuściły ją w ten moment zupełnie; jednak czas jeszcze miała postrzec, jak nieznajomy jakiś mężczyzna, przeskoczywszy krokwie wpół spalone, belki i tarcice zajęte, biegł do niej; wyciągnawszy ją z tego niebezpiecznego miejsca, ów nieznajomy na świeże wyprowadził powietrze. Końca tego Malwina nie widziała, gdyż tedy zupełnie już była zemdloną na ręku nieznajomego, który szczęśliwie uratowawszy ją z pośród ognia, oddał staraniom jej kobiet i ludzi, a sam pobiegł

¹ *zginie bez wątpienia* — w rękopisie A Alisia zwie się Malwiną i jest chrześną córką Malwiny; miała przeto zapewne dziedziczyć imię po chrześnej matce. Malwina jednak musiałaby trzymać dziewczynkę do chrztu, będąc chyba sama jeszcze dzieckiem i dlatego autorka w rękopisie B od tego pomysłu odstąpiła. (Księżna Marja wiele dzieci wiejskich do chrztu trzymała. — Malwina i w tem miała być do niej podobna).

ratować dziecko, które niewinnym sposobem mogło być stać się przyczyną śmierci dobroczynnej Malwiny.

Nieznajomy ten młodzieniec, pomimo grożących niebezpieczeństw, potrafił dojść aż do tego schronienia, gdzie mała Alisia w czasie tego hałasu, i tak bliska śmierci, spokojnie w łóżeczku swoim spała; zawiąawszy ją w pierwszą plachtę, którą napadł, wyniósł jak najprędzej, a za jego przykładem i pomocą wkrótce i ogień został ugaszonym. Malwinę tymczasem do najbliższej chaty zaniesiono; ocucona po chwili, nie wiedziała dobrze, gdzie się znajduje, lecz otworzywszy oczy, pierwszy przedmiot, którego ujrzała, znalazł się być tenże sam nieznajomy, który wprzód jak cień tylko mignął się jej był przed oczy. Teraz zaś widziała go patrzącego na nią z najczulszą troskliwością i przy nim postrzegła Alisię, cel ten tkliwej ich litości; *żyje i zdrowa jest zupełnie*, rzekł z pośpiechem nieznajomy, *szczęśliwsza od innych żyć będzie pewnie, by kiedyś mogła się odwdzięczyć dobroczynnej swojej opiekunce!*

Widok dziecka, a może te słowa i sposób, którym były wymówione, pomocne stały się do ukojenia strwożonego serca Malwiny, wlawszy w to serce uczucie jakieś rozrzewniające, dotąd jeszcze jemu nieznane. — „I ja i Alisia, rzekła Malwina do nieznajomego, obciśmy życie winny temu, którego imię radabym już wiedzieć, by znać, komu tyle winnam wdzięczności? — Jest to nazbyt cenić zdarzenie (odpowiedział nieznajomy), które szczęściem stało się dla mnie, ale wypełnienie którego każdy równie miałby za obowiązek. Co się zaś mnie tyczy, nie śmiałbym nikogo mną samym zatrudniać; ale rozkazowi twojemu pani powinienem być posłuszny. Ludomirem mnie zowią; w ciągu podróży przejeżdżając tędy, dla burzy zatrzymałem się na poczcie, a korzystając z jej uciszenia się na chwilę, dozwoliłem sobie błąkać się pięknymi ścieżkami, prowadzącemi ku domowi, którego pani... łatwo się teraz domyślam. — „Ach, to i ja się teraz domyślam, kto... (śpiewanie moje dziś przerwał) chciała dołożyć Malwina; te słowa, z ust ulatując, wyprzedziły uwagę nad ich niepotrzebnością; zارumieliła się, niedokończyła, i Ludomir, postrzegłszy jej zmieszanie, uczynił się, jakby tego nie był uważał, i dalej mówić zaczął: „Gdy nawałnica powtórnie się wszczęła pod bliską tu schroniłem się wystawę; słyszałem, jak piorun uderzył, i wkrótce pożar postrzegłem; przyleciałem wtedy i za najszcześniejszą w życiu tę będę rachował godzinę, w której dobroci i niewinności stać się mogłem użytecznym“. Unikł Ludomir: Somor-

kowa, która ledwo nie szalała z radości, widząc i wnuczkę swoją i Malwinę ukochaną, obie zdrowe i bezpieczne, nie mogła dosyć wyrazów wynaleźć w swojej ku Ludomirowi wdzięczności. Domowi Malwiny, najczulej ku pani przywiązani, szczerze Somorkowej w tem towarzyszyli. Wanda, śmiejąc się i płacząc razem, dziękowała Bogu, dziękowała Ludomirowi, ścisła Alisę, Somorkową i wszystkich, co napadła, i uwiesiwszy się siostrze na szyi „Ach, mówiła, jakże to dobrze Opatrzność zrządziła, że ty jesteś na świecie, żeś moją siostrą, że ty mnie, a ja ciebie tak z duszy kocham“. Po tym wylewie czułości wróciwszy do zwyczajnego humoru,¹ z uśmiechem zaczęła mówić do Malwiny: „Spodziewam się, siostrzyczko, że świadoma praw dawnego rycerstwa, które mnie szanować zalecasz, wiesz dobrze, że waleczni rycerze, którzy honor lub życie dam ratując, własne ważyli, bywali potem po zamkach tychże dam przyjęci i uczczeni. My starodawnego zamku nie mamy, ale do domu swojego przynajmniej zaprosić powinnaś rycerza naszego, który jeżeli nie z innej strony, to z odwagi i ludzkości doskonale jest nam znajomy“.

Malwina, która bardziej jeszcze może od Wandy życzyła dom swój Ludomirowi ofiarować, wahała się jednak w przyjęciu gościa zupełnie sobie nieznanego, osobliwie w niehytności ciotki, która zwykle przy niej mieszkała, a trafem naówczas była nieprzytomną. Lecz na szczęście Ludomira, co utaić przed damami dotąd był zdołał, Wanda odkryć potrafiła, a to było, iż gdy ratował Alinę, kawał ciężkiej łąty wpół spalonej padł mu na ramię i zranił go boleśnie; zrazu na to nie zważając, spuchnienie ręki tem pomnożył: skrwawiony rękaw odkrył tę tajemnicę. Tak ważnym przyczynom ustąpić musiały skrupuły Malwiny; uradzono zatem przy wielkiej radości Wandy, że damy powinny rycerza do zamku zaprosić i o ranie jego mieć staranie.

Chłopom, którzy przez pożar wszystko byli utracili, Malwina nagrodzić wszystko obiecała, a Alisę (dołożyła, do mamki swojej obracając się) *odtąd na własną chęć wziąć opiekę*. Alisia, pyszną się czując tą obietnicą, uczepiła się wnet sukni swojej drugiej matki, prosząc, aby ją zaraz z sobą zabrała, na co gdy babka chętnie zezwoliła,

¹ *wróciwszy do zwyczajnego humoru* – motyw dwu postaci kobiecych o usposobieniach kontrastujących, jednej poważnej, drugiej pełnej wesela, rozpowszechnił się w powieści pod wpływem Russa *Nowej Heloizy*. Russo przejął ten motyw z Richardsona *Klaryssy*.

Ludomir, choć z chorą jedną ręką, nie dał jej nieść nikomu, lecz na drugą rękę wzięwszy ją natychmiast, już nie na pocztę, ale z obydwiema siostrami do ich zamku się udał.

ROZDZIAŁ II

LIST LUDOMIRA DO TELIMENY

W Krzewinie 15 Maja 18..

Listy dwa, com pisał od wyjazdu mego, musiałaś już odebrać, matko kochano! Oprócz wyrazów mego przywiązania, żalu po Tobie i tej jakiejś tęsknoty, która mnie z domu wypędziła i dotąd nie porzucała, nic ci nie mogłem donieść. Powtarzać nie będę nudnego ciągu smutnej dość podróży; jechałem, boś mi jechać kazała, widząc mnie zamyślonym, ponurym, ach, niemal nieszczęśliwym (jeśli przy tobie nieszczęśliwym być można). Czuła twoja nademną opieką wyobraziła sobie, że zmiana miejsc, zatrudnienia podróży, uspokoić może potrafią tę głęboką melancholję serca i burzliwe zapędy duszy, która czując się może zdolną do wszystkiego, najbardziej nad tem cierpi, że srogim losem na wieczną jest nieczynność skazana.

Ale dosyć o tem, co ciebie aż nadto zasmucało; lepiej racz posłuchać opisanie dnia wczorajszego, szczęśliwego dla mnie, ponieważ w tym dniu stać się mogłem użytecznym.

Tu Ludomir opisuje, co czytelnik w przeszłym już czytał rozdziale, i jak pierwszy raz postrzegł Malwinę, dalej dokłada:

Przy ćmiącym blasku pożaru, między dymem, zwalonemi belkami, wśród trwogi i niebezpieczeństw, postrzegłem kobietę a raczej Anioła! Ach! matko, nic nigdy równego nie widziałem, a raczej nic nigdy równego wrażenia na mojem nie uczyniło sercu. — Ujrzałem Malwinę, z okropnej ją może śmierci wyrwałem! na rękę moim zemdloną wyniosłem; na rękę moim, blisko serca Ludomira, śliczna głowa Malwiny spoczywała; na rękę moim zwieszona, podobna była białej lilji, którą burza nachyliła! twarz jej blada, czarne długie warkoczki, które na szyję i śnieżną suknię spadały... Ach! matko! lubo to zjawienie ni z serca, ni z pamięci mojej nigdy się nie wymaże! Ale matko kochana, zdaje mi się stąd słyszeć ciebie mówiącą: — otóż Ludomir znowu wpadł w swoje zachwycenia! o ta głowa gorąca kiedyż się usatkuje! — Żeby

tedy więcej na te nie zasługiwać zarzuty, zimno i rozsądnie resztę ci opiszę.

Z Malwiną i Wandą wróciłem do zamku. — Ręka moja, która mocno jest skaleczoną, zatrzyma mnie tu jeszcze dni kilka, bo dobra i troskliwa tutejsza pani nie chce mnie puszczać, póki felczer, którego sprowadzili, nie wypuści mnie z tego miłego więzienia; ja też — przyznam ci się — niekoniecznie się wydzieram. — Nie wiem dlaczego, ale tu lżej oddycham, powietrze musi być zdrowsze w Krzewinie, łąki zdają się być zieleniejsze, bujniejsze drzewa, wonniejsze kwiaty, niż gdziekolwiek. Nie wiem, czy dla słowików, których tu jest tysiącami, ale noc całą spać nie mogłem; jednak dziś rano wstałem z rzeźwiejszym, pogodniejszym sercem, z takim, jakiegom dotąd nigdy w sobie nie czułem. O dziesiątej dano mi znać, że czekają na mnie ze śniadaniem, bo w Krzewinie razem go zwykle pijają. Przed oknami Malwiny, na prawdziwie szmaragdowej murawie, między dwiema ogromnymi topolami, nakryte było śniadanie. Malwina, już nie błąda jak wczora, ale świeża jak zorza, odziana w najbielszym, com kiedy widział muslinie, kapeluszy miała biały, różową błądą wstążką wiązany, który trochę zasłaniał twarzy i nie dozwalał obfitym włosom zewsząd się dobywać. — Już nie powiesz, matko kochana, że na stroje kobiet nie uważam nigdy; spodziewam się, że ci ten dość dokładnie wyszczególnię. Wanda i Alisia biegały po murawie. Wszyscy się troskliwie o moją rękę pytali. Do śniadaniaśmy zasiedli; wszystko świeże, wszystko smaczne zdawało mi się. Przy Malwinie siedział. Niebo tak było pogodne — słowa, spojrzenie, uśmiech Malwiny tak dobry, tak ujmujący... Ach, matko kochana! nie powiem już nigdy, że niema szczęścia na tej ziemi!... jest szczęście — może być szczęście, szczęście nad wszelkie wyrazy!...¹ Ale

¹ Cały ten ustęp, nie tylko w kolorystyce uczuciowej, ale nawet w szczegółach, jest refleksem lektury *Wertera*. Przypomnieć wystarczy z *Die Leiden* następujące wyznania w listach do przyjaciela: „Samotność jest balsamem dla mojego serca w tej rajskej okolicy...; każde drzewo, każda gałązka jest wieńcem kwitnącym... (s. 4) Dziwna wesołość całego mnie zajmuje, równie jak ten poranek wiosenny, którego z serca używam. Sam jestem i cieszę się w tej okolicy, stworzonej dla takiego serca jak moje... (s. 5). Są tu dwie lipy, które szerokimi gałęziami zasłaniają plac przed kościołem... tam piję kawę... (s. 13). Trudno mi będzie opisać ci porządnie, jak... poznałem istotę najgodniejszą kochania... Jest to anioł. Ach nie! każdy tak swoją nazywa, nie prawda? A przecież nie jestem w stanie powiedzieć ci, jak jest doskonałą, dlaczego doskonałą? dosyć, że wszystkie moje zmysły zniewoliła... Jeśli dalej tak będę pisał, tyle się dowiesz na końcu, co na początku.

Ludomir jeszcze przed urodzeniem, czarnym już wyrokiem od losu naznaczony, nie powinien nawet ani dumać o szczęściu!¹

Bądź zdrowa, matko kochana! Ponieważ czarne myśli tłoczą się znowu w moje uczucia, nie chcę niemi tyle dla mnie przyjaznego zasmucać serca. — Bądź zdrowa, matko ukochana, jedyna przyjaciółko Ludomira; póki on żyć będzie, póty cię szanować i kochać nie przestanę.

ROZDZIAŁ III

W KTÓRYM CZYTELNIK JAŚNIEJ DOWIADUJE SIĘ, KTO BYŁA MALWINA

Malwina, z jednej z pierwszych familji w Polsce urodzona, czternasty rok kończyła, gdy rodzice unyślili wydać ją za mąż. Ledwo z dziecinnych lat wychodząca, nigdy jeszcze się nie zastanowiła nad przyszłością. O szczęściu, o nieszczęściu stanowić nie mogła, świata bynajmniej nie znała i żadnego innego uczucia, żadnej innej myśli nie miała, prócz przywiązania do rodziców i chęci bycia im we wszystkim przyjemną i posłuszną. Idąc tedy za tem, choć daleka od tego, żeby powab albo przyjemność jakakolwiek w przyszłym obiecywała sobie postanowieniu, wstręt nawet i odrazę czując do męża, bo rodzice przyjąć go kazali; lecz nim ostatnie dała swoje zezwolenie, oświadczyła przyszłemu mężowi, że nie czując żadnego do niego przywiązania, jedynie z rozkazu rodziców za niego idzie, na co jej odpowiedział, że bynajmniej to nie szkodzi, że raz będąc jego żoną do niego się przyzwyczai i że w wypełnianiu swoich obowiązków znajdzie i szczęście. Zupełny ten brak delikatności przejął trwogą serce Malwiny, nader smutnym nadal wróżąc jej losem; mimo tego jednak wkrótce potem

Słuchaj! teraz się zniewolę przyjsć do szczegółów... (s. 19–20). Pędzę dni tak szczęśliwe, jakie tylko Bóg dla świętych swoich zachował. Niech odtąd co chce ze mną się dzieje, nie mogę powiedzieć, żebym nie użył najczystszych życia rozkoszy...; czuję szczęścia, jakie tylko człowiek mieć może...* (s. 30. — Przekład Brodzińskiego. Biblioteka powszechna, nakład Zuckerhandla).

¹ Autorka odbiega przeto od zasadniczego motywu Werterowskiego: tragedji wewnętrznej wskutek *wrodzonych własności psychicznych*, które nie pozwalają nieszczęśliwemu młodzińcowi pogodzić się z światem. W *Malwinie* powód tragedji leży poza bohaterem.

Tu, w tem właśnie miejscu nawiązuje autorka nić intrygi.

została Malwiną S.^{***} ¹ Rodzice jej niedługo byli świadkami ciągu dalszego jej losu (losu, którego zwrot nieszczęśliwy z posłuszeństwa ku ich woli naturalnie musiał nastąpić). W podeszłym już będąc wieku, w kilka miesięcy po ślubie córki żyć przestali, i strata ich najboleśniej-szem stała się dla niej umartwieniem. Mąż, który niewyrozumiałą zazdrość do wielu innych łączył przywar, wywiozł ją zaraz od rodziny i znajomych, do odludnego zamku w głąb najdalszej prowincji. Tam dzikością charakteru, zazdrością bez powodów i ustawicznymi popędli-wemi wyrzutami, że go nie kocha, truł młode lata, dnie i godziny wszystkie łagodnej, niewinnej Malwiny, która wprawdzie kochać go nie mogła, ale żadnej mu przyczyny nie dawała, aby mógł słusznie powiedzieć, że mu w czemkolwiek uchybia.

Przez dwa lata najsmutniejsze, jakie być może, życie prowadziła; alić nareszcie mąż, u którego wszystkie namiętności żywe, równie i niestatecznymi bywały, uprzykrzył sobie żonę męczyć niedzielnem kochaniem i zmieniawszy całkiem sposób życia, najgwałtowniejszą pasją nabral do polowania. Dnie całe trawił z kilką sąsiadami równie sobie grzecznymi na gonieniu, męczeniu i zabijaniu biednych sarn, lisów i zajęcy, a wieczorami, z polowania wróciwszy, z tymiż samymi sąsia-dami pił okropnie do późnej nocy.

Malwina tymczasem, szesnasty dopiero rok licząc, samej sobie zostawiona, w najzupełniejszej żyła samotności. Byłe z domu nigdzie nie wyjeżdżała i nie przyjmowała nikogo do siebie, mąż, który rzadko kiedy nawet ją widywał, więcej o nic się nie pytał. Zrazu to zupełne opuszczenie zasmuciło i zatrwożyło Malwinę; ale szczęściem natura była jej dała imaginacją żywą i chęć zatrudnienia się. Te dwa przy-mioty, broniące ją od nudów (od tej trucizny, która nie tylko losy przekorne, ale i najszcześniejsze dole obmierzła zaprawia goryczą), te dwa, mówię, przymioty, uczyniły stan Malwiny nie tylko znośnym, ale często nawet i przyjemnym. Godziny wszystkie, których dosyć miała do użycia, podzieliła sobie między rozmaite zatrudnienia, zabawy i spoczynek. Obfita, choć zarzucona biblioteka, którą Malwina odkryła, stała się jej wielką pomocą i prawdziwem szczęściem. Młoda i wielu rzeczy nieświadoma, czytając z uwagą i wiele, sama siebie — rzecz można — wychowywała. Rozum naturalny przyjemnymi wiadomościami ozdobiła

¹ *Malwiną S.**** — na sposób romansów francuskich i angielskich XVIII w., które często zastępowały nazwiska iniejałami. Zwyczaj ten przetrwał długo.

i charakter, ledwo że nie powiem dziecinny jeszcze, w zasady pewne ustaliła; lecz przy tych rozsądnych książkach, w których tyle dobrego czerpała, Malwina i temi nie gardziła, które są skutkiem dowcipnej i czasem nadto wybujałej imaginacji; jednym słowem, z wielką chciwością i trochę może nadto czytywała romansów. To małe zdarzenie wpływ miało poniekąd na całe jej życie, kierunek dając szczególny jej myślom i sposobowi widzenia rzeczy i sądzenia o ludziach.

Ale cały dzień czytać nie można; to też kilka godzin w dniu na czytaniu strawiwszy, Malwina muzyką się rozrywała. Nieraz w gotyckich gankach, po obszerno-pustych salach starożytnego zamku, piękny głos jej się rozlegał. Lubiła śpiewy o dawnym rycerstwie śpiewać, ¹ łącząc młody głos swój z poważną organów harmonją. Żywa jej imaginacja, wstecz ją zwracając, stawiała jej na pamięci świetne rycerskie czasy lub mgliste bardów dumania.

Kibic jej giętka i hoża, długie czarne warkocze, twarz łagodna, na której ni lata, ni namiętności, żadnej jeszcze kresy nie wyrwały, ujmującym czyniły ją przedmiotem, i gdy w białą szatę odziana po księżycu promieniu, który wąskimi dobywał się oknami, jak lekki cień po owych salach przechadzała się, postać jej, jak i imię, przypomniały te młodociane dziewice, które niegdyś po bajecznych pałacach Fingala snuły się i które Ossjan śpiewał ².

¹ W Puławach znajdowały się „wypisy” ręką ks. Izabeli dokonane, z różnych autorów. „Najszerze miejsce w tych wypisach znajdują wieki średnie, poezja trubadurów, powieści rycerskie, pieśni prowansalskie, podania o rycerzach okrągłego stołu i o dworze miłości”. (L. Dębicki *Dwie autorki*, Przewodn. nauk. i lit., 1887, s. 921)

² *postać jej i imię przypominały te młodociane dziewice...* — *dziewice*, nie *dziewicę*, Malwina bowiem islotnie jednoczy w sobie znamienne cechy różnych postaci ossjanowskich (nie wyłączając postaci z *Nocy Bardów*):

„Zbliży się biała postać, czarne jej warkocze.

Ach córka to jest wodza..” (*Bard czwarty*, w przekładzie Krasickiego)

Kukulin, usłyszawszy opowieść Fergususa, wzywa Mornę:

„A ty, o Morna nadobnego lica,

Zbliż się na świetnym promieniu księżycu,

Kiedy snem miłym zdjęte będą oczy...” (I).

Agandeka, kiedy ją doszedł śpiew Ulina:

„Wyszła na odgłos wdzięcznego śpiewania

Z miejsc, w których była osobnie:

Wyszła z miejsc, w których tajemne wzdychania

Mogła obwieszczać sposobnie.

Nie mogę jednak zataić, żehy niekiedy Malwina, rozrzuwniona muzyką, albo rozmyślająca o dawnych dziejach, o rycerstwie, o walecznych tklivych rycerzach, nie westchnęła czasem, widząc się samą, zawsze samą. Ale młody wiek, wiek, w którym była Malwina, ma w sobie to szczęśliwe jakieś przeczucie długiej przyszłości, które mimowolnie łagodzić umie wszelkie troski i które potrafiło jej czasową uspokajać tęsknotę.

Przytem nie gardziła niewieściami robotami, a ranki i wieczory poświęcała długim spacerom pomiędzy skałami, lasami i nad brzegiem potoków, które otaczały jej siedlisko. Nieraz w tych samotnych przechadzkach dobre serce Malwiny znajdowało miłe zajęcie, gdy do ubogich chat, do niskich zagród wstępując, pocieszenie, dobry byt i zdrowie, co za tem idzie, z sobą przyniosła. Błogosławieństwo starych, dzięki młodych, uśmiech dzieci, odbierała w nagrodę i co wieczór do ponurego swego zamku z najpogodniejszym sercem wracała.

Takim sposobem godziny, dnie nieznacznie mijały, i czwartą jesieii w Głazowie nadchodzącą już Malwina widziała, gdy jednego poranku bez żadnego w tem przygotowania, raptownie jej donieśli, że mąż, który, jak zwykle, dnia tego był wyjechał na łowy, zapędziwszy się za zwierzem w bezdrożne parowy, szwankował był z koniem, i że

Blask jej piękności wabił do kochania,
Śkliniła się w oczach ozdobnie...“ (III).

A oto jej widmo obłoczne, jawiące się przed Fingalem:

„Skoro sen zamknął znużone powieki,
Stanął cień przed nim wdzięcznej Agandeki,
Duch lekki w jasnym obłoku się wznosił,
Twarz zbladłą łzami kroplistemi rosił.“ (IV) i t. d.

Jak wiadomo, Ossjan oddziaływał na W. Scotta. Księżna Marja znała także *Pieśń ostatniego minstrela*, a upodobniając siebie i bohaterkę romansu do dziewięciu ossjanowskich, każe równocześnie Malwinie błądzić samotnie po pałacu pod gotyckimi sklepieniami, śpiewać pieśni przy blasku księżycy i łączyć głos z „poważną organów harmonją“ na wzór W. Scottowskiej Anny, która

„...sama jedna, na wysokim ganku
Patrząc po niebie, marząc o kochanku,
Trącała zlekka swojej arfy struny,
Lub w dal bez celu śląc wzrok zamyślony,
Czekała, zda się, aż błyśnie z za wzgórz
Milej kochankom wschód wieczornej zorzy“ (III, XXII).

myśliwi, znalazłszy go leżącego jak bez duszy, zanieśli zaraz do najbliższej wioski, a do zamku czemprowadzaj posłali po wszelki ratunek. Przerazona Malwina natychmiast pobiegła tam jak najspieszniej; ale mimo modłów jej szczerych, mimo starań doktora i wszystkich sposobów, które, jakie tylko być mogą, użytemi były, mąż jej, do przytomności nawet nie wróciwszy, w kilka godzin po swoim przypadku życie zakończył.

Zmyślałabym, gdybym mówiła, że śmierć męża nienagrodzonym nieszczęściem zdała się naówczas Malwinie; ale dołożyć mogę, że dobra i-bynajmniej niezawzięta Malwina, zapomniawszy, jak mało z nim była szczęśliwą, szczerze lzy wylała nad wczesną i okropną jego śmiercią, i co dziwniej zdawać się będzie, to, że wkrótce potem Malwina, lubo zupełnie wolna, w kwiecie młodości i mogąca się spodziewać (że tak rzekę) krociami szczęść, zabaw, przyjemności w nowo zaczynającym się życiu, smutny rzucając Głazów, boleśnego jednak uczucia doznała. Zwodzony most przejeżdżając, serce jej się ścisnęło¹, i czarnoczyć wlepiwszy w tę stronę, póty na ciemny, zarosły zamek patrzała, póki go tylko dostrzec mogła przy zachodzącym słońcu, którego promienie, bijąc w szyby, oświecały wieżyczki kątowe. Malwina, choć o ćwierć mili już może, ostatnie posyłając pożegnanie, rzekła z rozrzwiniem: „Żegnam cię, starodawny zamku, gdzie kilka lat spokojnie spędziła; jadę do świata, któregom zupełnie nieświadoma! żegnam cię, głucho, odludne siedlisko! obym nigdy twojej nie żałowała spokojności!”

Nie chcąc dla żaloby jechać zaraz do miasta, Malwina ułożyła sobie czas jakiś przepędzić w Krzewinie; ta była pomiędzy jej majątkami jedna z najprzyjemniejszych, niebardzo daleko od miasta, blisko jej familji i w najweselszym położeniu. Osiadłszy w Krzewinie, napisała zaraz do ciotki swojej, prosząc i namawiając, aby do niej na jakiś czas, a może i na zawsze przyjechała. Ciotka z dzieciństwa szczególnie ją kochała; będąc wdową i żadnej nie mając przeszkody, chętnie na prośby Malwiny przystała; ku większemu jej szczęściu Wandę (która od śmierci rodziców przy ciotce hawiła) z sobą przywiozła. Złączone razem od ośmiu miesięcy, najprzyjemniej żyły, gdy wkrótce potem, jakieśmy w przeszłych rozdziałach widzieli, poznały Ludomira.

¹ oczywista gallicyzm; w dalszych rozdziałach, zwłaszcza pod koniec romansu, jest ich coraz więcej.

ROZDZIAŁ IV

LIST WANDY DO CIOTKI

Mimo wyraźnej obietnicy regularnego do nas pisywania, jednego słowa od wyjazdu Cioci od niej nie odebrałyśmy. — To jest pierwszy występki; drugi, że Ciocia na piętnasty miała już być w Krzewinie, a tu dwudziesty minął, a Cioci jak nie widać, tak nie widać. Tak to wojaże ludzi psują, i teraz pojmuje, czemu, mimo gorących moich prośb, Ciocia nigdy mi dalszego wojażu nie dozwoliła, jak o dwie mile na odpust do Rożniszewa, do zabawnego i świetnego miasta, gdiem pewnie zepsuć się nie mogła. Ale niech Ciocia jeździ, niechaj nowe zabiera znajomości, my tu także mamy czem się zajmować. Blisko od tygodnia mamy tu gościa; — Ciocia ciekawa wiedzieć o tym gościu? — Otóż na ukaranie Cioci, że o nas zapomina, nie powiem ani kto, ani co, tylko powiem tyle, że się zowie Ludomir, że mnie wcale nie ma za trzpiota (jak wszyscy), że jest bardzo dla mnie grzeczny; jednak podobno dla Malwiny jeszcze grzeczniejszy. — Ale, ale, Malwina prosi, błaga Cioci, aby jak najprędzej do Krzewina wracała; niesłuchanie pragnie tego i powiada, że choć zawsze przytomność Cioci jej miła, nigdy jednak jak teraz nie była jej potrzebną.

Ludomir jest wysoki, śliczne ma zęby, ale rzadko się śmieje (co zdaniem mojem nie jest dobrze), wzrok ma powłoczysty, i długie czarne oczy, które nigdy krótko nie patrzą. Wczora najbardziej to uważałam; muszę ci to opisać moja Ciociu kochana!

Wczora tedy po śniadaniu zasiadłyśmy z moją siostrą do krosienek, i Malwina prosiła Ludomira (który między innemi rzeczami przedziwnie czyta), żeby nam chciał przeczytać *Ludgardę*, oryginalną tragedję, która nowo z druku wyszła¹. Ludomir czytał przednio, z uwagą, sceny tklive zdawał się nie tylko wzrokiem ale sercem czytać; jednak nie wiem, jak on to czynił, ale wciąż na Malwinę patrzył, i daleko bardziej w niej, niż w książce miał oczy wlepione. Malwina zamyślona nie wiem o czem i strasznie nad robotą schylona, pewnie tego nie

¹ Autorka popełniła omyłkę. Tragedja Kropińskiego *Ludgarda*, napisana między rokiem 1807 a 1809, znana była współcześnie z odpisów, a od roku 1816 z licznych przedstawień teatralnych, wszelako „z druku wyszła” po raz pierwszy dopiero w r. 1841.

uważała, ale ja dobrze uważałam... i to jeszcze śmiesznie Ciociu, że jak żyję, nigdy jeszcze nie widziałam takiego spojrzenia jak Ludomira, osobiście kiedy na Malwinę patrzy. — Co Cioci powierzę jednak, to, że w tym samym Ludomirze (który zresztą bardzo mi się podoba), postrzegam wszelako niektóre wady. Naprzód często bywa zadumany, czasem bywa ponury, co nie jest dobrze. Onegdaj Malwina, chcąc go szczególniej poznać, bardzo niewinnie zapytała się o jego familją i o rodziców, gdzie są, gdzie zamieszkani? na te słowa twarz Ludomira zmieniła się zupełnie, i zamiast zwykłej tklivości, którą okazuje, głęboki smutek na niej się wyraził, gdy Malwinie odpowiedział: „Wiedzieć szczegóły o losie tak mało znaczącego, jak ja jestem, jestestwa, nie może być przydatne nikomu; niech mi więc wolno będzie na to jedno nie odpowiadać zapytanie“.

Przyznaj, Ciociu, że tak naszą a osobiście moją ciekawość dręczyć, nie jest rzeczą przyzwoitą. Ale ja stąd widzę, jak Ciocia Ludomirowi wszystko daruje i nawet przeciw mnie i mojej ciekawości bronić będzie, gdy się dowie, że ukochaną Cioci Malwinę z pożaru i okropnej może śmierci uratował... *Co też ta Wanda plecie o śmierci, o wyratowaniu, o jakimści Ludomirze, którego nikt nie zna, a wszyscy go kochają* etc. etc. powie pewnie Ciocia, i prawdę mówić będzie, jeśli tak powie, bo ja sama, odczytawszy mój list, znajduję, że ciężko w kupę go skleić i zrozumieć, com chciała w nim opisać. — Ale przyjedź tylko jak najprędzej do nas, Ciociu kochana, a wtedy dowiesz się jaśniej o wszystkim, a tymczasem to przynajmniej jaśnie i wyraźnie wyczytaj w liście twojej (zawsze trochę szalonej) Wandy, że cię kocha i szanuje najczulszem, najwdzięczniejszym sercem.

P. S. Malwina, choć tego nie przyznaje, zdaje mi się niebardzo być zdrowa od niejakiego czasu; nie mogę dobrze rozeznaczyć, czy weselszą, czy smutniejszą ją znajduję; ale widząc w niej jakąś odmianę, rozumiem, że to ze zdrowia pochodzić musi, lecz co mnie przy tem uspokaja, to, że świeższa i ładniejsza, niż kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ V

CIOTKA

Ciotka naszych dwóch sióstr najlepsza była osoba; o wszystkich podług siebie sądząc, o nikim źle nie sądziła i nigdy nic w niczem nie

widziała złego. A obydwie swoje siostrzenice z duszy kochała, ale dla Malwiny miała ledwo że nie powiem uwielbienie. Rozumiała ją być doskonałą i prawdziwem wyobrażeniem tych heroin romansowych, które dobra nasza ciotka nad wszystko przenosiła, ale które, oprócz w książkach, nigdy, a przynajmniej rzadko bardzo się znajdują. Malwina zaś bynajmniej doskonałą nie była; miłą będąc, młodą i dobrą, do zbioru wielu przymiotów łączyła niektóre wady. Ale ponieważ składowość do tego znajduję, niech mi wolno będzie szczere dać tu wyobrażenie mojej Malwiny i niech mi będzie wybaczone, jeśli się cokolwiek nad tym obrazem zatrzymam. — Przyznaję moją słabość do oryginału, więc nie dziwno być powinno, że się opisaniem jego dłużej nieco zabawię.

Malwina miała bardziej serce tklive, niż uczucia gwałtowne, imaginacją żywą i zbyt może wybująą, co było skutkiem odludnego wychowania i wykarmionych myśli poezją i romansami, które młodą jej głowę często wiodły po milej ale błędnej krainie omamienia. Zwrot dowcipu miała niepospolity i ten szczęśliwy a rzadki dar natury łatwego przypodobania się różnym wiekom, rozmaitym humorom, różniącym się charakterom. Miała tę łagodność niewieścią tak miłą w pożyciu i trafność naturalną, przy pomocy której zawsze wiedziała, co komu powiedzieć, jak kogo słuchać i jak nigdy nikogo boleśnie nie obrazić. — Ta bojaźń tkliva Malwiny, by nikogo nie razić boleśnie, przypomina mi, co autor jeden niemiecki w jednym z dzieł swoich mówi: *Nie rań nieczyjego serca, ranić tak jest łatwo — nie rań serca szczęśliwego, by mu szczęścia nie odebrać; pamiętaj, że szczęście jest szanowne, bo rzadkie; nie rań serca smutnego, bo nieszczęście przez samą swoją powszechność szanowniejsze jeszcze.*

Malwina rozum miała właściwy. Wszystko widziała, nie wiem, czy lepiej, ale inaczej, jak wszyscy, co dawało jej myślom i wyrazom coś szczególnie miłego. Łączyła w swoim charakterze różne sprzeczności; łatwo ją melancholja zająć mogła, a przytem często bywała wesołą i zabawy moc wielką miewały na jej umyśle.

Najszczęśliwiej żyć umiała na wsi i w samotności, a jednak, w dalszym ciągu życia, miasto, społeczeństwa¹, hałas wielkiego świata bynajmniej przeciwnemi jej nie były. Wesoły i dowcipny humor pociągał ją

¹ społeczeństwa — w znaczeniu: towarzystwa (jak już poprzednio i jak później stałe).

czasem do uśmiechnienia się, albo zażartowania z kogo; ale w tem łatwo się zawsze wstrzymywała, bo Malwina przed wszystkim i nadewszystko była dobrą, właściwie dobrą. Ale Malwina była kobietą; mając powaby i przymioty naszej płci, nie była zupełnie wolną od jej przywar. Nie dość czasem zastanowienia się i rozwagi w postępkach (którymi nie zawsze roztropność, a częściej pierwsze poruszenia serca rządziły) i chęć może trochę zbyt uczucia podobania się, byłyby jej wadami. Ale te może przebaczonemi jej zostaną, kiedy czytelnik wspomni sobie, że Malwina nie jest dziełem idealnem, lecz istotą prawdziwą, i że w istocie nikt nie jest doskonałym.

Malwina była ładną, powabną; często i łatwo w życiu się podo- bała, chociaż w piękności takżę doskonałości nie miała. Była dosyć wysoka, giętki miała stan i ruszenie pełne wdzięku; włosy czarne i gładkie, jak krucze pióra, przytem miękkie i łatwo się wijące, czarne, długie oczy, w których wszystkie uczucia duszy się malowały. Czasem w ich spojrzeniu coś anielskiego zastanawiało, a wkrótce figlarność tamże postrzec można było. Uśmiech miała najwdzięczniejszy, płęć zwykle trochę bladą, ale radość i zabawa umiały twarz jej ożywić, która wtedy wesołą świeżością zajmowała. — Taką była Malwina; cieszyć się będę, jeżeli mimo wad i niedoskonałości, łaskawych na siebie spotka czytelników, a teraz wracam do ciotki, którąśmy trochę niegrzecznie porzucili¹.

Odebrawszy list od Wandy, śpiesznie interesa pokończyła i do Krzewina wróciła. Z zwyczajnem sobie dobroci uprzedzeniem natychmiast Ludomira pokochała, pobłażając nawet skrytości jego w wyjawieniu nazwiska. — „Nie trzeba go męczyć niepotrzebnemi pytaniami, mówiła do siostrzenic; dość nam wiedzieć, że Malwina życie mu winna, że jest dobry, miły w pożyciu, waleczny, i przynajmniej, póki ręka jego zupełnie się nie zgoi, okrucieństwem byłoby go wypędząć“. Malwina, która niekoniecznie życzyła wyjazdu Ludomira, wsparta poważnem zdaniem ciotki, szczęśliwą się uczuła. Zapomniała tego, że Ludomir z imienia jedynie był jej znany, i bez żadnych trosk, ani myśli na dal, zaczęła używać z rozkoszą jego ze wszech miar przyjemnego społeczeństwa.

¹ Ten sposób żartobliwej rozmowy z czytelnikiem („którąśmy trochę niegrzecznie porzucili“) właściwy był szczególnie autorowi *La vie de Marianne* i Sternowi.

Ludomir wszystko w Krzewinie ożywił. Z nim przechadzki po kwiecistych dolinach i gajach pobliskich przyjemniejszymi Malwinie się zdawały. Nikt lepiej od niego przedzierać się nie umiał w najgęstsze parowy, by jej lilij polnych nazbierać, których zapach szczególnie lubiła, i Malwina mimowolnie czuła (choć sobie jasno nie tłumaczyła tego), że gdyby te lilje w palących znajdowały się przepaściach, toby Ludomir równie i tam po nie skoczył, gdyby Malwinie ich się zachciało. Nigdy głos Malwiny lepiej się nie wydawał, jak wtórowany głosem Ludomira, i kiedy razem śpiewali¹: *Dunque mio bene, tu mia sarai, se cara speme io tua sarò...* lub co podobnego, Malwina, istotnie szczęśliwa, zapominała, że jakiegokolwiek troski mogą być na świecie. Talentem swoim większego dodawała starania, widząc, jak miłemi zdawały się być Ludomirowi. Przy nim pierwszy raz doznała przyjemności, którą nabyte wiadomości sprawić mogą; często z Ludomirem rozmawiała o tem, co czytywała. Zwyczajnie równie widzieli i równie o rzeczach sądzili; lecz kiedy czasem Ludomir sprzeciwił się Malwinie, to i w tem przyjemności jakiejś doznawała. Miło jej było słuchać Ludomira, miło jej było uczyć się od niego tylu nieznanych wiadomości; on pierwszy w życiu myśli jej rozumiał, uczucia zgadywał, imaginacji nie gasił i serca, głęboko gdzieś schowanego i nawet zimną zwykle okrytego zasłoną, jak nikt w świecie, domyslać się umiał.

Ludomir, który kochał wszystko, co Malwina kochała, lubił, co tylko ona lubiła, nietylko jej, lecz łatwo i w krótkim czasie wszystkim w Krzewinie przyjemnym i dogodnym stać się potrafił. Rady i domowe lekarstwa ciotki, których mu obficie dodawała na chorą jego rękę, z wdzięcznością przyjmował, choć ich nigdy nie użył. Z Wandą po górach biegał na wyścigi, i wieczorami, gdy na tarasie przed domem wszyscy zebrani siedzieli, na prośbę jej niejedną o strachach opowiadał historję. Alisi maliny i poziomki najpierwsze przynosił. Wszystkim domowym drogim był nadzwyczajnie, bo w nim widzieli wybawiciela ukochanej sobie pani; ale Marcin, stary kamerdyner, szczególniejszy miał jeszcze do Ludomira afekt, bo choć zawsze o czem innem myśląc, uprzejmie jednak przysłuchiwał się czasem długim jego opowiadaniom, od których cały dom uciekał.

¹ *śpiewali* — w rp A po wyrazie tym słowa: „te tak ładne włoskie duetka z opery Romeo et Juliette: *Dunque*“ i t. d., albo: *Da te, il mio caro tutte le pene oblio...*“

W takim stanie rzeczy dziwić się nie trzeba, że choć ręka Ludomira dawno była zgojoną, nikt tego nie przypomniał; dnie i godziny tak mile mijały, że czwarty miesiąc się kończył, a nikt w Krzewinie nie pomyślał, żeby Ludomir mógł z niego kiedy wyjechać.

Teraz gdy, co minęło, przeczytał czytelnik, pytam się, co rozumie? Ludomir czy kocha się w Malwinie? Malwina czy kocha Ludomira? ja na to odpowiedzieć nie mogę; tyle tylko do mnie doszło, że naówczas Malwina jeszcze sama dobrze nie wiedziała, czyli wiedzieć nie chciała, co się w jej sercu dzieje. — Nie spieszymy się więc z jawieniem tej tajemnicy; biedna Malwina może i tak zbyt prędko ją odkryje.

ROZDZIAŁ VI

DZIEŃ IMIENIN

Szczęśliwą jest rzeczą w życiu być kochanym. Ale ja dokładam, że kochać jest już szczęściem, może nawet pierwsze przewyższającym.

Kiedy kto bardzo kocha, tem samem myśli, dusza, serce jego są zajęte. Żadna godzina nie jest obojętną, dnie jak najmilej są napelnione tem jedynem zajęciem, tą jedyną myślą, jakby los ukochanego sobie jestestwa, nie tylko w ważnych, ale i w najdrobniejszych okolicznościach uszczęśliwiać i przyozdabiać. Te małe codzienne starania, przyjemności, przysługi, są dla serca tem, czem są kwiaty w naturze. Życie słodzą i ubarwiają, tak jak kwiaty stroją i umilają krainę, i jeśli nader miło jest odbierać je od kochającej osoby, tysiąc razy jest milej krociami je sypać na ulubiony cel swego kochania.

Tak i w Krzewinie myślano i żadnej okoliczności nie omieszkiwano, by przyjemność jaką uczynić tym, których się kochało. Dzień imienin Malwiny nadchodził, i Wanda z Ludomirem umyśleli, żeby dnia tego zabawić ją niespodzianą jaką rozrywką. Naprzeciwno domu była duża kępa zielona, cienistemi umajona laskami. Wieczorem, gdy Malwina, okno otworzywszy, chciała wyjść od siebie, postrzegła na lasze, która blisko pod jej domem od kępy ją dzieliła, ładny bacik z masztem i białą chorągiewką. Zamiast powrozów, wite z bławatków sznury lekkim wiatrem się kołysały, a przewoźnicy parzysto poubierani, różnofarbne wstążki mieli u kapeluszków. Łatwo Malwinę namówili, aby siadła w ten ładny bacik i w krótkiej chwili na brzeg kępy ją przewieźli. —

Idąc czas jakiś ścieżką między gęstą leszczyną, usłyszała odgłos muzyki, który coraz dalej ją prowadząc, doprowadził nareszcie tam, gdzie się odsłoniła oczom Malwiny łąka najzieleńsza, krągiem najpiękniejszych drzew otoczona. Pod temi drzewami było mnóstwo ludzi na rozmaite grona i kupy podzielonych; bo oprócz mieszkańców Krzewina całe sąsiedztwo było zaproszone. Naprzeciwko Malwiny, gdzie drzewa największą wystawiały gęstwinę, pięknemi krzewinami miejsce było ozdobione, i wśród tej świeżej zieloności ulotna Wanda, na kamiennej stojąc podstawie, okazywała bóstwo *przyjaźni*. Lekka biała szata ją okrywała i wieniec z bluszczu na skronie był zwieszony; trzymała w ręku długi uplot z najpiękniejszych kwiatów. Alisia pod różanym siedząc krzakiem, *miłość* udawać miała i z figlarną swoją twarzą doskonale swoją grała rolę. Krocie jej złoto-wijących się włosów, niebieska utrzymywała przepaska; na dziecinnych barkach złoty kołczan ze strzałami spoczywał, i Alisia a raczej *miłość* z uśmiechem patrząc na *przyjaźń*, drugi koniec trzymała kwiecistego uplotu. Od dębu do dębu szal purpurowy zawieszony służył za dno temu ujmującemu obrazowi, a *czas* z kosą w ręku, w postaci sędziwego starca, ulatując nawet, dosypywał tam jeszcze kwiatów. Na kamieniu te słowa były wyrte:

Przyjaźń i miłość, łącząc wiernych serc daniny,
 Wiły ten uplot w świeżość i wonie bogaty;
 Oby tak na dni wszystkie nadobnej Malwiny
 Czas ulatując, sypał pełną dlonią kwiaty!¹

Radość i wdzięczność Malwiny łatwo sobie można wystawiać; i goście, i przyjaciele, i słudzy, wszyscy ją ostąpili; winszowali, szczerze dobrze życzyli, bo dobrą Malwinę powszechnie kochano. Z rozrzewnieniem wszystkim dziękowała, ale ulubioną swoją Wandę najczulej do serca przycisnęła. Wanda, u której wstrzemięźliwość w gadaniu nie była cnotą pierwszą, przysuwając się do ucha Malwiny: „Siostrzyczko, rzekła, jeszcze komuś powinnaś dziękować; bo ja, prawda, żem szczerą chęć miała obchodzić najświetniej imieniny twoje, ale nic nie mogłam wynaleźć dobrego, żaden koncept do głowy mi nie przychodził. Ludomir wszystko znalazł, wszystko ułożył; on wiersze napisał, bacik ustroił;

¹ W rękopisach znajduje się aż ośm redakcyj tego czterowiersza. Zasadniczej zmiany nie spostrzeżemy jednak w żadnej z nich, chodziło bowiem tylko o wdzięk, nie o rzecz.

on to miejsce wybrał; od rana pracując, sam go ozdobił; jednym słowem, bez niego nigdybym ładu nie była doszła; ja tylko gości pozapraszałam i rozkazałam podwieczorek“.

Na te słowa Wandy Malwina natychmiast zaczęła szukać Ludomira, ale w tłoku kryjącego się nie zaraz znalazła. Doszedłszy do niego, zmieszała się i nie prędko się zebrała powiedzieć: „bardzo też to ładne było“.

Wtem goście szczęśliwie nadeszli. Podwieczorek wszystkich zajął, który gdy się trochę późno zaciągnął, ciemnym już mrokiem przyszło do Krzewina wracać. Kilka bacików znalazło się jeszcze ładniejszych od pierwszego, chińskiemu kolorowemu lampami oświetlonych. Społeczeństwo, podzieliwszy się na gromady, siadło w te baciki, i przy odgłosie muzyki, najprzyjemniej wszyscy łachę nazad przepłynęli. Gdy szli tłumem do batów, Ludomir podał rękę Malwinie, i ta, po długim milczeniu, głowy nie obracając, odważyła się nareszcie mu powiedzieć: *ulożyłam sobie, żeby ta łączka, tak ładnie dzisiaj przystrojona, odtąd zwała się Łąką Ludomira*. — O! niech ona przynajmniej czasem przypomni biednego Ludomira! odpowiedział on z najgłębszym westchnieniem. Wtem dochodzili do batu, i na te jego słowa Malwina mimowolnie chwyciła go za rękę, jak żeby się bała, że ją chce porzucić. Ale to zapewne z przeczucia było, żeby w wodę nie wpaść; — ja przynajmniej tak rozumiem.

Przyjechawszy, damy do swoich pokojów udały się na chwilę, by odświeżyć swoje ubiory; za ich powrotem bal się zaczął i późno w noc trwał jak najweselej. Nie wiem jednak, czyli różnemi uczuciami roztkliwiona Malwina właściwie była wesolą. Czy długo i dobrze po tym balu spoczywała, w przyszłym dowiemy się rozdziale.

ROZDZIAŁ VII

WYZNANIE

Miłym był, nader miłym dla Malwiny dzień jej imienin, ten dzień, w którym tyle miała dowodów zajęcia się nią Ludomira. Ale ten dzień minął. — Niestety! najszcześniejsze zawsze najprędzej mijają. Wróciwszy w wieczór do siebie, te słowa jego: *niech ta łąka przynajmniej przypomni kiedy biednego Ludomira*, słowa, które z tak bolesnem wyrzekł był westchnieniem, ustawnie w uszach jej, a raczej w sercu brzmieć

zdawały się. Dotąd bez żadnych trosk nadal, ani rozwagi, z spokojnością używała tysiącznych przyjemności, które wypływały z przytomności Ludomira; ale te kilka słów wyrzeczonych stały się urokiem, który ją z nader miłego oczarowania ocucił. Ta zielona niewiadomości zasłona, która jej oczom przyszłość i własne zakrywała serce, spadła raptem. — Pierwszy raz Malwina pomyślała, że Ludomir mógłby ją porzucić; pierwszy raz uczuła, że z nim słodycz życia by ją porzuciła. Z trwogą dostrzegała, ile jego pamięć głęboko w jej sercu wryta; z trwogą rozważała, że ten Ludomir tak jej miły, tak do jej życia potrzebny, tak (wyrzec nareszcie trzeba) ukochany, zupełnie był jej nieznajomy, że nie wiedziała, czym ani kim on jest, i że tajemnica, którą się otaczał, mogła równie występki jak i nieszczęścia ukrywać. Nareszcie, że tenże sam Ludomir, choć nią jedynie zdawał się zajęтым, nigdy dotąd słowa o miłości nie wyrzekł i z szczególnem nawet staraniem szukał tego, by sam na sam nigdy się z nią nie znajdował. Te wszystkie rozwagi, gdy Malwina uczyniła, i stan serca, rzecz można, przed zimnym rozsądkiem rozwinęła, tysiączne troski, bojaźni, żale, których nigdy dotąd nie była знаła, wcisnęły się raptownie w jej duszę; i dziwić się nie trzeba, jeśli już świtać zaczynało, a Malwina oczu jeszcze nie była zmrużyła. Nie mając już nadziei zaśnięcia i strudzona najsmutniejszymi myślami, wstała, lekką na siebie suknią wzięła, by wyjść z pokoju, sądząc, że świeże ranne powietrze osłabiony umysł orzeźwi. Nim wyszła, mimowolnem poruszeniem zajęta, padła na kolana, i z tkliwem uczuciem rzekła: *O! Boże litościwy, który Ojcem pozwalasz nazywać Siebie, nie opuszczaj mnie nigdy! Nieszczęśliwe losy z zupełnem oddaniem się Twojej woli przyjmę od Ciebie, jakie bądź zechcesz na przyszłe moje zstać lata, ale Boże litościwy, broń mnie od postępków, którehy na nie zasługiwać mogły!*

Tę krótką wymówiwszy modlitwę, Malwina mocniejszą się uczuła. Okno otworzyła i chcąc czemś się rozerwać, wzięła gitarę z sobą i wyszła na taras, który w około dom opasywał. Ranek najpiękniejszy najpogodniejszy dzień obiecywał. Gęste krople rosy lśniły się na listkach ziół i kwiatów, którym blasku i świeżości dodały. Powietrze było uwonione kwiatem pomarańcz, do których lekki zapach mirtu się mieszał. Skowronki, w górę wzlatując, i ziemby na gałązkach radośnie zorzę witały, pszczoły brzęczały koło kwiatów, rybki skakały w wodzie. Zdaleka słychać było wesołe śpiewy oraczów i ryk trzód na paszę

wychodzących. Cała natura budzić się zdawała, by nowych używać rozkoszy. Ale powszechna ta radość, zamiast co by ją miała rozerwać, boleśniej jeszcze serce Malwiny ścisnęła. Ach! nigdy skryte troski boleśniej się nie czują, jak w pośród okazałości szczęścia, lub w gronie zabaw i boleści!

Malwina zadumana, patrząc na tę piękną krainę, w zamyśleniu oparła się o duże pomarańczowe drzewo, które kwiatem obsypane było. Wtem lekki wietrzyk zawiał, i białe listki tego kwiatu, jakby śnieg gęsty, całą Malwinę okryły. *Ach niestety, pomyślała, ten rodzaj kwiatów później od innych się rozwija, najpóźniej opada; — niedługo i liście opadać zaczną, niedługo jesień nadejdzie! o jakże prędko to lato minęło!*

Schodząc potem z tarasu, Malwina weszła na wał, który panował nad brzegiem łachy, zdobił ogród i razem bronił od szkodliwych wylewów. Ławka, stojąca pod rozłożystym kasztanem na końcu wału, wabiła ku sobie. Widok na łachę, na kępę, na Wisłę, i kraina najpiękniejsza, szczególnie to miejsce miłem czyniły. Malwina tam spoczęła i zdjawszy z głowy biały welum, co ją osłaniał, machinalnie wzięła gitarę i pograwszy czas niejaki, te słowa, które uczuciom jej odpowiadały, cichym głosem śpiewać zaczęła:¹

Być kochaną, jak się kocha,
Znaleźć duszę do swej duszy,
Czyliż to prośba zbyt płocha,
Co niebios nigdy nie wzruszy?

Szczęścia domyślne marzenia,
Serc rozkosze niezmienione,
Próżne uczuć mamienia,
Nie będziecie uiszczone!

Dziwią się czasem, gdy zakochani szczególnem jakimś szczęściem zawsze trafnie znajdują się tam, gdzie mogą choć na chwilę ujrzeć cel swego kochania. Nie czarami to się dzieje, i należałoby zaprzestać temu się dziwić. Łatwą jest rzeczą do pojęcia, że ci, co

¹ W rękopisie A po „śpiewać zaczęła”: „Être aimé autant que j'aime” (być kochaną, jak kochani), poczem pieśń, jak w tekście drukowanym. Widocznie przekład to jakiejś współcześnie nuconej piosnki francuskiej.

jednostajnymi myślami są zajęci, równie poniekąd działają. Ludomir, jedynie Malwiną zajęty, jak ona podobnie nim, ze świtem takż był wstał i wyszedł był do ogrodu, by myśleć o niej swobodnie. Usłyszawszy jej głos, przybiegł od niej niepostrzeżony; lecz jak przestała śpiewać, Ludomir z nadto już pełnem sercem, by rozum najmniejszą mógł utrzymać przewagę, straciwszy głowę zupełnie, padł do nóg Malwiny, i nic innego nie mógł wymówić, jak: *przestraszyłem cię Malwino! ach daruj!... wybacz... ależ bo ja tak nieszczęśliwy!...* Malwina złęknioma, zmieszana, oniemiała. Serce jej tyłu przeciwnościami w ten moment było miotane, że sama nie wiedziała, co ma odpowiedzieć; ale oczy podniósłszy na Ludomira, postrzegła wyryty na jego twarzy takowy wyraz żalu i cierpienia, że ten słaby cień gniewu, który między innemi uczuciami z jego raptownem zjawieniem mignął się w jej myślach, zniknął zupełnie, i nic innego w sercu nie zostało prócz najtkliwszej litości. Zamiast wyrazów gniewu, śpiesznie wyrzekła: — *O nie bądź nieszczęśliwym! to najbardziej wytrwaćbym nie mogła.* Te kilka słów wymówiwszy, zapłonioma i zmieszana, twarz w welum schowała i rzewnie zaczęła płakać. — *Malwino uwielbiona! Aniele dobroci, (rzekł Ludomir) nie płacz... ach nie płacz nigdy... ostatnią kroplą krwi mojej radbym odkupić każdą łzę, którą wylewasz.* Hałas z przyczyny nadchodzących osób, który zdaleka usłyszeli, przerwał tę rozmowę. Malwina z pośpiechem wstała, Ludomir zatrzymując ją, z najczulszem dołożył rozrzwieniem: *Malwino, na wszystko, co ci tylko jest drogiem w ściecie, zaklinam cię, nie porzucaj mnie, nie zostawuj z tą myślą tak okropną, żem cię obraził. Przez litość przynajmniej; bo nie możesz pojąć, nie pojmiesz nigdy, co to jest śmieć ciebie kochać, nie mając nigdy nadziei być od ciebie kochanym!*

Malwina w ten moment tak żywo w sercu czuła, ile Ludomira kochała, że nie mogąc pojąć, by on się tego nie domyślał, to słowo: *Niewdzięczny!* z ust jej się wymknęło, a słysząc coraz bliżej nadchodzące osoby, czas miała tylko najspieszniej uciec, welum swój łzami jej jeszcze zmoczony, w tym pośpiechu zapomniawszy. — *Niewdzięczny!* z niewypowiedzianem uczuciem powtórzył Ludomir i schwyciwszy welum Malwiny, do serca go przyciskając, rzekł z zapalem: *chyba z życiem go stracę.*

ROZDZIAŁ VIII

LIST DRUGI LUDOMIRA DO TELIMENY

16 sierpnia, w Krzewinie.

Matko kochana, wybacz, jeśli twoim radom nie mogę być posłusznym, dłużej ciągnąc podróż moją. W Krzewinie zostać nie mogę, a reszta świata żadnej dla Ludomira nie ma ponęty. — Do ciebie chcę wrócić i w dzikich odludnych lasach naszych zamknąć się na zawsze, od miłości, od szczęścia, od Malwiny daleki! — Od Malwiny... o nieba!... i kiedyż, w jakim moment?... kiedy oddzieram się od niej? w tej chwili, gdy pierwszy raz dostrzegł promień szczęścia, szczęścia nad wszelkie wyrazy, szczęścia którego serce Ludomira, do cierpienia tylko przywykłe, niezdolne może byłoby i wytrzymać!... Wszystkie więzy, jakie tylko są najmiłsze, najdroższe, zatrzymują mnie w Krzewinie, ale uczciwość jechać każe; — jadę jutro.

Matko, czemużeś z dziecinnych mnie cierpień wyratowała? żeby nie twoje starania, od kołyski prosto w zimny grób wchodząc, nie znałbym trosk, cierpień, nie znałbym palących uczuciów, którymi teraz umieram, ah! niestety, którymi jedynie żyję.

Nie mogę dłużej pisać; — może po chwili spokojniejszy trochę, potrafię list mój dokończyć, ale teraz nie jest w mojej mocy i słowo jedno więcej dolożyć.

tegoż d. o 12-stej w nocy.

Stało się, już wszystko dla mnie się skończyło! ostatni raz ujrzałem Malwinę... już ja jej widzieć, już jej słyszeć nigdy nie będę; — już też szczęście i nadzieje wygasły na zawsze w sercu Ludomira! Ale wybacz matko! wybacz... dręcę twoją czułość memi wyrzekaniami, nie tłumacząc wyraźnie ich przyczyny. Dla ciebie jednej mogę znaleźć moc wyszczególnienia, co cierpię; słuchaj więc opisu uczuć moich od czasu mego tu przyjazdu.

W pierwszych listach, com do ciebie pisał, postrzec musiałaś, że pierwszy rzut oczu moich na Malwinę natychmiast mnie ku niej całkiem zniwolił. Później łagodność jej duszy, tysiączne powaby, talenta, przymioty, coraz bardziej mnie przywiązywały. Każdy dzień, każda godzina droższą, miłszą ją memu sercu czyniła. W toż serce, w duszę

moją, we wszystkie uczucia i myśli wcisnęła się nieznacznie, tak łagodnie, że sam nie postrzegał, jak gwałtownie nademną panuje. Alić dziś rano... o łube i okrutne wspomnienie! zapomniawszy wszelkiej rozważi, nie pomnąc na tę okropną granicę, która dzieli na zawsze Ludomira od Malwiny, u nóg jej moje nieszczęsne wyznałem kochanie! Matko, posłuchaj dalej! W jednym spojrzeniu, w jednym słowie, przez nią wyrzeczonem, dostrzegłem, poczułem raczej, że ta Malwina, ta uwielbiona, Boska Malwina, przez powab serca swojego, mogłaby moją Malwiną zostać! Niebo się otworzyło w tej chwili. — Nicem nie widział, nie myślał, nie czuł na świecie, prócz tego, że ją kocham nad życie, nad siebie, nad wszystkich, nad wszystko¹. Niestety! równie była zmienna, jak zachwycającą ta chwila nieporównanego szczęścia; wspomnienia uczciwości natychmiast mnie z niej wyrwały. Pókim Malwinę zupełnie rozumiał obojętną, póty jeszcze w Krzewinie zostać mi się godziło, bom swoją tylko, a nie jej spokojność ważył i szczęście. Ale gdy dziś rano dostrzegł tajemnicę serca tego anielskiego... — Niestety! wszakże nigdy, nigdy Malwina być moją nie może! nigdy świetna, szlachetna, bogata Malwina losu swojego łączyć nie powinna z losem opuszczonego, bez stanu, bez imienia nawet, nieszczęśliwego Ludomira! — Matko! jechać trzeba. Jutro równo ze dniem, gdy Malwina jeszcze spoczywać będzie, Ludomir Krzewin opuści. Raz jeszcze może jeden, gdybym ją ujrzał, nicby mnie od niej oderwać już nie potrafiło. Dziś w wieczór jeszcze ją widział, jeszcze ten głos słyszałem, co jedynie do mego serca trafić umie; jeszcze z nią zachodzące ujrzałem słońce... — Niestety! ostatni raz w oczach moich tę tak lubą porzuciło krainę, i na wschodzący księżyc ostatni raz z Malwiną patrzałem! Miljony gwiazd po niebieskiem iskrzyły się sklepieniu, z nią i z Wandą

¹ Styl uniesień, wyznań w tym liście (jak i później jeszcze niejednokrotnie), to styl St. Preux z *Nowej Heloizy*. Porównaj: „O Juljo! której nie zdolny jestem się wyrzec! o losie, którego nie mogę zwyciężyć!... Juljo, droga Juljo! I nie mielibyśmy należeć do siebie? Dni nasze nie miałyby nam razem upływać? Moglibyśmy być rozdzieleni na zawsze? Nie, ohydm sobie nigdy wyobrazić tego nie był zdolny... Nie istnieje nic, nie, nie istnieje nic zgola, czegobym nie uczynił, by cię posiadać lub umieść” (I. 1, L. 26). „Przybywaj, duszo mego serca, życie mego życia, przybywaj... Przybywaj pod ochroną tkliwej miłości, odebrać nagrodę twego posłuszeństwa, twojej ofiary; przybywaj, ażeby zeznać...” i t. d. (L. 53). „O tęsknoto, o trwogo, o straszliwe bicie serca!... Ktoś wchodzi, ona to, ona! Poznaję ją, ujrzałem ją...” i t. d. (I. 54).

siedliśmy w miejscu otwartem, gdzie nic okręgu nieba nie zasłaniało. — *Nigdy*, rzekła, *nie mam bardziej napełnionego serca wielkością Boga, jak wpośród cichej, pogodnej nocy, krociami gwiazd i poważnym blaskiem księżyca oświeconej. Wspomnienie zeszlých osób i myśli o przyszłym życiu mnie natychmiast zajmują.* — *Ludomirze! czy spotkamy się tam? jakie twoje w tem przeczucie?* — *Malicino!* (łzami zaćmiony rzekłem) *spotkamy się, zobaczymy się jeszcze tam, tu... ach, znajdziemy się!*

Wymówić nie mogłem nic więcej... Matko! czemuż trzeba było, by te zapytania czyniła właśnie wtedy, gdy myśl wiecznego rozłączenia napełniała serce moje? — Wstała Malwina, jam jeszcze jej rękę trzymał. — *Idźmy*, rzekła, *już późno, obaczmy się jutro.* — Ach! obaczemy się, krzyknąłem, w jakimkolwiekbyś świecie!...

Odeszła waleń, jam wryty stanął; długom ją gonił oczyma, — potem, padłszy na ziemię, potok rzewnych łez wylałem, pobiegłem ku tarasowi; mignęła się jeszcze biała jej suknia, którą wiatr ku drzwiom ogrodu powiewał — wyciągnąłem ręce... Niestety! — zniknęła na zawsze! ¹

¹ Że księżna Marja musiała *Wertera* czytać mnóstwo razy, świadczy o tem właśnie powyższa scena pożegnania. Oto scena analogiczna w *Die Leiden* (w przekładzie Brodzińskiego): „Stałem na tarasie pod kasztanami, patrzyłem na słońce, które po raz ostatni zachodziło nad tą miłą doliną, nad tym strumieniem. Tyle razy stałem tu z nią, patrzyłem na ten pyszny widok, a teraz... Pół godziny blisko zabawiłem się tęsknieniami... kiedy ją usłyszałem na taras wchodzącą. Pobiegłem i ze drżeniem ucałowałem jej rękę... Ona zwróciła naszą uwagę na piękne światło miesiąca... Ucieszyliśmy się, ona rzekła po chwili: *Nigdy nie widzę miesiąca, żeby mi moi umarli na myśl nie przyszli, żeby mnie nie przejęło uczucie śmierci i przyszłości. Będziemy żyć!* — dodała z uroczystem czuciem — ale, *Werterze, czy się znowu znajdziemy? czy się poznamy? cóż W. Pan myślisz? co powiesz?* (Was ahnen Sie? was sagen Sie?). Karolino — rzekłem, podając jej rękę, pełen łez w oczach — *będziemy się widzieć, tam i tu będziemy się widzieć. Nie mogłem dalej mówić. Wilhelmie! musiałab mi o to pytać, kiedy ja jej żegnaniem byłam zajęty...*” (Tu szczegóły w *Malwinie* nie istniejące, poczem:) „Wstała, ja przebudzony wstrząsnąłem się, zostałem na miejscu, trzymając jej rękę... Zobaczymy się znowu, zobaczymy! — wołałem — pod każdą postacią poznamy się znowu... Jutro zapewne rano — odpowiedziała, żartując... Szli aleją, ja stałem, patrzyłem za nimi po świetle księżyca, rzucony na ziemię wyplakałem się, zerwałem się, spiesząc na taras, i jeszcze pod lipami widziałem jej białą suknię ku drzwiom ogrodowym, wyciągnąłem ręce i zniknęła...” (Biblioteka powszechna, nakładem Zuckerkandla, s. 60 n.).

ROZDZIAŁ IX

ODJAZD

Nazajutrz Malwina, ledwo oczy miała otworzone, już jej list oddano. — Przeczucie jakieś trwożliwe natychmiast ją przeraziło, i nie pytając się nawet, skąd był ten list, drżącą ręką kopertę oddarła, i łatwo pojąć można, z jakim uczuciem, co następuje, czytać zaczęła:

List Ludomira do Malwiny.

Malwino! kocham cię nad wszelkie wyrazy; kocham cię, jak cię nikt nie kochał, jak cię nigdy nikt kochać nie będzie! — W tobie moje życie, w tobie moje szczęście! a dla ciebie i życia i szczęścia-bym odstąpił. Malwino! w jednej krótkiej chwili Niebom ujrzał! jedno twoje słowo, jedno spojrzenie to sprawiło, i wszystkie uczucia najtkliwszej rozkoszy zalały serce moje. Ale niestety! natychmiast ocucony z drogiego omamienia, strącony ze szczytu szczęścia, całą przyszłość moją widzę teraz jak okropną przed sobą pustynię, a w sercu tylko rozpacz i śmierć znajduję! Malwina nie może, Malwina nie powinna być moją.

Ale, Malwino, wierzaj mi, wierzaj, bo to tak prawda, jak prawdziwa jest miłość moja: nie występny, ale nieszczęśliwy Ludomir nie godzien jest ciebie! Występny Ludomir nie mógłby, nie umiałby kochać anielskiej Malwiny, ale nieszczęśliwy Ludomir nie powinien śmieć być od niej kochanym... Powiesz może, iż wtedy nie powinienem był i wyznać mojej miłości — i to ci przyznaję. Taiłem ją i nie pojdziesz nigdy, z jaką okropną męką taiłem ją póty, póki siły, póki możność wszelka tajenia jej dłużej nie opuściła mnie zupełnie. Ale, Malwino, jeśli wyznanie jej nareszcie było winą, wspomnij też i o karze — rzucam cię, rzucam na wieki!

Malwino! ty, która dobroci najtkliwszem na tej ziemi jesteś wyobrażeniem, Malwino, o jedną i ostatnią błagam cię łaskę! Wierz, bądź przekonaną, że tajemnica, którą się okrywam, żadnego nie kryje występku; ale w jakiejby okoliczności nie szukaj nigdy, nigdzie, podnieść zasłony losu mojego... Kiedy przy tobie będąc, od ciebie samej zapytany, nie wyjawilem ci go, znakiem jest, że to wyjawienie, bynajmniej tobie nieużyteczne, najboleśniej pomnożyłoby moje nieszczęście. — Raz jeszcze cię błagam, nie wspominaj nawet, żeśmy się kiedy widzieli.

Te są ostatnie słowa, które odemnie usłyszysz. Żegnam cię, Malwino, nad wszelkie wyrazy uwielbiona! Niech wszystkie błogosławieństwa Opatrzności na ciebie się zlewają! — Żyj szczęśliwa; ja umierając, z przekonania powiem jeszcze: nikt nie kochał, nikt nigdy tak kochać nie będzie Malwiny, jak nieszczęśliwy Ludomir! Bądź zdrowa! raz jeszcze, raz ostatni, żegnam cię na tej ziemi, ty najpierwsze, ty jedyne szczęście życia mojego!

Po przeczytaniu tego listu, rozrzewnienie największe, żal, zdziwienie, trwoga nawet jakaś, przejęły raptownie Malwinę. — Miłość Ludomira, uczciwość postępku jego w oderwaniu się od niej w tej chwili, gdy jasno mógł przeniknąć serce jej ku niemu, wspomnienie, że jej życie ratował, odraza od tajemnicy, którą się okrywał, wszystko to burzyło bez ładu umysł jej zmęczony. Lecz myśl ta, że Ludomir Krzewin opuścił, że już go może nigdy nie ujrzy, wszystkie inne myśli i uczucia wkrótce zatłumiła. Mimo rzewnych łez, które z oczu jej na Ludomira list spadały, raz jeszcze przeczytała te tkliwe jego wyrazy, i do tych słów dochodząc: *nikt cię nie kochał, nikt kochać nie będzie, jak nieszczęśliwy Ludomir*, obfitość łez nie dozwoliła dalej czytać, i w uniesieniu najtkliwszem: *Wszystkie przeczucia mego serca — pomyślała — upewniają mnie, że te słowa są prawdziwe. Ludomirze! winnam ci życie! winnam ci więcej, jak życie, bo odbieram od ciebie dowody najgwałtowniejszej i razem najszlachetniejszej miłości; miłości, która się jedynie mojem a nie swoim szczęściem i spokojnością zajmuje! Za takie dobrodziejstwa cóż ja niestety uczynić mogę? jedną jedyną ofiarę, ale która wszelkie inne przewyższa, bo ofiarę dochodzenia losu twójego, bez wyjawienia którego czuję, że żadnego już dla mnie prawdziwego szczęścia być nie może. — Ty tego pragniesz, ten jeden dowód dać mogę niestety twojej pamięci! O Ludomirze, przysięgam więc tobie i miłości prawdziwej, że w jakiejkolwiek bądź okoliczności, chociażbym miała do tego największą sposobność, nigdy, chybałyś sam chciał mnie ją wyjawić, nigdy nie będę szukała odkryć tej tajemnicy, którą los swój i wszystkie postęпки okrywasz!*

Ta przysięga i ważność, którą do niej przywiązała, ułagodziła nieco zbolełe serce Malwiny, bo zdały się jej być jeszcze ostatniem ogniwem więzu, który ją z Ludomirem połączył. Pocieszała się myślą, że czyni ofiarę, żadaną od niego i nie domyślała się niestety, ile ważną,

ile ciężką do wykonania ta ofiara dla niej stać się miała. Trochę będąc spokojniejszą, Malwina rozważać zaczęła, jak dalej działać miała. Czuła dobrze, iż rozmawiać często o Ludomirze, smutek wewnętrzny wyjawiać i dzielić go z drugimi, najpewniejsze były sposoby karmienia uczuć i myśli, które roztropność przytłumiać radziła. Ta uwaga tyle miała mocy na jej umyśle, iż przedsięwzięła natychmiast o liście Ludomira nie wspominać; a do tego przedsięwzięcia miłość była prawdziwszą jeszcze, niżli roztropność, pobudką, wlewając w serce Malwiny zazdrość jakowąś i chęć, żeby nikt, prócz niej, nie znał jego uczucia, nie cierpiał z jego cierpień, nie tęsknił po jego odjeździe, ani wiedział tego odjazdu przyczyny.

Przytem Malwina bała się słyszeć powtarzane uwagi, które sprawiedliwie można było czynić nad tajemnem postępowaniem Ludomira i które dla niej nieznośnemi były, gdyż rzucały cień jakiś przykry na obejście się jego, a Malwina i cienia się bała we wszystkim, co się tylko do Ludomira ściągało.

Te wszystkie przyczyny zebrane zrzędziły, że gwałt niełatwy do znoszenia czyniąc sobie, potrafiła smutek i właściwy stan serca utaić, i oblekwszy postać dość obojętną, zeszła do sali, gdzie siedzące przy śniadaniu ciotka i siostra już na nią czekały.

ROZDZIAŁ X

KRÓTKI

Niesprawiedliwie sądzą ci, co rozumieją, że w pierwszych momentach straty jakiej najboleśniej się ją czuje. Wtedy przynajmniej ten wypadek wszystkich zajmuje, mówią o nim, trudnią się nim. Osoba, której się żałuje, nie widzi się zapomnianą, nie widzi się tak zupełnie obcą jeszcze. Serce, nieprzyzwyczajone do żalu po niej, nie przypuszcza tej myśli, że ten żal bez zwrotu, i początek najokropniejszego rozłączenia zdaje się tylko odjazdem na chwilę. Ale gdy dni, godziny, okoliczności następujące jedne po drugich, nie zwracają nigdy osoby, którą się kocha, której się potrzebuje, która codziennie, co moment nam braknie — ach! wtedy dopiero sprawdza się nasze nieszczęście, i z najdotkliwszem westchnieniem mówi się ustawnie: *Niestety! istotnie na zawsze stracony!*

W pierwszej chwili zniknięcia Ludomira, Malwina, podług tego, co była przedsięwzięła, dość mocy miała nad sobą, aby z obojętną niemal postacią przysłuchiwać się nawet mogła niektórym o tym wypadku rozmowom ciotki swojej i siostry. — *Prawda, mówiła raz ciotka, że to tajemie swego stanu, swego nazwiska, ten rapłowny odjazd, są rzeczy niejasne, i ja nawet nic podobnego w żadnym nie czytałam romansie. Ale wszelako zapomnieć nie mogę, że Malwina mu życie winna, a wierzyć nigdy nie potrafię, żeby ten Ludomir, który coś tak szczególnie szlachetnego miał w całym obejściu się swoim, łudzącym tylko był awanturnikiem.*

Ale te ostatnie słowo boleśnie dotknęło Malwinę. *Jeśli takim jest w istocie, rzekła z pośpiechem, to ja tylko z tego cierpieć powinnam za karę mojej nieroztropności w przyjmowaniu go w mój dom. — Ale jeśli też tak nie jest, okrutnie byłoby niesprawiedliwie takim krzywdzącem posądzeniem odwdzięczać mu starania jego podczas pożaru i ratowania naówczas mego życia. Nie mogąc więc z pewnością o jego postępkach sądzić, najlepiej zdaje mi się o tem wszystkim jak najmniej rozmawiać.*

Te słowa ciotce mowę zamknęły, i zrazu, by życzeniom Malwiny zadosyć uczynić, a później naturalną czasu kolejną, przestano naprzód w Krzewinie wspominać, a później i myśleć o Ludomirze. Tego Malwina wymagała, tego zdawała się życzyć, a gdy to nastąpiło, najżywiej tęsknota jej się pomnożyła. Nic już ją nie bawiło, nic nie zajmowało. Ponura jesień, po tem tak miłym lecie, szarą dodawając powłokę całej naturze, pomnożyła jeszcze i tak już dość smutną jej melancholję. — Po kilku miesiącach tak przebytych zdrowie jej nareszcie ze stanu duszy cierpieć zaczęło. Sen zupełnie straciła i jeść mało co mogła; twarz bledsza jeszcze jak zwykle i częste słabości zastraszyły mieszkańców Krzewina. Dobra ciotka bardziej jeszcze zastraszona, jak drudzy, i rozumiejąca, że starania doskonałych lekarzów stolicy wkrótce Malwinie pomocy mogły, osądziła, że Malwina w Krzewinie zimować nie może i że dla polepszenia zdrowia jechać powinna do Warszawy. A że żałoba jej dawno była skończoną, nic temu projektowi nie zdawało się przeszkadzać. Ciotka sama byłaby chciała w tej drodze Malwinie towarzyszyć; ale tak młodą jeszcze Wandę do wielkiego świata zawozić, ni też zostawić jej nie mogła. Wanda, która choć z mniejszem doświadczeniem, jaśniej może od ciotki domyslała się przyczyn smutku i słabości

siostry, jeśli nie w lekarzach, to w poniewolnych roztargnieniach spodziewająca się dla siostry pomocy, także na tę podróż silnie ją namawiała.

Smutną obojętnością przejęta, Malwina długo i słuchać tych rad nie chciała; ale nareszcie widząc, że tem pomnażała troski tyle dla siebie tkliwych przyjaciółek i gdy od wyjazdu Ludomira każde miejsce jednakowem jej się zdawało, w żadnem nie przewidując dla siebie przyjemności, na wszystko zezwoliła, i siostra z ciotką bojąc się, aby jeszcze zdania nie zmieniła, w kilku dniach wszystko poukładały i ostatniego listopada w tęgi mróz, jasnem słońcem zaiskrzony, Malwina zalana łzami, po najtkliwszem pożegnaniu z drogiemi swemi przyjaciółkami i z tak lubym jej Krzewinem, siadła do pojazdu, i z smutnem i ściśnionem sercem puściła się w drogę do Warszawy. *Pisuj do mnie często i otwarcie (ostatnie słowa były, które Wanda cicho jej wymówiła) i wierz, że chociaż ja niby to trzpiotem tylko być zdaję się, serce jednak moje zawsze twoje rozumie. Dzielić twoje cierpienia i cieszyć się twojem szczęściem, zawsze, zawsze Wanda potrafi.*

ROZDZIAŁ XI

WARSZAWA

List Malwiny do Wandy.

z Warszawy 5 grudnia.

Moja Wando luba! obiecałam pisywać często i wyszczególniać ci, co tylko mi się zdarzy. Najmilszą dla mnie jest rzeczą wypełniać tę obietnicę. Od tego zaczynam, czemu łatwo uwierzysz, że mi z głębi duszy żal było z tobą się rozłączać. — Nigdy Warszawa ze wszystkiemi swemi przyjemnościami nic takiego nie utworzy, cobym tak kochać, tak lubić mogła, jak moją lubą Wandę. Ale o tem już dawno wiesz, więc od czegoś nowego zacząć muszę.

Dwa dni mojej podróży były zupełnie jednakowe i niekoniecznie zabawne. Śniegu, śniegu i śniegu napatrzyłam się do woli; a ty wiesz, jak ja śniegu nie lubię. Wczoraj jednostajny ruch pojazdu i milczenie zupełne, którego drzymiąca Frankowska, siedząc przy mnie, bynajmniej nie przerywała, dały mi porę do przyjemnego dumania. Myślałam o naszym tak mile przepędzonem lecie. Każdy niemal dzień, najdrob-

niejsze okoliczności, rzeczone słowa, kolor dnia, zapach powietrza, wszystko zdawało mi się widzieć znowu i czuć na jawie. Zanurzona w tych dumaniach, nie uważałam, że dzień wieczorowi zaczynał ustępować. Wtem postyljon zatrąbiwszy, wyrwał mnie miłym moim marzeniom, a Frankowską z bardzo smacznego snu obudził. *Oto już Warszawa, zawołał, już światła widać i do rogatek dojeżdżamy!* — Już Warszawa, powtórzyłam mimowolnie, i serce zaczęło mi bić, nie wiem dlaczego. W tej chwili, wielehym była dała, by w spokojnym znajdować się Krzewinie. Trwoga mnie jakaś objęła, ale tymczasem pojazd toczył się dalej, i w krótkim czasie pierwszy raz w mojem życiu do wielkiego wjechałam miasta. — Cóż to murów! aż mi się duszno zrobiło — coś to hałasu! — Postyljon mi powiedział, że to godzina, w której z teatru powracają. Pełno karet, pojazdów, ludzi różnych spotykałam. Każdy z jakiegokolwiek powodu śpiesznie zdawał się dążyć. Modny jakiś ekwipaż pojazd mój zawadził, i przy świetle pochodni dojrzeć mogłam w tej karecie bardzo piękną osobę płci mojej, niesłychanie strojną, i na której twarzy znać było niecierpliwość prędkiego zajechania i nadzieję zabaw, które na nią czekały. — Smutno mi się zrobiło. — Ja bez żadnego powodu jechałam, nigdzie mnie nie czekano, i ja do nikogo nie śpieszyłam. Nareszcie do oberżyśmy zajechali. Ni życzenia, ni mocy do niczego nie miałam, jak tylko do najprędszego spoczynku. Dziś dzień cały strawiłam między kupcami, krawcami i t. p. Ponieważ żadnej z moich krewnych niema tu teraz w Warszawie, napisałam do Księżnej W***, która bywała w przyjaźni z moją matką i znała mnie przed mojem zamęściem, aby raczyła mnie prezentować i w społeczeństwo wprowadzić. — Najgrzeczniej mi odpisała, i jutro o godzinie szóstej w wieczór mam do niej zajechać i pod jej opieką pierwsze wizyty odbędę.

Moja Wando luba! Do tego czasu tęsknota i bojaźń były jedyne uczucia moje w Warszawie. — Prawda też, że do tego czasu hałas ulic, szczebiotliwość szwaczek i kupców i troskliwa myśl o jutrzejszym moim wstępie na wielki świat jedynie wszystkie moje zajęły godziny. — Dziś w nocy poczta odchodzi. List mój kończę, najczulej cię do serca przytulając, moja Wandulo ulubiona! uściskaj Alisję i tysiąc razy rączki całuj kochanej naszej ciotki.

Drugi list Malwiny do Wandy.

15 grudnia, z Warszawy.

Już nie wieśniaczka z Głazowa i Krzewina, ale *elegantka* we wszystkie *elegancje* wielkiego świata wprowadzona, piszę do ciebie moja Wandulo! więc z wszelkiem poważaniem czytaj opisanie moich obrotów. Chciałam dalej w równy sposób dziennik mój ciągnąć; lecz znajduję, że żarty nie są mi już do twarzy, więc poprostu resztę ci opowiem.

Nazajutrz po napisaniu pierwszego mego listu, moja duszko, ubrawszy się, jak tylko umiałam najlepiej, a przynajmniej bez żadnej śmieszności, pojechałam do Księżnej W***, która mnie łaskawie przyjęła. Najprzyjaźniej wspominała moją matkę i z wielką uprzejmością o ciebie się wypytywała. Po czem sądzić możesz, czy mnie się miła i przyjemna zdała. Księżna W*** już nie młoda, łagodność z powagą łączy w swej twarzy; od wszystkich jest tu kochaną i poważaną, i im częściej się ją widzi, tem łatwiej się to pojmuje.

Ze sto podobnośmy wizyt oddały. W kilku ledwo domach byliśmy przyjęte, i o tych nic ci powiedzieć nie potrafię, bo w tym tłumie imion nawet pań domów już nie pamiętam. Na końcu naszej objazdżki zajechałyśmy przed ogromny dom. Księżna powiedziała mi, że to pałac ministra wojny. Niezmiernie wiele karet widząc na dziedzińcu, gorące modły po cichu czyniałam, żeby nas i tam nie przyjęto. — Ale na moje nieszczęście, właśnie przeciwnie się stało. Wyśiadłyśmy tedy, i ja w pół żywa, idąc za księżną, znalazłam się wkrótce wśród obszernej sali niesłychanie oświeconej, i gdzie niezmierne koło dam postrojonych siedziało w milczeniu. Przy kominie i koło bilaru grono mężczyzn, którzy między sobą gadali. Księżna W*** prezentowała mnie gospodarzowi domu,¹ który mnie najgrzeczniej przywitał; ale nic nie wiem, co mi mówił, a on zapewne jeszcze mniej, com mu powiedziała; bom tak była zmieszana, że dobrze nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Szczęściem dopadłam stołka i siadłam koło księżnej. — Wtedy dopiero ośmieliłam się oczy podnieść i obejrzeć całą salę. Dwie rzeczy mnie najwięcej zastanowiły. Pierwsza, że w osobie, która na przeciwko mnie siedziała, poznałam tę samą damę, którąm wjeżdżając

¹ gospodarzowi domu. — W rp B na marginesie uwaga: „czy też mężczyznom wizyty oddają kobiety? o gospodyni niema wspomnienia”. Notatka to nie księżny; widocznie ktoś rękopis studiował. Uwag na marginesie jest więcej, ale robione ołówkiem, zatarte, trudne są przeważnie do odczytania.

do Warszawy, przy świetle pochodni w karecie postrzegła. Pytałam się księżnej, kto ona jest. Odpowiedziała mi, że to hrabina Nel..., najpierwsza tu elegantka. Ona w strojach, w zabawach, w rozmowach, prawa przepisuje. Kto tylko do jej szczególnie wybranego towarzystwa nie jest przyjętym, w kolei mody i dobrego tonu umieszczonym się nie rozumie. Wszyscy ją tu po imieniu tylko zowią *Dorydą*, i ja ci oznajmuję, że nie chcąc grzeszyć przeciw *elegancji*, w listach moich także *Dorydą* ją zawsze mianować będę. — Druga moja uwaga była na tego, co koło *Dorydy* siedział. Szlachetność i powaga postać jego znaczącą czyniły, wstęgi i krzyże zasłużonego oznaczały obywatela, a wiek podeszły uszanowanie wzbudzał. Jednem słowem, właściwem wyobrażeniem wielkiego pana zdał mi się być Zdzisław Książę Melsztyński, którego Księżna W*** tak mi nazwała, dokładając: *jest on jeden z najbogatszych i najzaczniejszych panów w Polsce*, a ja ci dołożę (tylko mnie nie miej za warjatkę), że z pierwszego spojrzenia powab niezwykajny jakiś wzbudził we mnie. Koniecznie zdaje mi się, że go gdzieś już widziałam. Osobliwie w oczach ma jakiś wyraz, który mi się zdaje być dawno znajomym. Daremnie myślę, gdzie i jak to być mogło, i to dochodzenie pamięć moją męczy od momentu, w którym go poznałam.

Chociaż bardzo ładna, nie tyle jednak wzbudziła we mnie sympatii ta sławna *Doryda*. Wyraz niemal zawsze drwiący, który się maluje na jej twarzy, podług mnie nie jest ujmującym. Może też próżności trocha czyni mnie surową względem *Dorydy*, gdyż miłość własną moją upokorzyła. Z drugą damą i kilku mężczyznami, co za jej stołkiem byli zasiedli, przez cały czas naszej bytności szeptała, i na mnie patrząc, polegała ze śmiechu. Łatwo mi się było domyślić, że ze mnie. To mnie zmieszało, zasmuciło, i dlatego może *Doryda* przyjemną mi się nie zdała.

W tym stanie było ułożone społeczeństwo, i ja przyznam ci się, niekoniecznie się bawiła, gdy jakiś grzeczny, fertyczny, wiele mówiący i jeszcze więcej kłaniający się człowiek za stołkiem księżnej W*** stanął. — Po jego mowie łatwo było poznać, że wszędzie bywa, świat cały zna, każdego dnia wie, co się w każdym domu dzieje.

Nikt się nie żeni, nikt się nie kocha bez jego wiedzy; niczyje święto nie minie, żeby on bukietu nie przyniósł, wierszów nie napisał. Wszystkich chwali bez ustanku, i choć go zawsze wszędzie pełno, jeśli kiedy z pośpiechu pasztecik jaki utworzy, to przynajmniej nigdy ze złej

chęci plotek nie roznasza. Toteż weszło w przysłowie mówić: *nasz Staroście wścibski trochę wprawdzie, ale jednak najlepszy w ściecie człowiek*. — Staroście tedy (bo i ja go tak nazywać będę) jak stanął za naszymi stolkami, wiedział, kto ja jestem, skąd, kiedy, jak i po co przyjechałam. Krociami pochwał mnie zasypał, i niema kwiatu ani bogini, do którejby mnie nie przyrównał. Szczęściem (bo te wszystkie pochlebstwa dziwnie mnie już mieszać i nudzić zaczynały) ktoś się go zapytał: *Starościcu, co wszystko wiesz! nie wiesz też nic o młodym księciu Melsztyńskim? nigdy tak długo po nim nie tęskniła Warszawa*. — Wnuk mój powinności swojej zadosyć czyniąc, przy pułku swoim prześiaduje, odpowiedział na to dziad jego. — *Być to może, rzekła Doryda, ale teraz, co zima się zaczęła, i przy pułku nie ma co robić; ręczę, że w tych dniach do nas wróci*, z uśmiechem dołożyła, z uśmiechem, który wyrażał, że o powrocie młodego księcia ona najlepiej uwiadomiona. Staroście, który nie traci nigdy sposobności wysunięcia komplementu, oświadczył mi wtedy: *że gdyby książę pułkownik wiedział o nowej gicjaździe, która zajaśniała na horyzoncie warszawskim, pewnieby się śpieszył z powrotem swoim*. Na te słowa Doryda bardziej niż kiedy zaczęła szeptać i chichotać się; potem z miną, która nie wiem, czy grzeczność, czyli też nieukontentowanie oznaczać miała, obracając się do mnie: *Jeśli wielką ma ciekawość poznać Księcia Pułkownika Imość Pani S***, to ją mogę upewnić, że na przyszły bal, którego ma dawać poseł francuski, niezawodnie książę zjedzie*.

Chciałam odpowiedzieć, że ani ciekawości, ani niecierpliwości nie mam do tego przyjazdu, ale wiele dam mnie przerwało, mówiąc: *ach! jakże dobrze, że do nas wraca! bez niego wszystkie bale nudne, spacerzy w sankach niezabawne, nic się nie klei; on jeden umie wszystko ożywić*. — *Zamiast nagany damy powinny go jeszcze pochwalić* (rzekł na to stary generał), *że od nich się odrywa, by po nudnych kwaterach służby swojej pilnował*. — *Mars i miłość równie go wieńczyć mogą*, odezwał się Staroście, — *a my tymczasem jechać możemy*, szepnęła mi Księżna W***.

Wyjechaliśmy, i w karecie tę samą ciągnąc rozmowę — *Prawdziweż to zepsute dziecko, rzekła mi, ten młody książę Melsztyński! Dziad mu we wszystkim pobił, młodzież go zawsze za wzór bierze, a kobiety najgorzej go psują! Prawda, że miło go psuć, bo dobre też to dziecko; ale wszelako kobiety i jemu i sobie szkodzą, ubiegając się*

tak nieprzyzwoicie za rzutem oka, słowem jednym, lub najdrobniejszą ze strony jego uwagą.

Moja Wando, te słowa Księżnej W*** dobrze się w mojej pamięci wyryły, i ręczę ci, że Malwina, choćby miała wszystkie uwagi ściągnąć na siebie tego sławnego księcia pułkownika, i pół kroku do tego nie uczyni! — Ale jednak ciekawa jestem ten okrzyczany cud poznać. Jeszcze pięć dni do balu posła francuskiego! Księżna W*** powiedziała mi, że blisko od roku zostaje on w więzach Dorydy, co na jego zwykłą niestałość, wielkim cudem tu znajdują. — Ale czegoż ci o nim tyle piszę. Dość czasu będzie pisać o nim po tym balu, na którym mam go poznać. Ten bal, nie wiem, czemu mnie tyle obchodzi i coś smutnego mi się robi, myśląc o nim. — Pamiętasz, Wandulu, 15 sierpnia i bal w Krzewinie. — Ach! żaden taki nie będzie; wszystkie bale, wszystkie pułkownicy, cały wielki świat równać się nie mogą z jedną godziną, przepędzoną w Krzewinie z tymi, co kocham, z tymi, co kochać będę zawsze, o zawsze! Bądź zdrowa, o moja Wandulu luba! w Krzewinie tylko prawdziwe szczęście Malwiny.

List trzeci Malwiny do Wandy.

26 grudnia, z Warszawy.

Wando, luba Wando! czy sen łudzący od wczorajszego dnia mnie omamia, czyli też urok jakiś zmysły moje oczarował? Co się dzieje ze mną, ani pojąć samej, ani ci wyrazić, nie jest rzeczą łatwą; taki nieład w moich myślach panuje, że nawet nie wiem, od czego mam zacząć. — Siostró kochana, troskliwa twoja przyjaźń, która mimo mojej wiedzy poznać umiała najskrytsze uczucia serca mego, i teraz może potrafi na mojem postawić się miejscu i domyślić się stanu mojej duszy! — Słuchaj tedy, co mnie dziwi, smuci, cieszy, przeraża i jest mi dotąd niepojęte.

Wiesz z ostatniego mego listu, że 20 tego miesiąca posel francuski wielki bal miał dawać na obchodzenie nie wiem jakiej uroczystości. Wiesz, że publiczność, a damy osobliwie z niecierpliwością dnia tego czekały, spodziewając się młodego księcia Melsztyńskiego i że Doryda, o wszystkich jego krokach dobrze uwiadomiona, jak najwyraźniej ten powrót zapewniła. — Przyszedł ów wieczór nareszcie. Dzień, co go poprzedzał, niezmiernie długi zdawał mi się; z jakąś trwogą na ten bal pojechałam, z trwogą weszłam do sali, i bardziej z skłonnością

do rozrzewnienia, niżeli z nadzieją zabawy. Ale wkrótce mnogość ludzi, światła, odgłos najweselszej muzyki, a może (bo przed tobą próżności mojej zataić nie chcę), może bardziej, jak to wszystko, uprzejmy szmer pochwały, z którym mnie przywitano, jakim tylko weszła do sali, szare chmury rozpędził, odwagi mi dodał, wlewając w serce tę radość, jakiej zawsze doznaję, gdy rozumiem się być miłą tym, z którymi się znajduję. Pasja moja do tańca natychmiast się ocknęła. Tanczników wielu się znalazło, którzy się o mnie dobijali, i to mi nie było markotno, bo Doryda widzieć mogła, żem przecie niezupełnie od wszystkich opuszczona. Tańcowałam wiele i z dobrego serca, nie myśląc już bynajmniej o tym sławnym księciu pułkowniku, którego przyjazdu przez pięć dni tak ciekawie oczekiwała. Zaczęli walcować, ja walcowałam z majorem Lissowskim, który uchodzi tu za najlepszego tancznika. — Alić hałas jakiś u drzwi się zrobił, i te słowa — *otóż on jest, obietnicy nam przecie dotrzymał, dopiero będzie wesoło*, różnemi głosami z okrzykiem były powtórzone. — Muzyka przestała, — tłum się otworzył, — i ja w tym oczekiwanym, ogłaszanym młodym księżciu, w tym celu zajęcia wszystkich kobiet, w tym wielbicielu, jak mówią, wdzięków Dorydy, postrzegłam, poznałam, kogo... Ludomira! — ach, Wando! mego niegdyś Ludomira! dziś zaś Ludomira Dorydy, szczęśliwej Dorydy! — W ten moment wesołość, chęć do tańca, chęć do życia mnie opuściła. Ani widziałam, ani słyszałam wyraźnie, co się koło mnie działo; w głowie kręcić mi się zaczęło, i nie rozumiem, jakim szczęściem nie zemdlałam. — Ni zadziwienia, że w tym świetnym księżciu Melsztyńskim tegoż poznałam Ludomira, którego awanturnikiem niedawno mniemano, ni gniewu, którego fałszywe jego postęпки wlaćby były powinny w duszę moją, nie naówczas nie czułam. Później dopiero, gdy sposobność myślenia odzyskała, byłam w stanie te wszystkie uczynić uwagi. — Ale w pierwszej chwili ta jedyna myśl: *Ludomir mnie już nie kocha, Ludomir inną kocha* jak ciężki kamień serce moje przygniotła. — Stałam wryta, jak posąg bez duży. — Nie wiem co major Lissowski o mnie pomyślał. Tylem narazie z jego mowy usłyszała, że powtórnie mnie się pytał, czy tańcować już nie chcę, i że nie mógł być otrzymać odpowiedzi. Te słowa przecież mnie z osłupienia wyrwały. Złożyłam wszystko na raptowną słabość z gorącą wielkiego pochodzącą i jak najprędzej w kącie najmniej widzianym usiadłam. Radabym była natychmiast wyjechać z tego

balu, wyjść z tej sali, która przed kwadranssem jeszcze zaiskrzoną wesołym światłem zabawy, teraz ciężką, duszącą powłoką zdawała mi się zaćmioną. — Ale Wando, moc jakaś ukryta więziła mnie na krześle, gdzie siedziała. Nie mogłam porzucić miejsca, z którego Ludomira widziałam! — i cóż widziałam niestety? Ludomira patrzącego na Dorydę, tym samym wzrokiem na nią patrzącego, co niegdyś..., mówiącego do niej z tym uśmiechem, z tem uczuciem... Ach Wando, czemuż ja nie w Krzewinie? pocóżem z niego wyjechała? czemuż ja nie w odludnym Głazowie? spokojne dni Głazowa jakżeście daleko od Malwiny! Pierwsze kroki, którem w ten wielki świat uczyniła, żalem i boleściami są naznaczone. Ale Wando, słuchaj dalej. — Wlepione miałam oczy w róg sali, gdzie Ludomir oparty o krzesło Dorydy i nią jedynie zajęty, zdawał się zupełnie zapominać i powszechną radość jego przybyciem wzhudzoną i cokolwiek tylko obcem było Dorydzie. — Wtem Staroście się do niego przysunął, pocichu zaczęli gadać, i obejrawszy salę w koło, zdali się szukać kogoś oczyma. — Siostro! mnie to rzutem oka szukał Ludomir. W tłumie spotkałam jego spojrzenie, to spojrzenie tak mi dobrze znajome, i natychmiast zrozumiałam, że mi serce bić przestało i krew się w żyłach zatrzymała. — Dorydę ktoś wziął w taniec. Ludomir i Staroście obeszlą drugą stronę sali, i doszedłszy do okna, w którym niemal zakryta framugą siedziałam, *Prezentuję Imość Pani S**** (rzekł do mnie Staroście) *młodego księcia Melsztyńskiego, który najżywiej pragnie być jej znajomym. — Żeby nie los i okoliczności przekorne* (przerwał książę) *pewnie nie ostatni byłbym między tymi, którzy ubiegali się niezawodnie w uwielbieniu nowego bóstwa, które niedawno posiada Warszawa.*

Wando! głos Ludomira, który tyle ma mocy na całym jestestwie mojem, dźwięk ten miły, od tylu miesięcy nie słyszany, opanował naówczas zmysły moje, i ledwo w ten moment wszystkich win Ludomira zapomniawszy, z szczerością dawnego przywiązania nie rzekłam: — *Ludomirze, pewnie cię czernią, mówiąc, że Malwiny już nie kochasz, tej Malwiny, która nigdy nie potrafi cię zapomnieć!* Ale, Wando, wytworny komplement księcia Melsztyńskiego, tak niepodobny do delikatnego milczenia, lub do wyrazów najgorętszą miłością tchnących Ludomira w Krzewinie, ten komplement, mówię, dreszczem mnie przejął, i słowa, które wymówić miałam, na ustach mnie zmarzły. — *Czy mogę sobie pochwlebiać, że J. Pani S*** przyszłego tańca raczy zemną tań-*

cować? — Nie wiem, co bym była mu odpowiedziała, ale Doryda czasu mi do tego nie zostawiła. — Skończywszy walcować, przechodząc koło nas: — *Ludomirze!* (głośno zawołała) *spodziewam się, że nie zapomnisz, żeś mnie na pierwszego mazura zamówił.* — *Ludomirze!* wołała na niego świetna Doryda wśród przepysznego balu w Warszawie! — *Ludomirze!* wołała także na niego biedna Malwina po spokojnych niegdyś dolinach Krzewina! — *Niech książę się nie zatrzymuje* — rzekłam natychmiast — *Doryda na księcia już czeka, a ja bez tego nie myślę teraz tańcować.*

Ledwom te słowa była wymówiła, major Lissowski przybiegł prosić mnie w taniec, i ja sama nie wiem, dlaczego (bo pewnie nie z chęci tańcowania) wstałam śpieszno i stanęłam przy nim do mazura. Ludomir w tem samem kole stojąc przy Dorydzie, nim grać zaczęli, przysunął się do mnie i półgłosem powiedział: — *Imość Pani S*** podobno tańcować nie miała.* — *Prawda, że tak myślałam przed kilką minutami, ale i mnie się trafia czasem szybko myśli zmieniać.* — Coś może zbyt surowego musiało być wyrytem na mojej twarzy, gdy te słowa wymówiła, bo skutek ich w oczach Ludomira poznała. Smutnie zamilkł, a ja widząc jego zmartwienie, odkupiłabym była chciała te wymówione słowa i już nie gadać, nie patrzeć na majora Lissowskiego, nie tańcować, ale płakać byłabym rada. — Ludomir figury w mazurze plątał, Doryda zrzuściła; ja nie wiem sama, jakem do końca trafiła. Przy kolacji Ludomir siedział przy Dorydzie, tyle tylko wiem. Po kolacji, nie wchodząc już nawet do sali, gdzie tańczono, do siebie wróciłam.

Wando, nadużywam twojej cierpliwości, opisując ci najdrobniejsze szczegóły wczorajszego wieczora. — Ale niestety! drobne czasem szczegóły szczęście lub nieszczęście stanowią. Przyjazny rzut oka, zimne spojrzenie, rozpacz i niebo nieraz w sobie zamykają. — Wando moja! wiem tedy teraz, kto był ten nieznajomy, ten utajony Ludomir... a raczej nie wiem, nie rozumiem, nie pojmuję nic z tego, co się jego losu, jego postępów tyczy! Ale pamiętam, że mu życie winna, że mu święcie przyrzekła żadnego kroku nigdy nie uczynić, by odkryć tajemnicę, którą się okrywał. — *Najboleśniej pomnożyłabyś tem moje nieszczęście,* są słowa listu jego, które mam i teraz przed oczyma. — Ach! Ludomirze! przestań mnie kochać, kochaj nawet inną! rób, co ci się podoba! — Malwina płakać w cichości sama, opuszczona, cierpieć

potrafi, ale nigdy, ni słowem, ni postępkim nie przypomni ci, że cię nawet kiedykolwiek znała.

Ale Wando, czas ten list, i tak zbyt już długi, zakończyć. Zbołałe serce i zmęczone łzami oczy spoczynku potrzebują. Daruj, siostró kochana, jeżeli ufając w pobłażającą twoją przyjaźń, ciężar i smutek duszy mojej z tobą podzieliłam. Nie było w mojej mocy utaić najmniejszego uczucia. Ale odtąd starać się będę... o co, ach, sama nie wiem! nie wiem, czego życzę, czego chcę, com powinna czynić, com powinna wierzyć! nieład w moich myślach, nieład w mojem sercu. — Bądź zdrowa, moja Wando luba, żyj spokojna w szczęśliwym Krzewinie! kochaj mnie, nie zapominaj Malwiny, biednej Malwiny! ach, ty przynajmniej nie zapominaj jej nigdy — nigdy! —

List Majora Lissowskiego do przyjaciela.

30 grudnia, z Warszawy.

Alfredzie! cóż u ciebie w głowie? Warszawa w całej swojej świetności wzywa wszystkich sług swoich; bale, reduty, szlichtady, pasztety, komeraże, w zupełnym są ruchu; doskonale mrozy, doskonale nieźnośną wieś czynić muszą, a ty, najwierniejszy między wiernymi wielbicielami miasteczka, nie możesz się od nudnych swoich folwarków oderwać! — Przybywaj jak najprędzej, inaczej odrzekam się ciebie na zawsze, i z rzędu pierwszych naszych *elegantów* wymazanym zostaniesz. — Ale ponieważ spodziewam się, że na tę karę nie zasłużysz i że wkrótce stawisz mi się, łaskawie myślę cię uawiadomić, co i jak się tu dzieje, abyś za powrotem twoim nie wyglądał, jak kto, co z Chin powraca.

Nowa zorza tu zajaśniała. — Jest to Malwina S***, młoda wdowa, która nigdy Warszawy, nigdy wielkiego świata nie widziała! Alfredzie, niceś w życiu tak ładnego nie widział! Nieśmiałość młodości i niedoświadczenia łączy w swem ułożeniu z postacią, która zdaje się być oswojoną ze zwyczajami najlepszego społeczeństwa. Uprzejma i naturalnie wesola, ale młodzież naszą doskonale umie w jakiejś granicy trzymać, i mnie samemu, stworzeniu, któremu tak niełatwo zaimponować, Malwina z zimną swoją grzecznością tak czasem zaimponuje, że przy niej ani słowa z tych wyrazów, co to surowość złym tonem, a my nicoszacowaną *elegancją* zowiemy, ani obmowy żadnej, ani rozwał

się swobodnych, jednym słowem, nie ze zwyczajnego trybu naszego nie pozwalałam sobie. Dziwuj się, jak chcesz, wierz albo nie wierz, to jednak nieodbitą jest prawdą, że Malwina tego cudu dokazała. Mnie, któregoś znał, nie mogącego się i minuty dla nikogo w świecie *pożenować*, terazbyś widział życie na tem trawiącego, by myśli jej i życzenia zgadywać i wypełniać, chociaż ona, grzeczna dla mnie, jak dla wszystkich, bynajmniej o mnie nie myśli i z wszelką grzecznością i szczerością już mi to nawet powiedziała. — Oj, kobiety, kobiety! cobyście mogli z nami wyrabiać, żebyście zawsze interes swój właściwy rozumiejąc, nie rozłączały, jak nie rozłącza Malwina, skromności płci swojej od uprzejmej wesołości, a do dobroci łączyły tę pychę i szlachetność niewieścią, która potrafi każdego w należyтым utrzymać obrębie i któraby was nigdy porzucać nie powinna.

Alfredzie, kocham się szalenie w Malwinie. Nie wiem, co z tego będzie, bo ona nie kocha mnie wcale, a co gorzej Ludomira coś się boję. Na moją biedę wrócił, widział Malwinę i dość było jednego balu, by niewolnikiem jej wdzięków został. Ale któżby też na tym balu właśnie mógł ją widzieć i nie być jej wdziękami zniewolonym? — Wszystkie nasze damy najwytworniej były poubierane. U niej biała suknia, która giętki stan obwijała, czarne warkocze złotym spięte grzebieniem, i przy lewym boku bukiet z świeżych jacyntów, cały strój tworzyły, — i ten bukiet jeszcze z jedyną dobrocią przy kolacji zdjęta, by chymerom Dorydy dogodzić, która z drugiego końca ogromnego stołu mniemała, iż zapach jacentów jej szkodzi. Zjawienie tej niewinnej, wdzięcznej, lubej Malwiny, kaducznie nie na rękę naszej Dorydzie; — ale tem lepiej dla mnie — będzie Ludomira pilnować — żebym tylko doszedł, co Malwina o nim myśli. Nie uwierzysz, jak ciężko dochodzić, co w tej głowie się dzieje. Prosto i szczerze zdaje się to, a jednak ja, ja niedopiero lis, zgłębić i zgadnąć jej nie umiem. Wesoła zrazu, zamysloną potem była Malwina na tym balu; na gorąco złożyła tę nagłą zmianę, ale mnie coś wszystko się zdaje, że nagłe zjawienie się Ludomira to sprawiło. Czy się już kiedy widzieli? czy się znają? nie mogę ich zrozumieć.

Wiesz, Alfredzie, że podług dawnego zwyczaju, kiedy własnych nie mam interesów, to cudze śledzę. Przez czas niebytności Ludomira z opieki go nie spuszczałem, i różnemi memi manewrami wiedziałem niemal zawsze, jak się obraca. Otóż doszedłem najpierwej, że mia-

steczko, w którym z pułkiem stał kwaterą, niedaleko jest Krzewina, wsi, w której przebywa Malwina. Powtóre, że Ludomir nie wiem za jakim urlopem, cichaczem ujechał od pułku w maju i kilka miesięcy bawił, nie wiedzieć ani gdzie, ani po co. Po trzecie, że jak wrócił w końcu sierpnia do pułku, bardzo był smutnym i pomieszanym. Cóż mam z tego wszystkiego wykleić? ha, zobaczymy! — Zaczynamy grać komedią, w której Ludomir, Malwina, Doryda i twój sługa najpierwszą rolę grać mają. Konfidentów i subrettek znajdziemy do woli (już Staroście nasz gotowy konfident); kto najlepiej grać będzie, a intryga sztuki jak się wywiąże, to się wkrótce da poznać.

Zresztą nic tu nowego nie mamy. Promocje w wojsku na przyszłą wiosnę nam obiecują. Tymczasem, czy jest czy nie ma za co, nie tracim zwyczaju przy każdej okoliczności wyrzekać nad niesłychanymi niesprawiedliwościami, które na nas spadają; bo każdy z nas, zaczawszy odemnie, nie pojmuje, jak nie jest już przynajmniej generałem.

Starościanka już konno nie jeździ, co czyni zbiory w Saskiej Rajtszuli dziwnie nudne. Felisia N*** zawsze cudownie gawotę tańczy. Karnawał nam jedyny zapowiadają. Wybornego bordeaux dostać można u Berensa. Mój kasztanek zdrów i celem zawsze zazdrości naszej całej młodzieży. Otóż i wszystkie moje nowiny. Przyjeżdżaj jak najprędzej być aktorem, a przynajmniej z biedy choć i spektatorem w rozmaitych sztukach, które tej zimy grać się będą na scenie eleganckiego świata Warszawy.

ROZDZIAŁ XII

DALSZY CIĄG BYTNOŚCI MALWINY W WARSZAWIE

Źle czy dobrze dzieje się, czy w zabawach dnie płyną, czyli łzami godziny się rachują, czas nieubłagany, którego nikt i nic utrzymać nie potrafi, lecąc bez ustanku, mija i dla tych, którzyby powstrzymać chcieli, mija i dla tych, coby go popędzać radzi. — Kilka tygodni było minęło od powrotu księcia Melsztyńskiego, i nikt nie wątpił już w Warszawie o miłości jego ku Malwinie. Młode kobiety cieszyły się tą jego nową miłością, widząc w tem jedynie upokorzenie Dorydy; starsze, osobiwie zaś te, których przyjaźń albo krew z Zdzisławem łączyły, pochwalały to przywiązanie w nadziei, że na pożądanem ze wszech miar ożenieniu się skończy. — Już też nasz Ludomir

ustatkuje się, mówiły sobie, i w szczęśliwym związku wszystkich swoich szaleństw zapomni. — Zdzisław, ledwo nie tak zakochany w Malwinie jak Ludomir, w ślubie wnuka własne przewidywał szczęście, a publiczność, którą zawsze nowość bawi, nawiasem zaprzątnęła się była tym wypadkiem póty, póki inne zapomnieć o nim nie dały.

Każdy tedy podług własnego interesu, albo próżnej chęci, los Malwiny na przyszłość już był ułożył, gdy ona, daleka od wszelkiego przedsięwzięcia, pojąć jeszcze nie mogła, jak ten świetny książę Melsztyński, powszechnie wielbiony, był owym samym Ludomirem jedynie kiedyś od niej kochanym i jedynie a tak niepospolicie ją kochającym! Kochał ją i teraz; przy największem nawet uprzedzeniu zaprzeczyć temu by nie można. Dorydę porzucił; gniewy, sceny, płacze jej, zatrzymać go nie potrafiły: na żadną inszą kobietę nie patrzy, Malwiną jedynie zdaje się być zajęty. To wszystko prawda, Malwina to wszystko przyznaje. — Ale Ludomir kochał Dorydę, nim traf go do Krzewina przyprowadził. Zapomniał Dorydy dla Malwiny, zapomni może również Malwiny dla innej. — W Krzewinie byłaby przysięgła, że Ludomir nigdy nic prócz niej kochać nie będzie. W Warszawie poznała, że Ludomir w Dorydzie i w wielu innych już się kochał, i z trwogą pojmowała, że jeszcze nieraz może kochać się będzie. Jednak wierna swojej przysiędze nie wspominała nawet księciu Melsztyńskiemu bytności jego w Krzewinie i szukała sama przed sobą wymówki jakiej, mogącej okryć pobłażaniem tajemne i osobliwe jego względem niej postęпки, życząc usilnie dojść do tego, aby w księciu Melsztyńskim widzieć świeżą i ze wszech miar przyjemną znajomość, a zapomnieć, jeśliby to podobnem być mogło, że już w nim kiedyś widziała, co tylko kochać na świecie mogła. — Ale żeby lepiej dać poznać sprzeczne i osobliwe czucie i myśli w tych okolicznościach Malwiny, wypiszę tu część jej listu do Wandy, gdyż całego, nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelnika, nie przepisuję.

Wypis z listu Malwiny do siostry:

Ach Wando! jakżeż ten wielki świat, cośmy sobie nieraz tak ujmującym wystawiały, mało prawdziwego szczęścia zawiera w sobie!... te lata młodości, które przyjemność i rozkosze napelniaćby powinny, często, jak widzę, łzami tylko są pamiętne! Wando nie jestem szczęśliwą! Słuchaj, siostro luba, skryte uczucia serca mego, które przed tobą jedną całkiem odkryć mogę!

Jak tylko w Warszawie Ludomira poznałam, żal, niepokoje i płacz serce to napełniły. Wkrótce potem Dorydę porzucił, mną jedynie zajęty (choć mało co ze mną i gadać może, gdyż — ile mogę — stronię dotąd od niego), żadnego sposobu jednak, żadnej okoliczności nie traci, by mnie o swej miłości przeświadczył. Przytem głos jakiś wewnętrzny, który rzadko oszukuje, upewnia mnie, że mimo przeciwnych pozorów, on względem mnie żadnej winy nie ma, i że w tym całym wypadku jest jakaś tajemnica, która jedynie wszystkiemu winna.

Dziad Ludomira, od którego on właściwie zależy, z najlaskawszem uprzedzeniem zdaje się życzyć związku wnuka swego ze mną. Wszystko więc się ułatwia, wszystko się układa, powinnabym być szczęśliwą. Ach Wando! nigdy mniej nią nie byłam! Widziałas i mimo mnie nawet poznałas, ilem ja w Krzewinie Ludomira kochała. Oddychać i kochać go zdawało mi się nierozdzielne. Widziałas we mnie potrzebę niezmienną, każdą myśl, każde wrażenie z nim podzielić. — Ten brak niczego w świecie, kiedym tylko widziała, że on tem samem powietrzem oddycha; to przecucie na przyszłość wiecznego szczęścia w jakim bądź losie, byle z nim podzielonym; nareszcie ten powab skryty, co go wytłumaczyć nie można, co z pierwszym rzutem oka się tworzy, z pierwszym słowem w serce się wpaja, powab uroczny, co wszystkie inne uczucia zastąpić i przeżyć jest w stanie, najpierwszy przedmiot miłości i bez którego żadnej prawdziwej miłości być nie może — ten powab, którego nieba czasem udzielają sercom naszym, i który całkiem przejmował serce moje dla Ludomira w Krzewinie — Wando!... zgasł w Warszawie... Najsmutniejsze i dziwaczne jakieś uczucia zastąpiły go w zboląłem sercu Malwiny!

Książę Melsztyński oczom moim jest miłym. Pochlebia to mojej miłości, ' gdy widzę, że nad Dorydę, nad inne kobiety mnie przekłada, ale zajęcia jego uprzejmością tylko odwdzięczam; zapaly bardziej mnie trwożą niż przekonywają, a miłość przyjaźnią tylko nagradzać jest w mocy mojej! — Dlaczego tak się stało? dlaczego inaczej było

¹ *miłości*. — W wydaniu z r. 1816: „Miłość moja własna pochlebiona zostaje“. W rękopisie A: „miłości własnej mojej dogadza“, poczem zdanie: „Wdzięczność tem bardziej za to czuję, że mniej czuję miłości; bo mnie się zdaje, że kto w sercu prawdziwą miłość dla kogo czuje, to czuje, że... we wszystkim się wywiązał ku tej osobie, choćby żadnego innego dowodu nie dał“. Jeszcze jedna wskazówka, jak autorka wgłębiała się w psychologję uczuć. Nie zdołała jednak oddać myśli z dostateczną jasnością i dlatego całe to zdanie opuściła.

w Krzewinie? tego ja pojąć nie mogę. Ustawnie wymawiam to sobie; to mnie smuci, męczy, wszystko mi truje. — Wando, jeszcze ci jedno dziwactwa serca mego odkryję! Wando! może ten wielki świat, te wszystkie dostatki, te powszechne kochania, te szczęścia, zabawy, któremi w Warszawie widzę otoczonego księcia Melsztyńskiego i które dni i życie jego zdają się napelniać, może to właśnie serce Malwiny odsunęło i ostudziło! W czemżebym ja niestety mogła mu szczęścia pomnożyć? — on mego serca nie potrzebuje, tyle serc go kocha, on szczęścia nie potrzebuje, nieszczęścia nie zna. — Ach! w Krzewinie, Ludomir zdawał się od całego świata opuszczonym, zdawał się pierwsze w życiu szczęście czerpać z mojego serca! Samotnym, ponurym go poznałam, później widziałam go nieszczęśliwym, tak z głębi duszy nieszczęśliwym, i z litością miłość się w mojem sercu wzmogła! tak też jak litość, to z nieba zesłane uczucie, miłość moja była tkliwa, czuła, ale raczej stworzona, żeby nieszczęście łagodzić, niżeli szczęście dzielić! Daremnie szukam na twarzy księcia Melsztyńskiego tego zwykłego wyrazu melancholji, który w Krzewinie nieraz wskrósł moją duszę przenikał. Wesoła jego postać, żywe spojrzenie, wyrażać się zdają szczęście i zabawy, których jedynie dotąd doznawał, i bardziej zazdrość, niżeli kojącą litość wzbudzają.

Łaj mnie, Wando, za te dziwactwa, za te zbyt osobliwe może uczucia! Ja sama gorzej się łaję. Nie życzyłamże Ludomirowi w Krzewinie wszystkich szczęść na świecie? nie martwiłamże się, choć ich nie znałam, jego zmartwieniami? — Teraz go znajduję szczęśliwym, widzę otoczonym krewnymi, przyjaciółmi, kochanym od dziada, opływającym w to wszystko, co tylko dostojenstwa i dostatki przydać mogą do szczęścia, i zamiast cieszenia się tą niespodziewaną odmianą, odmianę tylko niepojętą w mem sercu postrzegam.

Dziwić się i ganić będą może czytelnicy tej powieści i z ciężkością pojmą zapewne, że Malwina mogła przestać kochać się w tym, w którym się raz kochała; ale niechaj raczą trochę mieć cierpliwości, a może w dalszym ciągu rzeczy nie tak winną znajdą Malwinę, a prztem niech sobie wspomną, com im już raz śmiała powiedzieć, że Malwina nie jest romansową doskonałością, ale jestestwem prawdziwym i wcale niedoskonałym.

Ludomir Melsztyński kochał się tedy, ile tylko kochać się mógł. — Doryda opuszczona, miłość w nienawiść zamieniwszy, wszystkich spo-

sohów szukała, by czernić Ludomira w oczach Malwiny, a ją w jaką wplatać intrygę, w której dobre imię Malwiny, bez żadnej dotąd skazy, wątpliwością przynajmniej jaką przyćmione być mogło. — Postrzegłszy, że major Lissowski mocno nią był zajęty, i spodziewając się z tego jakiej korzyści, postać wzięła użalającej się litości i dnia jednego: *widze, rzekła, majorze, że ty głowę tracisz dla tej Malwiny, którą i Ludomira rozumieją strasznie zajętego; ale z jego strony to nie miłość, możesz mi wierzyć, tylko chęć dogodzenia Dziadowi, który związku wnuka z panią S*** niestychanie pragnie dlatego, że może trochę bogatsza od innych.* — *Więc Ludomirowi dogodzisz nawet, jeśli mu będziesz w tem na zawadzie, a co Malicina, to zimne bożyszcze, co bynajmniej nie kocha się w Ludomirze; rada jest, że on się koło niej kręci, bo (z tą cichą i skromną minką) tak lubi się podobać, jak wszystkie kobiety na świecie, i byleś tylko chciał, majorze, to ci ręczę, że nad Ludomira przekładać cię będzie.* — Major nasz, w sercu którego próżność niemałe miejsce zabierała, łatwo temu uwierzył i z Dorydą w ścisłe wszedł związku, by z jej radami i pomocą dokonał swoich zamysłów.

Malwina tymczasem, ani postrzegając tych wszystkich układów, unikała zawsze od Ludomira; nim jednym jednak będąc zajęta, wymawiała sobie ustawnie, że go już nie kocha; jak w Krzewinie kochała, a przytem niewieścia jej miłość własna poniekąd była rada, że on wszystko dla niej porzucił. Rozum w przyszłości ukazywał związek z księciem Melsztyńskim, jako cel szczęścia i jakowyś obowiązek, a ukryty instynkt zwracał uczucia ku miłej wolności i lubemu Krzewinowi, do którego, sama nie wiedząc dlaczego, niejedno westchnienie posyłała. — Dotrzymać przysięgi Ludomirowi uczynionej miała w przedsięwzięciu, ale chęć przecięcia węzła, który całą tę tajemnicę utrzymywał, zajmowała ją bez ustanku.

ROZDZIAŁ XIII

WIECZOR U KSIĘŻNY W***

W takim stanie były rzeczy, gdy dnia jednego księżna W*** sam wybór społeczeństwa zaprosiła do siebie na wieczór. Gospodyni dobra i uprzejma, kobiet ładnych a niewiele, mężczyzn więcej, grze-

cznych i mających chęć podobania się, składało to społeczeństwo; pokoje dobrze oświecone, poukładane były w taki sposób, iż wchodząc zaraz wygodnie każdemu i miło być się zdawało; kolacja wyborna, jednym słowem, wszystko się zjednoczyło, iżby ten wieczór jak najprzyjemniejszym dla każdego uczynić. — Po herbacie, Staroście siadł do klawikortu i gdy walca tylko napomknął, hurmem się ruszyli, stoły, stołki poodsuwali i nieznacznie każdy się przysuwał do tej, do której miłość, próżność, wabność i tysiąc innych skrytych sprężyn społeczeństwa go ciągnęły. Ludomir, chcąc wszystkich uprzedzić, leciał przez salę, by Malwinę do pierwszego walca zamówić, ale nieszczęściem, wstając, stołkiem zaczepił i triumfalnie rozdarł suknie Dorydy. — *Suż też nie tak niezgrabnego nie widziałam w życiu, jak od niejakiemu czasu jesteś, Ludomirze* (wrzasnęła Doryda); *idźże przynajmniej do kobiet księżnej i igłę mi z nitką przynieś, żebym tę oberwaną suknię zaszyć mogła, bo inaczej, z łaski tej niestychanej niezgrabności, wcale tańcowaćbym nie mogła.* — Darmo, nie było co mówić, trzeba było pójść po igłę. Zaspane panny księżnej nie prędko igłę nawlec mogły, a co gorzej, że gdy tę nieszczęśliwą igłę przyniósł Ludomir i myślał, że oddawszy ją, już przecie wyrwać się będzie mógł, Doryda koniec swojej sukni trzymać mu kazała, żeby łatwiej ją było zaszywać tej damie, która się tego podjęła. Temczasem Malwina na zabój z majorem Lissowskim tańczyła, a gdy nieborak Ludomir, z swojej pokuty uwolniony, przysunął się do niej, znalazł ją na wszystkie tańce do samej kolacji zamówioną. Młoda wesołość księcia Melsztyńskiego z nieważną obojętnością zwykle brała codzienne trafen życia; ale tego wieczora, nie wiem dlaczego, przeciwności tak mu były dotkliwe, że nie mogąc tańczyć z Malwiną, do drugiego poszedł pokoju i siadłszy na sofie, przeciwnie swemu zwyczajowi niemal smutnie dumać zaczął. — Nasza Malwina, której biała, lekka jak wiatr suknia i wieniec z szkarłatnych maczków niewypowiedzianie były do twarzy, osobliwie ładną była tego wieczora, i może dlatego osobliwie była wesoła. Otoczona młodzieżą, więcej mówiąca jak zwyczajnie, dużo tańczyła i szczerą zajęta była wesołością. Wtem wieniec maczków, zsunięty się trochę, zawadzać jej zaczął, i chcąc go poprawić, poszła do zwierciadła, które nad kominem w drugim było pokoju. Spojrzawszy w zwierciadło, Malwina, dziecinna ledwo że nie powiem radością uśmiechnęła się, widząc się tak ładną, ale w ten moment, nie wiedzieć skąd, Krzewin jej się

przypomniął, i smutnie westchnęła. Podparwszy się na rękę, nawiasem w zwierciadło patrzała; lecz wtedy już nie swoją tylko, ale i twarz ujrzała Ludomira, którego wprzód nie była postrzegła. Oczy miał w nią wlepione z tym samym niemal wyrazem czułości i smutku, który tyle ją ujmował w Krzewinie, a którego daremnie na roztrzepanej twarzy księcia Melsztyńskiego w Warszawie szukała. Drgnęła mimowolnie i pierwszy raz od bytności swojej w mieście sama do niego zagadnęła: *Czemż księżę, tak zioykle wesoty, dzisiaj nie tańcuje i tak zamyślnym być się zdaje?* — *Chciałem tańcować, pół życia za jeden taniec radbym oddał, ale nikt mnie nie chciał, i nic mi się nie wiedzie!* — Te nikt znaczyło Malwinę, te nic mi się nie wiedzie, że ona z nim nie mogła tańcować; zwyczajna mowa zakochanych, którzy w przedmiocie swojej miłości świat cały zamykają. Poznała się i Malwina na tem i już szczerze żałując przykrości, którą Ludomirowi uczyniła, oświadczyła natychmiast tym wszystkim, co ją wprzód byli zamówili i nadeszli wtedy, że jej zbyt gorąco i że jej się tańcować odechciało. Niejeden na to z długą odszedł twarzą, ale Ludomira najzupełniej się wypogodziła, szczęściem radosnem zajaśniawszy, i dobra Malwina, dla której cudza przyjemność zawsze od własnej była potrzebniejszą, bynajmniej walców nie żałowała.

Gdy Malwina przestała tańcować, wielu zaraz ochota do tańca odpadła, i księżna W***, widząc, że bal zasypia, umyśliła, żeby dla odpoczynku w gry jakie zagrać. Zgodzili się na to, stół znowu wniesli okrągły, i już tą razą, mimo starań Dorydy i majora Lissowskiego, Ludomir nie dał się uprzedzić i tak manewrował, że koło Malwiny usiadł. — W sekretarza grać zaczęto; wyśmienita gra, by się dowiedzieć, o co się pytać wyraźnie nie chcą, lub wyjawić to, co wyrzec nie śmieją. Jednomyślnie księżnę W*** za sekretarza wybrano. Między kartkami w pierwszej kolei pisanemi, których najwięcej było obojętnych, te, co następują, były nieco od innych dowcipniejsze:

Co twoją przyszłość ujaśnia? —

To, co przeszłości świeciło.

Czem podobne są powab i nienawiść? —

Oboje czasem jedno tworzy spojrzenie.

Jakie trzy słowa wybierasz? —
Ojczyzna, miłość i sława.

Czem miłość pochodnię swoją zapala i gasi? —
Westchnieniem i łzami.

Co jest zaletą, a co wadą nadziei? —
Że zwodzić umie.¹

Gdy drugą kolej zaczynali, Malwina przedsięwzięcia swego zapominając i tak, jak jej się czasem trafiało, nierozważnie za pierwszym idąc poruszeniem, napisała te słowa:

Czy przeszłe lato, czy sierpień zeszły, żadnego nie
zostawiły wrażenia?

i rozdawając wszystkie kartki, tę z innemi Ludomirowi podała. Trafem ostatnią rozwinął, lecz gdy ją przeczytał, zapłonął się niesłychanie i oczy podniósłszy na Malwinę, zdał się litości jej wzywać. Malwina, widząc jego zmieszanie, natychmiast winną się osądziła; i powtórnie przyrzekła sobie przysięgi jemu uczynionej lepiej, niż dotąd, dotrzymać, w czem bardziej się jeszcze wzmocniła, przeczytawszy takową na swoje zapytanie odpowiedź:

Wrażenie niestety na wieki nie wymazane!
Ale litościwa dobroć o tem może wspominaćby
nie powinna.

To przeczytawszy, Malwina, jakom mówiła, już bardziej jak kiedy będąc przekonaną, że przyczyna zbyt ważna przymuszała Ludomira tać swoje postęпки, zamilkła potem znowu zupełnie, i chcąc ułagodzić przykrości, które rozumiała, że swoim nieuważnem zapytaniem mu uczyniła, zaczęła nieco lepiej i poufalej go traktować, niżeli dotąd od przyjazdu swego do Warszawy była czyniła.

Lecz niestety, tak jak żeby los jakiś złoczynny szukał sposobów ich odsunienia i rozłączenia ustawicznie, to, co by było powinno być

¹ W rękopisie A znajduje się jeszcze następujące pytanie i odpowiedź: „Cóż wyrzjesz na puklerzu? To, co w sercu wyryte”.

pomocą Ludomirowi, na złe mu się obróciło. Przyjaźniejsze z nim obchodzenie się Malwiny, nadzieję i wesołość mu wróciwszy, wróciły go razem do zwyczajnego sposobu bycia, do tego, w którym dotąd Malwina go w Warszawie widziała, czem tyle jej się zdawał różnym od ułożenia swego w Krzewinie. Mówić znów zaczął wiele, decydować głośno, przedrwiwając wszystkich i wszystko. Myślał może (bo pewnie nie ze złego serca), że to sposób najpewniejszy dowcip swój okazać. Mylił się w tem, jak się wielu myli, którzy rozumieją, że być złośliwym, jest być zahawnym. Mało kogo tym nikiemnym i zbyt łatwym sposobem bawią, a często (choć tak wprawdzie nie jest) dają na siebie pozór bardzo złego serca. Gdy pisać skończyli, nie wiem jakim trafem zaczęli mówić o kwestach, które dnia tego właśnie na ten rok ułożonemi zostały i nazajutrz miały się rozpocząć. — Jak wiadomo, kilka dam z najpierwszych w społeczeństwie są wybrane, które kwestują po kościołach i po wszystkich domach, podzieliwszy między siebie rozmaite ulice i przedmieścia, i te zebrane jałmużny są potem rozdzielone pomiędzy szpitale chorych i sierot miasta Warszawy.

Stąd poszła rozmowa i zwrot wzięwszy stosujący się do tego, o dobroczynności, o obyczajach, o religji nareszcie mówić zaczęto. Malwina przez trafność naturalną czując, że i z płci swojej i z wieku nie wypadało jej wcale głośno wymawiać zdań swoich, ani też praw przepisywać nikomu, cicho w miejscu swoim siedziała; ale słowa nie traciła z tego, co każdy, a najbardziej, co książę Melsztyński rozpowiadał. Ten nie z przekonania rozumiem, lecz przez płochy jakiś wstyd i dla utrzymania reputacji *filozofa* i człeka bez przesądów, którą mu jednomyślnie młodzież była przysądziła i którą chciał utrzymać, niebardzo wiedząc, co jest *filozof* i co są przesady, dla tych tedy płochych przyczyn zaczął przedrwiwać to wszystko, co tylko dotąd w przekonaniu swoim Malwina miała za najświętsze. Szlachetne obowiązki, religja, obyczaje, były celem jego żartów, i gdy po kolacji, przy której niemała liczba kieliszków szampana bardziej mu jeszcze rozegrzała i tak już dość roztrzępaną głowę, dalej zaczął ciągnąć te lekkomyślne rozumowania i niezabawne żarty, znudzona i zniechęcona Malwina zaczęła się żegnać z Księżną W***, chcąc już do siebie wrócić. Książę Melsztyński, któremu wino odwagi dodawało, poufale przysunawszy się do Malwiny: *Piekna Malwino!* rzekł do niej, *wiem, że jesteś jedną z grona świętobliwych kwestarek. Spodziewam się, że mi nie odmówisz szczęścia dzie-*

lenia z sobą tej pobożnej pielgrzymki i w tym celu jutro rano o dziesiątej stawie się w progach twoich pozwolisz. — Niech sobie książkę tej pracy nie zadaje, z zimnym nader ukłonem odpowiedziała Malwina; obowiązki nasze i sposób o nich myślenia nadto się różnią, abysmy je kiedy z sobą dzielili. Co powiedziawszy, Malwina wyjechała, i wróciwszy do siebie, głowę i serce mając napełnione różnemi uczuciami, które wzbudziły rozmaite zdarzenia tego wieczora, nim się położyła, długi list napisała do Wandy, cały ten wieczór w szczegółach opisując, i temi słowy zakończyła: „O moja Wando! jeszcze raz powtarzam i bardziej jak kiedy jestem przekonana, że wielki świat, złe przykłady, złe społeczeństwa, najlepsze serca, najszlachetniejsze dusze wkrótce zepsuć mogą! Ktoby mi był powiedział, że ten Ludomir, w którym widziałam, co tylko uczciwość, delikatność utworzyć mogą, który wypełnienie obowiązków za najłodszą miał powinność, który szczęściem i przyjemnością drugich zawsze był zajęty, że tenże sam Ludomir w tak krótkim czasie zamieni te szlachetne zajęcia w tę zimno drwiącą i wszystkie dobre i tklive uczucia morzącą próżność i niedbalstwo, które powszechną zdają się być cechą modnego społeczeństwa, a których ni z powabu ni z przekonania nigdy Malwina przejąć nie potrafi“.

ROZDZIAŁ XIV

KWESTA

Nieraz zatrudnienie zastąpić szczęście może, osobiwie kiedy cel użyteczny obejmuje. Nie wiem, czy moi czytelnicy w tem będą mego zdania; lecz doświadczywszy tylokrotnie skuteczności tego leku, radzę go każdemu. Nieraz znużona umartwieniem, zniechęcona przeciwnościami, ocucona smutną rzeczywistością zdarzeń tego życia z lubych omamień pierwszej młodości, nieraz, mówię, w zupełne i z wielu miar niebezpieczne zniechęcenie się byłabym wpadła, gdyby nie miłość zatrudnienia. Miłość ta, jeszcze w dziecinnych latach przez nader łube rady w umysł mój wpojona, z wiekiem stała mi się właściwą; ona pogodne dni nioje upiękniała, ona pochmurne znośnemi nieraz czyniła. Malwina w tem równie jak i ja myślała, i czując tę jakąś niewyrozumiałą i tem bardziej męczącą tęsknotę, którą nieład uczucia i zbieg okoliczności w sercu jej roili, mniej spokojna w domu własnym robotą, skwapliwie chwyciła się zatrudnienia, które kwestowanie przynieść jej mogło. Stać

się użyteczną biednym, chorym, złoaleją starości, dziecinności opuszczonej, dla tkliwej duszy najmiłszym było pokarmem, a wstępowanie od domu do domu i przypatrywanie się rozmaitym obrazom domowego wewnętrznego pożycia mimowolnie sprawiało roztargnienie.

Nazajutrz tedy po owym wieczorze u księżnej W***, w którym Ludomir pod tyłu różnemi postaciami jej się ukazał, Malwina w watowany zawinawszy się szlafroczek, twarz schowała w kapelusz, koronkowy welum na oczy spuściła, i Frankowską wzięwszy pod rękę, na kwestę puściła się szczęśliwie.

Kwesty te w mniejszym obrębie były gatunkiem *tkliwej podróży*¹, jaką *Joryk* odbywał, i w której czytelnik, jeśli ciekawy, może Malwinie towarzyszyć; lecz jeżeli te drobne szczegóły, które dowcipem *Sterna* opisane, bawią tak przyjemnie, rysem słabego pióra wydane, nudzić go zaczną, bezpiecznie ominąć je może.

Luty już się skończył, dzień był pogodny, rannym mrozkiem wymiecione ulice, wszędzie suchą nogą przejść można było. Słońce jasno świeciło, a powietrze czyste i żywe wszystkim przechodzącym ruchu i wesołości dodawało. Malwina wkrótce skutek tego orzeźwiającego powietrza uczuła i z większą odwagą, niż się po sobie spodziewała, do pierwszego domu weszła, by kwestę swoją zacząć. Ciemną przeszedłszy sionkę, zapukała we drzwi jeszcze dość śmiało; lecz gdy prosta dziewczka, otworzywszy drzwi, grubym głosem zapytała się jej, czego chce, odważna Malwina, głos straciwszy, ani słowa znaleźć nie mogła. Szczęściem dziewczka miała serce łagodniejsze od głosu. *Idź W Pani dalej*, rzekła do Malwiny, *teraz jest godzina nauki, i tam w pokoju znajdziesz W Pani Madam, która pannom lekcje po francusku i po niemiecku daje*. — W dużej dość izbie siedziała u góry stateczna białogłowa, a wokół stolika kilkanaście panienek, między którymi najstarsza zdawała się ledwo mieć lat 13. Różnofarbne oczy i różne cienie włosów można było znaleźć w tem ładnem gronie, i wszystkie te dziewczynki mniej więcej ładne Malwinie się zdaly; bo ochędostwo, zdrowie i wesołość młode

¹ *A Sentimental journey*: każdy zna dzieło to przyjemne i dowcipne, przez *Sterna* napisane (*Przypis autorki*). Laurence (Wawrzyniec) Sterne (1713–1768) był autorem znakomitego romansu *Tristram Shandy* (1759) i *The Sentimental Journey* (1768). Przekład polski *Podróży sentymentalnej* pojawił się w roku 1817. Sterne wywarł bardzo znaczny wpływ na technikę i barwę naszego powieściopisarstwa, ale rozciągłości tego wpływu dotychczas nie zbadano.

ich krasily twarzyczki. Postrzegłszy, że Malwina aksamitny worek w rękę trzymała, Ochmistrzyni domyślała się, że po kweście chodzi; wstawszy, najuprzejmiej ją przywitała i kwotę swą w worek wsypała. Potem, obróciwszy się do dziewczynek, które wszystkie Malwinę obstępily: *moje dzieci, rzekła, ta Pani daje sobie pracę chodzić od domu do domu i zbierać jałmużnę dla ubogich*, na te słowa dzieci oczy wytrzeszczyły i słuchały dalej: *dla ludzi starych, schorzałych*.. — już tu wszystkie twarzyczki zasmucać się zaczęły; lecz jak Ochmistrzyni dołożyła: *i dla biednych dzieci opuszczonych, którzy ni ojca ni matki nie mają*, całe grono się rozleciało; jaka taka do szufladki, do kryjówki, do kieszonek się wzięła, i wnet stos złotych i groszaków w worek Malwiny wsypały. Jadwisia, jedna z najmniejszych, potężną lalkę gwałtem w worek wcisnąć chciała, i widząc, że się nie mieści, rozplakała się niesłychanie, mówiąc: *te biedne dzieci, co mamów nie mają, to i lalusiów pewnie nie mają, ja im chciała moją dać, choć ją bardzo kocham, ale Limпка nie chce iść w worek*. Malwina uściaskała Jadzię i uspokoiła ją, że choć nie z workiem, to jednak jej *Limпка* dojdzie do *biednych dzieci, co mamów nie mają*. Jadzia zaczęła skakać z radości, i całe grono się rozsypało, bo to godzina była rekreacji. Ochmistrzyni z najczulszym wzrokiem patrząc na te dzieci, „nie rozumiem“ rzekła do Malwiny „jak są osoby, które stan ochmistrzyni mają za upokarzający, i za najprzykrzejszy. Ja od wielu lat to zatrudnienie obrałam, i razem najświętszy obowiązek i najśłodsza nagrodę w nim znajduję. Pewnie w tym stanie, jak w każdym innym, bywają trudy i przykrości; lecz cóż w świecie miłszem być może, jak te młode, niczem jeszcze nie zepsute serca, łagodną sprawiedliwością do siebie przywiązać i tem samem przywiązaniem kierować je na tor cnoty? Nie jestem dość uczoną, abym im wiele nauk dawać mogła; ale od tego są nauczyciele, ja zaś moralnością jak najwięcej się zatrudniam. Staram się z młodych lat w umysł ich wpajać tkliwą pobożność i gruntowne zasady. Robię z nich, ile jest w mocy mojej: czule i wdzięczne córki, uprzejme towarzyszeki jedne dla drugich, łagodne panie dla sług, staranne gospodynie i gorliwe obywatelki, zalecając im ustawnie radami, a najbardziej przykładem, przywiązanie do kraju, do właściwego języka, do cnót i zwyczajów narodowych, ażeby z dzieciństwa już nauczyły się lubić to, i chlubić się tem, że są Polkami. Z tak wychowanych panien, zdaje mi się, że powinny się tworzyć dobre żony i tkliwe, rozsądne matki. Doświadczyłam tego nawet, gdyż kilka

już panien z mojej pensji, poszedłszy za męż, najszcześliwiej domowe życie prowadzi.

Malwina oświadczyła ochmistrzyni, ile sposób, którym obowiązki swego stanu wypełnia, szanowny jej się zdaje, i pomyślała sobie, że bezpiecznie zaniechaćby można zwyczaju sprowadzania z zagranicy cudzoziemek, by Polki wychowywać; gdyż w własnym kraju znaleźć można niejedną osobę, podobną tej zacnej ochmistrzyni i sposobniejszą rodaczki wychowywać, niżeli te cudzoziemki, które najczęściej z niewielkim nawet staraniem są wybierane.

Z tego wyszedłszy domu, do ościennego zaszła Malwina; szeroka brama, pyszne schody, galonowany szwajcar, w przedpokoju liczna liberja, dalej kilku kamerdynerów. Malwina jednego prosiła, żeby oświadczył panu, iż kwestuje na ubogie szpitale i spodziewa się, że pan zechce się do tej kwesty przyłożyć. Kamerdyner, który gazetę czytał przy oknie, choć niebardzo chętnie, wstał jednak, i przypatrzwszy się Malwinie, wszedł do gabinetu pana, a że drzwi nie przymknął za sobą, Malwina przysłuchać się mogła całej ich rozmowie. *Przyszła tam jedna po kweście, rzekł kamerdyner... Nie było na to odpowiedzi. Mówi, że to na szpitale. — Dajże mi pokój i nie przeszkadzaj, widzisz, że pisze i żem pilnie zatrudniony. — Ona mówi, że to dla biednych, dla ubogich. — Och! już ci ubodzy mnie kością w gardle stoją, o niczem już innem nie słyszę, i wkrótce w własnym moim pokoju opędzić się im już nie będzie można! — Ale kwestarka młoda i ładna, dołożył kamerdyner. — Na te słowa, pan okulary zdjął, szlafroka poprawił i łaskawie kazał prosić Malwiny. — Z kimże mam honor mówić? z pod ręki na nią spoglądając. Malwina imię swoje wyrzekła. Godnością jej zdziwiony i ładnością ujęty, pan nasz, zmieszany trochę, zaczął się jękać, potknął się, ekran od kominka zawadził, i tak mu coś niewygodnie na świecie być się zdawało, iż pusta Malwina tylko mu się w nos nie rozśmiała; w czas się przecie wstrzymała i z uśmiechem tylko dołożyła: *wszystko, co w tym domu postrzegam, upewnia mnie, że moi ubodzy niemają tu pomoc otrzymując, i to mówiąc, worek aksamitny podała. Kwestarka dziwnie była ładna, wysokiego urodzenia, i zbyt w wielkim świecie znajoma, by przez nią wspaniałomyślność lub skąpstwo naszego pana w społeczeństwie się nie rozeszło. — Te wszystkie szczegóły stanęły mu na myśli, i raptownie pochwycony ładunek z 50 dukatami, który na biurze leżał, nagle w worek Malwiny wrzucił; i pięciu możeby**

nie dał, gdyby zamiast pięknej i świetnej Malwiny stara i biedna jaka kobieta dla biedniejszych od siebie o jałmużnę go prosiła. Lecz bądź już jak bądź, Malwina szczęśliwa z tak dobrego podsycenia swojej kwesty, wesoło pożegnała ten pyszny dom i pyszno-skąpskiego pana, i na drugą stronę ulicy przeszedłszy, weszła do kamienicy, gdzie mieszkała dama ze spotykania w społeczeństwie dość dobrze jej znana. Kanap, kanapeczek, draperjów rozmaitych dość było w pokoju. Na sofie gitara w formie liry, ale kilka stron¹ zerwanych. W kącie gradusy z kwiatami; lecz że zapomniano ich polewać, najwięcej było zeschłych. Na stole, *le journal de modes* leżał roztwarty, filiżanka z czekoladą nie dopita, bilety na teatr, afisze, gazety i potężne pudło najświeższych mód, co dopiero ze sklepu Lazarowiczowej byli przynieśli. Sama imość przed wielkiem stała zwierciadłem, i właśnie jeden z nowo przeniesionych czepeczków próbowała, gdy weszła Malwina. — *Ach jak dobrze, żeś przyszła, moja kochanko! udecydujesz mnie w wyborze tych gałganków; od godziny wybieram, i już mnie zaczyna nudzić, tylko uważaj moje życie, któreś tuł najcieńszy. Jutro pewnie niech na dwunastą wygotują duljetkę² lila i kapelusz z koronką* (powiedziała panience, co przy przy pudle stała), *bobym nie miała co włożyć na jutrzejszą szlichtadę. Waćpan nie czekaj daremnie, oto masz swój bilet, bo ja dziś na gitarze grać nie będę*, rzekła do Włocha, który od godziny czekając, bardzo znudzoną miał minę. Malwina, widząc tę rozstrojoną gitarę, pomyśliła sobie, że pewnie i innych dni nie więcej na niej grywają. — *Wszystko, co jest w pudle, zatrzymuję, moja panienko; powiedz Lazarci, żeby diadem z bzu białego na niedzielny piknik nie zapomniata. Malwinko, nie chcesz czekolady? ou bien, un dejeuner à la fourchette?*³ *Zabaw się jeszcze trochę, moje życie, to się go wkrótce doczekasz; co dzień o tej godzinie wiele młodzieży u mnie bywa, i ponieważ o siódmej dopiero jem obiad, śniadanie zawsze wprzód zjadamy.* Malwina chciała cośkolwiek na to mnóstwo słów odpowiedzieć; lecz nasza elegantka znów ją przerwała. — *Ale, ale, ty podobno dla ubogich kwestujesz, i ja miałam kwestować; major Lissowski i kilku innych mieli mnie towarzyszyć, ale odechciało mi się tego, bo w szubce chodzić tylko, to zimno, a w salopie okrutnie nie ładnie. — Moje życie, nie mam nic przy sobie,*

¹ stron = strun.

² duljetka = kaftanik jedwabny, wutowany (z franc. *douillette*).

³ dosłownie: albo może śniadanie na widelcu?

daj tam proszę za mnie dukata. — Malwina dała tego dukata, z którym już się więcej nigdy nie obaczyła, i słysząc nadchodzącą spodziewaną młodzież, nie chcąc czasu trawić, uciekła z resztą. — Porzuciwszy dopiero wytworne mieszkanie i obraz modnego poranku elegantnej damy, dziwno się zrazu zdawało Malwinie, gdy wnet potem znalazła się u furty księży Bazylianów. Zadzwoniła, i wkrótce mnich stary z siwą brodą i uprzejmem spojrzeniem furtę otworzył i zapytał się, czego życzy? *Kwestuję dla ubogich i na szpitala, mój ojcze!* *Nierielkie u nas znajdziesz skarby, moje dziecko,* z łagodnym uśmiechem odpowiedział starsuszek, *ale chciej odpocząć sobie trochę w naszym ogrodzie, a ja obejdę temczasem wszystkie cele, i co będę mógł zebrać, z radością odniosę.*

Malwina weszła do ogrodu; — wysokim murem opasany, kilka kwater bukszpanem odznaczonych, w których łodygi suche, mimo zimy, jeszcze się trzymały, trochę owocowych drzew i na środku studnia kamienna pod starym orzechem, na której siadła Malwina. Cichość zupełna panowała; nic milczenia nie przerywało, chyba powolne kroki mnicha jednego, który przechodząc sklepionym gankiem monasteru, pod temi arkadami jak cień jaki się wydawał. Dzwon od furty raz dał się słyszeć, a później głucho-jednostajne mruczenie, które Malwina poznała, że z choru pochodzić musi, gdzie księża pacierze śpiewali. Dumać zaczęła Malwina, rozmyślając o różnicy niesłychanej zatrudnień i sposobu życia osób, których tylko mur jeden dzielił. W istocie, nie mniej sobie nie było podobne, jak roztrzepany poranek naszej elegantki i spokojne chwile, które zdawały się panować w tym klasztorze. — Ojciec Ezechjel dumania Malwiny przerwał, odnosząc szczupłą, ale chętnie daną kwotę, którą w całem był zebrał zgromadzeniu. Świętą zdawała się Malwinie ta ofiara — ofiara ubóstwa dla nędzy. Z rozrzwinięciem podziękowała furtjanowi, potem z większą czułością, niżeli rozważą, — *Ojcze, rzekła, jakież smutno-jednostajne życie prowadzisz! stary, ubogi, i do tego mnich; ach! nadto biednym być musie!* — *Nie tyle, ile rozumiesz, moje dziecko,* odpowiedział na to Ezechjel, *nie zawsze z powierzchowności sądzić o ludziach trzeba... W młodości mojej tak, jak wielu innych, pragnąłem zupełnego szczęścia i za łudzącemi goniłem się omamieniami. Wiele znoju i pracy sobiem zadawał i niemal nigdy nic otrzymać nie mogłem. Znużony nareszcie temi wiecznemi walkami, jednego dnia wszystkom porzucił i wdziękając ten habit, zyskałem przy nim między innemi korzyściami zapomnienie przeszłości*

i na przyszłość obojętność. Żadne zdarzenie już mi bardzo dokuczyć nie może; spokojność staje mi za szczęście, a oddanie się zupełnie Opatrzności zastępuje zupełnie nadzieję. — Tak mówił mnich i pęk goździków pierzastych, który trzymał w ręku, oddając Malwinie, dołożył: moje dziecko, przyjmij te kwiaty, które na mojem oknie wyrosły, i na nie patrząc, wspomnij czasem starego Ezechjela, a wśród zabaw wielkiego świata niekiedy przypomnisz sobie, że i w ponurym klasztorze i pod grubym habitem pogodnie serce bić może, kiedy sumienia spokojnego żadna zgryzota nie trwoży. — Malwina z uczuciem pożegnała starego Ezechjela, i kilka kroków uszedłszy, inakszy znów obraz jej się ukazał. Hałaśny ruch gospodarskiego stołu w uczęszczanej oberży zastąpił ciszę klasztorną. — Wojskowi od piechoty i od jazdy; kupców kilku na jarmark przybyłych; szlachcic stary w piaskowej opończy; młodzik w szerokim surducie, niezmiernym kołnierzu, z czubem nastrzępionym; aktor wybladły; oficjaliści od różnych dykasterjów; żyd bogaty; z posępnem czołem bezżeniec, co w domu obiadu nie miewa; doktor, co już do domu na obiad trafić nie mógł, i wiele innych mniej więcej ciekawych figur stół ten wkoło obsiedli. Butelek dość było na stole, wrzawy dość w pokoju. Wszyscy stołownicy razem gadali; w rogu sali panienka nieszpetna na zły grała harfie, której stary basetlista i skrzypek niepoczesny towarzyszyli. Gospodarz domu z serwetą w ręku uwijał się na wszystkie strony. Drzwi ustawnie przytwierzano, a wieczne dryndulki, tłukąc się po bruku i łącząc się do tysiącznych ulicy hałasów, czyniły tę scenę najdoskonalszą przeciwnością ciszy i pokoju.

Malwina cofnąć się chciała, lecz żal jej było znacznej kwoty, której się spodziewała przy tak liczmem zgromadzeniu. Weszła tedy i bynajmniej tego nie żałowała, bo jaki taki, wojskowy czy cywilny, z prowincji przybyły szlachcic, równie jak modny mieszkaniec miasta, stary czy młody, bogaty i ubogi, gospodarz domu, nareszcie kapela niepoczesna, wszyscy podług stanu i możliwości, chętnie i z najlepszem sercem zbiór jałmużn dla ubogich podsyłali.

Ta uprzejma uczynność rozrzewniła Malwinę i z uniesieniem pomyślała, że miłosierdzie, ten święty przymiot, nierozdzielny jest w duszach polskich z gościnnością starodawną, z szlachetną odwagą, i z przywiązaniem najczystsze do Ojczyzny. — Te właściwe narodowe cnoty, których wieki nieszczęść, zniszczenie kraju, bieg czasu,

gwałt przymusu, strata nawet nadziei wykorzeń z serca Polaków nie potrafiły.

Z chlubą i przekonaniem powtarzam i ja za Malwiną, że te szanowne cnoty i wiele innych jeszcze są nieodrodną własnością moich współziomków; ale dokładam, że z tej unoszącej własności ¹ próżność, lekkość i lenistwo wypłeniłbym chciała, a do gorącego porwania się w każdym działaniu (co także jest narodowym przymiotem) dodałbym rada stałość uporczywą i miłość porządku, bez których najlepsze, porywczyste chęci bezskutecznymi zostają i podobne są iskrzącym fajerwerkom, które zabłysnąwszy trochę, dym tylko i większe ciemnoty po sobie zostawiają ².

Niejedno zdarzenie spotkało Malwinę w dalszym ciągu tej kwesty, która dni kilka jeszcze trwała; lecz że byłoby nadużywać cierpliwości czytelnika każde wyszczególniać, jedno tylko dołożę, które poniekąd związek ma z dalszą jej historją.

Obszedłszy znaczniejsze ulice w obrębie sobie wyznaczonym, Malwina zeszła ku Wiśle do zupełnie jej nieznanego przedmieścia; lecz widząc niskie klitki, szczupłe zagrody, ubogiem pospółstwem zamieszkałe, gdzie raczej dać niż zbierać jałmużnę należało, wracać się już chciała, gdy postrzegłszy między temi mizernymi domostwami jeden porządny domeczek, śpiesznie do niego weszła. Wąskie przejście dzieliło kuchenkę i komorę od dwóch izb wybielonych starannie i gdzie łóżka, szafa z cynowemi talerzami, stół, stołki, obrazki, firanki, najporządniej zdawały się utrzymywane. Nie widząc nikogo w domu, Malwina weszła do sadu, który, z boków wysokimi stroiszami ³ oparkiony, do samej Wisły dochodził; środkiem, ubita ścieżka do rzeki prowadziła. Malwina nią idąc, następujący obraz ujrzała. Pod rozłożystą gruszką, nad samą wodą, siedział człowiek sędziwy, ciemnej twarzy, który na długiej żerdzi podrywka ryby łowił; przy nim kobieta młoda, z płcią także śniadawą i czarnemi oczami, zawieszone na drzwiach siecie naprawiała, u nóg ich kadź stała z wodą pełną rybek, w której mała dziewczynka, także z włosami i oczami czarnymi, grzebała, drażniąc się z kotem, co na rybki czatował. Długi zakręt Wisły widać było

¹ *unoszącej własności* = szlachetnej właściwości.

² W ustępie powyższym wyjątkowo wystąpiła w dość silnem natężeniu dydaktyczna dążność autorki, unikającej naogół moralizowania.

³ *stroisz* == żerdź, palik.

z tego miejsca, łódka wartem płynęła, most i Praga horyzont kończyły, i zachodzące słońce, właśnie w porę oświecając ten obraz, czyniło go godnym pędzla Werneta.¹ Niewiasta najpierwsza Malwinę postrzegła, i dowiedziawszy się, z czem przyszła, wnet ojcu doniosła. *Mówisz, że dla ubogich to ta pani zbiera*, rzekł do córki, podrywkę z wody wyciągając; *o! kiedy dla ubogich, to jakem cygan, Dżęga chętnie się do tego przyłoży!* i to mówiąc, skórzaną dobywszy sakiewkę, parę talarów w worek Malwiny wrzucił — *i jam był kiedyś ubogi, nędza mi była dobrze dokuczyła. Dlatego, żem czarny, nikt mnie w służbę przyjąć nie chciał, jednak i cygan czasem może być pocciwy. Ni służby, ni roboty nie mogąc nigdzie dostać, w największą wpadłem był mizerją. Zięć mój i moja Jewa z głodu i nędzy zamarli, i stary Dżęga ukrótceby był za niemi poszedł i zostawił te dwoje, co widzisz tu WPani, dzieci sierotami na ziemi, ale Bóg dobry, który i o cyganach pamięta, pozwoił, że i Dżęga anioła spotkał. Ach! Anioł prawdziwy ten kniaź Melsztyński. (Na te słowa pilniej, jak kiedy, Malwina słuchać zaczęła). Trafem, co² długo gadaćby trzeba, do niegom się udał; on mnie wysłuchał, dał sobie pracę³ dochodzić, czy Dżęga nie kłamie, przekonał się o naszej nędzy i na zawsze nędzę od nas odpędził. On ten plac kupił, ten domek kazał wystawić, zadatek mi dał, bym mógł rybactwem (co jest moje rzemiosło) uczciwie na życie zarabiać; i już kilka lat minęło, jak Dżęga znów jesiotry i węgorze poławia i nigdy podrywki nie zarzuci, niewodu nie wyciągnie, żeby tysięcznych błogosławieństw kniaziowi z Melsztyna nie posyłał. Niech żyje kniaź z Melsztyna! czerwona rzucając w górę czapkę, wykrzyknął stary Dżęga, a Malwina zapominając o wieczorze księżnej W*** i o płochości obyczajów Ludomira, przejęta jedynie dobrem sercem jego, tysięczne swoje życzenia łączyła z duszy do błogosławieństw cygana. A te korale czy także od księcia Melsztyńskiego? rzekła Malwina, postrzegłszy sznurek dużych korali, których szkarłatna farba mocno się świeciła, na czarnej szyi dziewczynki zawieszony. — *Oh! nie*, odpowiedział Dżęga, *to znów inna historia, to ten pocciwy nasz warjat Rózi podarował*. — Te słowa ciekawość Malwiny wzbudziły, i Dżęga, który chętnie rozprawił, tak zaczął o tem znowu*

¹ Wernet był sławnym malarzem, który widoki morza i brzegi rzek zwykle malował. (Przyp. autorki).

² co, poprawnie: o którym.

³ dał sobie pracę = zadał sobie trud.

mówić: „Pełnia trwa już od kilku dni, wieczory jasne i ciche, wtedy węgorce najlepiej się poławiają. To też widzi jejmość, co wieczór tu przychodziłem i podrywkęm zarzucał. Zarzuciwszy, czekałem spokojnie i tymczasem oglądałem się tu i ówdzie, dla rozrywki tylko, moja imość kochana; aż jednego razu, po miesięcznym promieniu, który na niego uderzał, postrzegłem z drugiej strony płotu człowieka, który nad brzegiem Wisły po piasku i kamyczkach chodził. Szeroki surdut miał na sobie i kapelusz spuszczone, żem twarzy nie mógł poznać; wprzód i wżad chodząc, czasem na miesiąc patrzył, potem z za pazuchy coś białego, naksztalt cienkiej chusteczki wyciągał, i patrząc na to wzdychał i sam do siebie gadał. Na co, moja jejmość kochana, Dżęga się domyślił, że to zapewne warjat być musi; ale że nikomu nie szkodził, niech go tam Bóg błogosławi, pomyślałem sobie. Dżęga węgorce poławia, warjat białą chusteczkę na sercu nosi, i tak każdy robi, co mu się podoba. Ale wczoraj w wieczór cóż się stało? Oto warjat, co zwykle nad brzegiem Wisły chodził, wczoraj siadł na tym wzgórk, ot nad tą wapnistą przerwą, co ją stąd widać, i jak zwykle, z pod serca białą swoją chusteczkę wyciągnawszy, głęboko nad nią się zamyślił; alic wiatr duży się zerwał, i wyrwawszy ów kawał muślinu, na wodę go poniósł. Warjat krzyknął, i chciał za nim lecieć (dalipan w Wisłę pono); szczęściem ten gałgan w sieć moją się wpłatał, i Dżęga miał czas zawołać na tego dziwnego czleka, który się chciał topić dlatego, że taki gałgan utracił... Ha, a!e moja imość kochana, każdy ma swoje widzi mi się, niech go tam Bóg sekunduje! oddałem mu muślin ukochany, którego jak się znów dorwał, to tak się cieszył, że mi jeszcze śmieszno teraz, jak sobie przypomnę. Worek chciał mi dać swój z pieniędzmi, ale Dżęga nie chciał przyjąć; bo imość, chyba radośćbym mu był sprzedał i kazał ją płacić, bo co ten zmoczony gałgan, to i grosza nie był wart. Wtedy warjat poleciał i niedługo potem wrócił i przyniósł ten sznurek koralu dla Rózi, któren dziś ma na szyi. *Wzięcie go proszę, mówił, niech i nam przypomina, żeście mi największą uczynili przysługę, oddając mi największy skarb, co posiadam na świecie.* To wymówiwszy, uciekł, i więcej o nim nie słyszałem“.

Już Dżęga przestał był mówić, a Malwina jeszcze słuchała. Mimo-
wolnie oczy jej się wlepiły w tę wapnistą przerwę i skalisty pagórek,
na którym siedział ten dziwny człowiek, którego w myśli swojej nie-

szczęśliwym zapewne, ale nie warjatem sądziła. Zdawało jej się widzieć go z niebezpieczeństwem życia lecącego w wodę za tym upominkiem, któremu chyba ręka miłości taką cenę dać mogła. Tysiączne myśli w młodej głowie Malwiny stąd wynikły, czułość serca dotknęły, i z westchnieniem te słowa: *och jakże ją musi kochał* z ust jej się wymknęły. Zarumieniła się, postrzegłszy, jak w głębokiem była roztargnieniu, i natychmiast pożegnała pocziwego cygana, który ledwo że i ją warjatką nie osądził, widząc, że także sama do siebie gadała. Daremnie Malwina o czem innem myśleć chciała; dobroczynność księcia Melsztyńskiego, tak tkliwie prostotą Dżęgi opisana, i wspomnienie tego nieszczęśliwego mniemanego warjata, jedynie ją zajmowały i w tak głębokie dumanie wprawiły, że sama nie postrzegła, jak do miasta wróciła. Koło fary przechodząc, dźwięk organów, który się po sklepieniach tej dawnej budowy rozchodził, z tego ją przecie roztargnienia obudził, i będąc zmęczona całodziennem chodzeniem, weszła do kościoła, by nieco odpocząć. Nieszpory wtedy śpiewano, przy wielkim oltarzu; światło tylko widać było, reszta katedry już zmrokiem była okryta. Ludzi było dosyć; Malwina blisko drzwi siadła, worek otwarty przed sobą położyła, czekając spokojnie, rychło kto z przechodzących jałmużnę weń wrzuci. Świetność miejsca, dźwięk organów, zaciemnione sklepienia, wszystko to jeszcze pomnożyło skłonność do dumania, z którą weszła do fary. To, czego u Dżęgi o księciu Melsztyńskim się dowiedziała, i traf, co ją sprowadził tam, gdzie szczere i tklive opisanie jego dobroci usłyszeć mogła, myśli jej ku niemu zwróciły. Warszawski Ludomir i błędy, któremi ją martwił, znikły z pamięci, a Ludomir dobroczynny względem Dżęgi, Ludomir tklivy, pełen cnót, jednym słowem, Ludomir ten, którego w Krzewinie знаła, w Krzewinie kochała, stanął w oczach i całkiem duszę jej zapełnił. W tej chwili kochała go znowu najżywszą miłością, i serce mając pełne najczulszego rozrzwennienia, wzniosła modły najszczerze ku Stwórcy wszech rzeczy, dziękowała Bogu z zachwyceniem za uczucie miłości, które wlał w serce wszystkich stworzeń, uczucie, którego prędzej czy później każdy kiedyś doznać musi i w niem tylko znaleźć może wyobrażenie wiecznego uszczęśliwienia.

Nie umiałabym powiedzieć, bo i Malwina sama nie bardzo zrozumieć mogła, dlaczego przy tych modłach, dlaczego przy tych myślach i wspomnieniach o Ludomirze wspomnienie biednego mniemanego warjata łączyło się mimowolnie. Wapnisty pagórek nad Wisłą, białą

muślin (jak go Dżega mianował) i ten nieszczęśliwy, którego *jedynym był skarbem na świecie*, malowały się ustawnie w jej pamięci, mieszając się do najwłaściwiej miłych jej myśli.

Wtem przechodzący jakiś, mijając Malwinę i poznawszy w niej kwestarkę, zatrzymał się i ładunek z monetą wrzucił w worek, a gdy w ten moment czarną koronkę, którą na twarz miała spuszczoną, podniosła, z niewypowiedzianym wyrazem: *ach Malwina...! o Boże!* krzyknął ten przechodzący, w którym natychmiast, mimo grubego surduta i ciemności kościoła, Malwina Ludomira poznała. Wzrok jego najtkliwszą pałał miłością, a w głosie zdziwienie, radość, rozrzewnienie i lekki cień wymówki dostrzec mogła Malwina. Nie mógł Ludomir, jakośmy wyżej widzieli, w szczęśliwszej dla siebie chwili spotkać Malwiny. Tkwiła w jej umyśle świeża pamięć dobroci jego, pochwały, głosem wdzięczności mu dawane, jeszcze w uszach brzmieć się zdawały, cofniona myśl w szczęśliwe chwile Krzewina całą czułość serca wskrzesiła, i gdy Ludomir z tym tonem, co do jej serca trafiać umiał, te kilka prostych słów wymówił, zdały się one Malwinie wyrazem najtkliwszej miłości. I sama czując takż w ten moment, jak szczerze go kocha, z tąż szczerością jej właściwie wrodzoną natychmiast wyznać to mu chciała, nie wątpiąc, że Ludomir, tem wyznaniem zniewolony, nie już tajnego dla niej mieć nie będzie i wytłumaczy jej nareszcie owe odmiany i tajemnice w postępках swoich, które nieraz tak ją dziwiły i obrażały, które czasami od niego ją odrażały, a o których z własnem zadziwieniem w tej chwili ledwo pamiętała. Malwina wstała, Ludomir z zachwyceniem oczy miał w nią wlepione, przysunęła się do niego i w obfitości serca raptownie rzekła: — *Ludomirze! Warszawa... Malwiny serca nie zmieniała: (pewnie dołożyć chciała) i dziś ci go oddaje tak czyste, tak toba zajęte, jak w szczęśliwych początkach naszego kochania.* — Lecz tych słów ostatnich wymówić nie mogła, pierwsze ledwo Ludomir był dosłyszał, gdy hałas niesłychany, bębny, co larum biły, i różne głosy wołające: *ogień, ogień... pali się...* przerwały raptownie rozmowę między naszymi kochankami, do której zbiór okoliczności był ich doprowadził, od której może szczęście ich było zawisło, a która teraz przzerwana, nie prędko znów się zwiąże.

Ludomir pobiegł widzieć, gdzie się pali, by podług tego Malwinę z kościoła wyprowadzić; ale Malwina przestraszona, zamiast czekania na miejscu, iść chciała za nim; ciemność kościoła i przelęknięcie zda-

rzyły, że innemi drzwiami wyszła. Ogień ogromny naprzeciwko kościoła zajęty przeraził ją natychmiast. Ludomira dostrzec nie mogła. Chciała się do kościoła wrócić, tłum wychodzących ludzi tego jej nie dozwolił; Frankowską takż była zgubiła. Ulica pełna ludzi, koni, wozów z pompami, żołnierzy, była zewsząd zatarasowana; hałas niesłychany, blask pożaru ćmił oczy, jednym słowem wszystko się połączyło, żeby strach Malwiny podwajać. Szczęściem w ten moment Frankowską w tłumie postrzegła, która z wielką pracą przedrzeć się przecie do niej potrafiła i już nie odpowiadając nawet na wszystkie zapytania swojej pani, czy nie widziała, czy nie spotkała Ludomira, wzięwszy ją pod rękę, między konie, ludzie, dyszle z niebezpieczeństwem życia wyprowadziła ją przecie do spokojniejszej ulicy, gdzie wpół żywa biedna Malwina, spotkawszy dorózkę, wsiadła w nią z Frankowską i do domu zawieźć się kazała.

Zmęczona niesłuchanie, przyjechawszy, położyła się zaraz, ale nie prędko zasnąć mogła. Troskliwość o Ludomira i myśl, jak się zadziwić musiał, gdy wróciwszy do kościoła, już jej tam nie zastał, długo jej snu nie dozwalały. Przytem żal, że miłości tej, która tak żywo znowu serce jej nappełniła, wyznać mu nie mogła, spokojność od niej odsuwał. Ale cieszyła się myślą, że co odsunięte, nie stracone, i że gdy nazajutrz Ludomir (o czem nie wątpiła) będzie u niej, by się dowiedzieć, jak i czy szczęśliwie do domu wróciła, znajdzie sposobność przerwana wskrzesić rozmowę. Czułość i wdzięczność Ludomira z niewypowiedzianem szczęściem przewidywała i w tych szczęśliwych myślach, znużona całodzienną pracą, usnęła nareszcie. A ponieważ spoczywa moja Malwina, spoczne i ja trochę, nim przyszły zacznę rozdział.

KONIEC PIERWSZEGO TÓMU.

TOM DRUGI

ROZDZIAŁ XV

TAIDA

Nazajutrz niespokojność wcześniej Malwinę obudziła; zadzwoniła natychmiast, spodziewając się jakiejkolwiek bądź od Ludomira wiadomości. — *Czy nikt nie przysłał tu dziś rano?* (ledwo poruszenie utaić mogąc) zapytała się; na co spokojnie firanki odsuwając, *nikogom nie widziała*, odpowiedziała Frankowska.

Malwina, której zwykle najłatwiej w świecie służyć i dogodzić można było, w ten moment wszystko niedogodnem znalazła. Odsunięte firanki kazała zasunąć, bo dzień ją raził; ledwo były zasunięte, skarżyła się, że ciemno nieźnośnie i czytać nie może. Kazała ogień rozpalic i wnet drzwi pootwierać, bo takiego gorąca (rzekła) wytrzymać niepodobna. Nareszcie wstała, myśląc, że ponieważ Ludomir nie przysłał, to tem bardziej sam wkrótce przyjedzie. Ledwie tę myśl przepuściła, natychmiast serce jej najżywiej się znowu rozkwiliło, znowu przewidywała z uniesieniem jego radość i rozrzewnienie, układała sobie, co i jak mu powie, i ktoby ją wtedy był wziął za rękę, po pulsie pewnieby rozumiał, że jest w gorączce; ale świeżość cery i żywość wzroku upewnić razem mogły, że chorą nie była. Ubrała się prędko, śpiesznie uprzątnąć pokoje kazała, i siadłszy w gabinecie, którego okna wychodziły na ulicę, wzięła książkę. Lecz zamiast czytania, zajęta jedynie hałasem każdej przejeżdżającej karety, pilnie przysłuchiwała się, czy do jej domu nie zajeżdża? Niema tej osoby, któraby w troskach i niecierpliwości oczekiwania nie doświadczyła niekiedy po wielkich miastach męki tej przysłuchiwania się turkotowi każdego pojazdu,

które przybliżając się i mijając znowu, coraz dają i odbierają nadzieję. Więcej dwóch godzin tej męki wytrzymała Malwina, ale nareszcie nie było w jej mocy dłużej usiedzieć; wstała z ściśnionem sercem, postrzegłszy na zegarze, że godzina już była minęła, w której jeszcze mogła się Ludomira spodziewać. Czuła dobrze, że takowego niedbania i niepojętej zmienności w postępkach jego względem niej wymówić sama przed sobą nie mogła. Lecząc tała to sobie, nie zazierała w myśli swoje, żalując i nie chcąc psuć sobie tego uczucia uspokajającej determinacji, na którą względem Ludomira w przeszłym dniu zdobyła się, a która tem miłszą jej się zdawała, im ją boleśniej zmęczyły i niepewność i równie niepojęte zmiany własnego jej serca.

Nie mogąc samotności wytrzymać dłużej, kazała zaprząć i pojechała do księżnej W***, spodziewając się tam choć cośkolwiek o Ludomirze usłyszeć. *Gdzieżeś siedziała moja duszko?* rzekła ta do niej, jak tylko ją postrzegła, *cały dzień ciebiem nie widziałam, a w wieczór daremnieśmy na ciebie czekali. Niejeden przeklinał kwesty lub jakis-bądź zatrudnienia, co ciebie zatrzymywać mogły, ale nikt bardziej, jak ten biedny książę Melsztyński, którego też ty niemiłosiernie męczysz!* Malwina chciała coś na to odpowiedzieć, ale księżna jej znowu przerwała, mówiąc dalej: *Nie pozwoliłaś mu towarzyszyć sobie w kweście, nie zmięknęłaś się wiecznem tu wczorajszem jego czekaniem, i on też dziś w nocy wyjechał zato; nie wiem, dokąd, po co, ani na długo, tylko tyle wiem, że stąd odchodząc, z nieco zranionem sercem, te słowa mi powiedział: niech księżna będzie łaskawa i raczy oświadczyć pani S***, że przez jakiś czas przynajmniej nie będę jej nudził, ani się jej naprzykrzał nieszczęśliwem mojem przywiązaniem. I to wymówiwszy, z smutniejszym wyrazem, niż z jego ułożenia uypada, uciekł nieborak.*

Malwina na te słowa księżnej zdumiała się zupełnie, nie wiedząc już, czy się gniewać, czy się smucić miała, czy być obrażoną na Ludomira, czyli też litować się nad nim; ale jak zwykle, bliższą była sobie, jak jemu, winę przypisać. Wczora, myślała sobie, w kościele nie mógł zgadywać, co się w sercu mojem dzieje, i jak pełne najlepszych dla niego było uczuć, a na wieczorze onegdaj u księżnej W*** nadto mu srogo odpowiedziała. Te uwagi w smutne ją wprawiły zamyślenie, i księżna żalując, że ją niechętnie była zmartwiła, natychmiast szukała sposobu rozerwania jej. *Ponieważ,* rzekła, *o naszym biednym trzpiocie mówicieśmy zaczęły, muszę na twoje onegdajsze zapytanie, czy*

już poumierali jego rodzice? odpowiedzieć. Przy Zdzisławie nie mogłam tego uczynić; ale teraz, jeśli zechcesz, mogę twoją ciekawość uspokoić. Malwina oświadczyła, że najchętniej słuchać będzie; księżna rozkazała, aby nikogo nie przyjmowano, siadły obie koło kominka na wygodnej sofie i księżna opowiadać zaczęła historję życia, a raczej kochania i śmierci rodziców Ludomira.

Historja Taidy

przez księżnę W*** Malwinie opowiadana.

Taida, córka Zdzisława księcia Melsztyńskiego, szlachetną duszę do najpiękniejszego łączyła ciałą. Opatrzność na nią była złała, co tylko zazwyczaj szczęście tworzy. Zaczne urodzenie, ogromny majątek, młodość, piękność, przymioty duszy, rozum, wdzięki, talenta, słowem wszystko, co życzyć można, było jej udziałem. Jedynaczka i dziedziczka wszystkich bogactw ojca, wybierać mogła w całym gronie naszej młodzieży, i pyszny Zdzisław widział, że co tylko najświetniejszego było w całej Polsce, o rękę córki się dobijało, acz z uprzedzeniem ojca i próżnością możnego pana nikogo jeszcze tej ręki godnym nie znajdował.

Taida tedy dla szczęścia urodzoną być się zdawała; ale któż na stałość szczęścia rachować może? Do tylu darów, któremi nieba Taidę były obdarzyły, jeden dodały, którego moc wielowładna wszystkie inne zatrąła, a tym darem była *tkliwa czułość Taidy*, która równała się wyniosłej pysze Zdzisława. On równości urodzenia, ona zgodności dusz najpierwej wymagała do szczęśliwego postanowienia i szlachetne postęпки jeszcze nad dawność szlachestwa przekładała. Ośmnastą kończąc wiosnę, zupełnie dotąd spokojna, bez żalu, ni przeciwności, zgadzała się była do tej chwili z wolą ojca, który nigdy nikogo godnym córki nie znajdując, niejednemu już odmówił jej ręki. Niebieskie oczy Taidy wzniewały pożary, których się często ledwie domyślała, i z obojętnym wzrokiem poglądała na tych, co się o nią dobijali. Bynajmniej przyszłych chwil nie zgłębiając, z wdzięcznością słodocy przytomnych używała, podobnie jak róża wiosenna lub lilja wysmukła, rannym zefirem kołysana, która swobodnie wonie swoje rozpraszając w powietrzu, nie przewiduje, że w tym jeszcze poranku nadejdzie burza, którą zniszczona zostanie. Nadeszła wkrótce ta burza dla Taidy, wionęła gwałtownie na poranek jej życia, i rychło, zbyt rychło ten kwiat młodzińczy ku ziemi schylonym został na zawsze!

Był naówczas młodzieniec, którego imię było *Ludomir*, wojskowość rzemiosłem, hasłem miłość ojczyzny, a zbiór cnót najszlachetniejszych duszy udziałem. Z dziecinnych lat będąc w wojsku, życie do tego czasu przepędzał jedynie na służeniu i bronienu Ojczyzny; w tak młodym wieku już okryty ranami i sławą, godny szczęścia i zaszczytów wszelkich, tych jednak nie posiadał, które fortuna i urodzenie dają.

Gorące uczucia duszy i tkliwość serca Taidy dotąd, rzecz można, usypionemi były. Matkę w dzieciństwie utraciwszy, przez wiele lat w ojcu szukała przyjaciela, z nim chciałaby była podzielić te uczucia, które serce jej napełniały; lecz Zdzisław bardziej ostatnią dziedziczkę imienia swego, niż tkliwą córkę w Taidzie uważał, ani rozumiał, ani szukał rozumieć jej serca. Towarzyszki poufałej płci swojej nie miała, bo ojciec nikogo godnym tego stopnia nie znajdował; jednym słowem, w pośród wszystkich dostatków, otoczona tem wszystkiem, co świat szczęściem być mieni, Taida nieraz cierpiała tę samotność serca, która jest jedną z najdotkliwszych boleści. Lecz pokrywała tę boleść spokojną i obojętną postacią, i jedyna namiętność, którą dotąd w niej znano, jedyne uczucie, z którym w każdej okoliczności się wydawała, było przywiązanie nicograniczone do Ojczyzny. Ten sentyment w dzieciństwie z matczynem była mlekiem wyssała. Matka jej najgorliwszą będąc Polką, najpierwej go w duszę jej wlała. Później zaś młodość całą przebywszy w pośród zaburzeń i nieszczęść Polski, te zaburzenia okropne, te nieszczęścia same stały się więzami, któremi szlachetna dusza Taidy z Ojczyzną najmocniej się spoila. Polskę szczęśliwą byłaby kochała zapewne; ale nieszczęśliwą kochać nad wszystko za cnotę najpierwszą miała.

W takim stanie były rzeczy, kiedy pierwszy raz imię Ludomira dało się słyszeć Taidzie. Imię to było hasłem honoru i waleczności; w obronie nadzwyczajnej kraju pierwszą wzmiankę o nim usłyszała. „*Jego to niepojętej odwadze (zgodnym wszyscy mówili głosem), winniśmy ochronę reszty wojska: Z garstką ludzi zatrzymał kolumnę nieprzyjacielską i dał czas naszym cofania się; ale drogo tę chwilę przypłacił. Okryty ranami, z placu bitwy był wyniesionym, i tu go do Warszawy przywieźć mają dla wyleczenia się, jeśli to jeszcze rzeczą może być podobną*“. Te pochwały jednogłośnie, które zewsząd Taida Ludomirowi oddawane słyszała, wcześniej ku niemu ją zajęły. Uwielbiając obrońcę kraju, kraj tylko kochać rozumiała, i miłość w jej sercu wszczęła się

pod zasłoną miłości Ojczyzny. Długo byłoby wyszczególniać, moja Malwino, cały ciąg ich miłości; powiem tylko, że Ludomir, młodością bardziej, niż wszystkimi staraniami uratowany i wyleczony, ujrzał Taidę. Widzieć się i kochać wzajemnie było dla nich dziełem jednej chwili; ale Ludomir, znając wszystko, co go dzieliło od Taidy, długo miłość swoją tał najusilniej. Ona zaś podług siebie sądząc o ojcu, nie wątpiła, że Zdzisław za najstodszą będzie miał chlubę: waleczność Ludomira, cnoty jego i poświęcanie się dla dobra kraju darem jej ręki nagrodzić. W tej łubej będąc nadziei, nie ciężko było Taidzie zachanego Ludomira w toż samo omamienie wprowadzić; nadto gorąco go pragnął, by jemu łatwo nie miał uwierzyć, i tysiączne przysięgi zobopólnego kochania byli już sobie uczynili, gdy miłość ich do wiadomości Zdzisława doszła nareszcie. Gniewu jego naówczas opisaćby ci nie mogła; dość powiedzieć, że równał się pysze. Zamiast rozczulenia córki wyobrażeniem ojcowskiego żalu, rozjątrzył tę duszę wyniosłą obchodzeniem się tyrana. Lecz może wszystkie męki byłyby jeszcze wytrzymała, nie dopuszczając się kroku, którego chwalić daleka jestem, gdyby nareszcie Zdzisław nie był jej oświadczył (mimo tego, że przed nim i przed światem wyrzekła, że Ludomira kocha), iż rękę jej księciu Sanguszcze już obiecał, i że najdalej za tydzień będzie żoną jego, lub wiecznie w klasztorze zamkniętą zostanie. Na ten samowładny obiór podany Taidzie cała krew Melsztynów, która płynęła w jej żyłach, zburzyła się natychmiast. Zaniechać najświętszych przysięg, uczynionych Ludomirowi, krzywoprzysięgać wiarę księciu Sanguszcze, gdy serce jej całkiem do innego należało, zdało się jej zbrodnią okropną, a nieczułość ojca, który pysze swej dogadzając, wołał raczej żywcem ją w klasztorze zakopać, niżeli łzami jej dać się ubłagać, osłabiając przywiązanie jej ku niemu, osłabiła nieszczęśliwie w jej oczach i prawo, które miał nad jej losem. Jeszcze raz powtarzam, żem daleka od chwaleń lub pobłażania sposobowi widzenia Taidy w tej mierze. Ale niestety! nadto prędko ukaraną została, żeby przynajmniej żałować jej nie godziło się. Moc przywiązania raz będąc nadwerężoną między ojcem a córką, żadne inne zastanowienie nie było w stanie jej zatrzymać. Rzucając też majątek, dostojęństwo, nie dbając na zdanie świata i opuszczając to wszystko, co na świecie szczęście jej zdawało się obiecywać, potajemnie ślub wzięła z Ludomirem, i unikając gniewu ojca, natychmiast z mężem ujechała z Warszawy.

Ledwo ten krok nieszczęśliwy spełniła, wnet zgryzot roje serce jej dręczyć zaczęły. Tyran niesprawiedliwy zniknął z jej oczu, a ojciec zażalony z prawem nieprzełamanem, jakie mu natura dała, ustawnie stał jej w pamięci. Nie chcąc męża w najokropniejszą rozpacz wprowadzać, tała, ile mogła, przed nim zgryzoty swoje, które ten przymus podwajał. Ale Ludomir nadto dobrze umiał czytać w sercu Taidy, aby cierpienie tego serca wkrótce się nie domyślił. Wrócić się i szukać prześlągnięcia ojca (znając jego nieprześlągniętą wolę) zdawało się rzeczą niepodobną. Uciekać tedy jak najdalej i kryć się ustawnie, nieraz z niebezpieczeństwem życia — był jedyny sposób, który im zostawał.

Nieszczęśliwy Ludomir, uwielbiając żonę nad wszelkie wyrazy, któryby rad nieba jej przychylić, przymuszony widzieć ją tułającą się po odludnych krainach, obnażoną z wygód, dóbr, zbytków, w które dawniej opływała, dostrzegał codziennie, jak nikała pod ciężarem tej myśli okropnej, że na przekleństwo ojca zasłużyła, i nareszcie zgryzoty tego jestestwa ukochanego, które stokrotnie bardziej czuł, niż swoje własne, tak opanowały duszę jego, iż moc ciała wydołać im nie była w stanie. Rany niedawno zagojone otworzyły się znowu, niespokojność umysłu, krew zapalając, pomnożyła gorączkę, a brak lekarzów i wygód wszelkich do reszty stan jego niebezpiecznym wkrótce uczynił. W sześciu miesiącach po fatalnym ślubie swoim, nieszczęśliwa Taida ubóstwanego męża, któremu wszystko była poświęciła, dla którego wszystko porzuciła i jedynie żyła na świecie, po kilkudniowej chorobie utraciła na zawsze. Skonał na jej ręku, zabierając z sobą do grobu, cokolwiek do życia przywiązywać ją mogło.

Ten sam grób stałby się był natychmiast ostatniem i najmilszem Taidy schronieniem, gdyby stan, w którym się znajdowała (będąc od kilku miesięcy w ciąży), nie przywiązywał ją był gwałtem do życia pęty, póki jej dziecko światła nie ujrzy. Inaczej utraciwszy tego, którego kochała, i nie pojmując, żeby ta wielka ziemia, na której sierotą opuszczoną została, posiadać mogła drugie serce mogące zastąpić jej tego, co śmierć tylko od niej oderwać mogła, byłaby w tej chwili już za nim poszła w te odwieczne przestrzenie, skąd nikt jeszcze nie wrócił, tą myślą jedynie zajęta, że nic ich już nie rozdzieli w krainie wiecznego pokoju.

Wieś nikczemna, a raczej chałup kilka na granicy tureckiej, było mieszkaniem, w którym nieszczęśliwa Taida męża utraciła. Cerkiew tam

dawna, której mury ręką czasu nadwerężone, bluszczem obrosły były, stała wśród cmentarza, gdzie pamiątki mogił darniem okryte, poznać jeszcze można było. Kilka odwiecznych jodeł cerkiew podpierać zdawały się, a rozłożyste ich gałęzie cień posępny wkoło tego miejsca rzucały. Tam Ludomira pochowano, i pod smutnem schronieniem tych jodeł smutniejsza Taida kamień z takowym napisem położyła: *Życie jego całe było poświęcone Ojczyźnie, a śmierć ostatnim dowodem nieporóbnanej miłości.* Nigdy Taida rzucać nie chciała miejsca, gdzie zwłoki męża spoczywały. W tej wsi odludnej umyśliła doczekać się połogu swego, a tymczasem żal i boleści swoje karmiła codziennem chodzeniem do jego grobu. Codziennie błędne jej kroki tam ją prowadziły, nieraz zmrok już ziemię okrywał, księżycy promień przez gałęzie jodeł się dobywał, a Taida, jak posąg melancholji o mogiłę oparta, w przyszłości zanurzona, stała jeszcze na cmentarzu.

Tyle zgryzot, tyle żalu, taki sposób życia, nie było podobno długo wytrzymać. Toteż zbliżając się ku końcowi swej ciąży, koniec życia i utrapienie wszystkich Taida z rozkoszą przewidywała. Czując się słabszą codziennie, ani nadziei, ani chęci życia dłuższego nie miała, tylko tyle, ile potrzeba było, żeby dziecięciu go swemu oddała. Donosić go szczęśliwie, a potem w grobie Ludomira spocząć na wieki, było jej nadzieją, życzeniem, i o to Boga miłosiernego codziennie prosiła.

Lecz przed tym końcem, przebłaganie ojca i ubezpieczenie przyszłego losu dziecka swego zbolełemu jej sercu koniecznie były potrzebnymi; bez tych dwóch zapewnień umierać spokojnie nie mogła. Czując więc, że żyć nie może, wszystkie bójżni światowe znikły przed nią i odważyła się nareszcie do ojca napisać. Zdzisław naówczas pokazywał mi list nieszczęśliwej córki swojej, i chcąc mieć po niej pamiątkę, przepisałam go wtedy. To mówiąc, księżna podała papier, w którym Malwina przeczytała, co następuje:

Ostatni list Taidy do ojca.

Kiedy te słowa dojdą do ciebie, ojcie kochany, Taida już na tej ziemi nie będzie! Ta myśl daje mi odwagę zgłoszenia się do ciebie i nadzieję, że pamięci mojej raczysz przebaczyć. O przebaczenie cię błagam; nie odmawiaj mi go, abym z błogosławieństwem ojca na tej ziemi spokojnie stanąć mogła przed obliczem drugiego ojca w niebie. Na miłość i wspomnienie matki mojej cię zaklinam, wybacz, wybacz

winnej bez wątpienia, ale też zbyt nieszczęśliwej córce. Ojczy mój! utraciłam, co tylko kochałam na świecie. Ciężar gniewu twego gonit mnie bez ustanku po tych odludnych pustyniach, a teraz w kwiecie młodości opuszczona od świata umieram! Ale umieram z rozkoszą w nadziei, że śmierć moja winy i błędy moje w sercu twojem zmaże, i że ostatniej prośby córki umierającej nie odrzucisz. — Dziecko nieszczęśliwe, które w łonie mojem spoczywa, polecam tobie; nie odrzucaj go od siebie, nie odrzucaj, ojczy mój kochany! niech moje dziecic otrzymać miłość i opiekę twoją, a wtedy zwłoki jego matki spoczną spokojnie w grobie.

Jeszcze raz cię błagam, nie odrzucaj mego dziecicią, przebac nieszczęśliwej jego matce i racz wspomnieć ją jeszcze niekiedy jako córkę, co ciebie od dzieciństwa kochała, i umierając ciebie jedynie żałuje na świecie. Żyj szczęśliwy, ojczy mój ukochany! to było najpierwsze, to jest ostatnie życzenie Taidy. Żyj szczęśliwy! żegnaj cię na wieki.

Łzy Malwiny załaly te ostatnie wyrazy biednej Taidy, i księżna, widząc jej rozrzewnienie, zaniechać chciała reszty swego opowiadania, ale Malwina uprosiła ją, by go nie przerywała, i księżna dalej tak opowiadać zaczęła: Napisawszy ten list do ojca, Taida posłała go natychmiast do najbliższej poczty, która jednak o mil siedm od jej mieszkania znajdowała się. W kilka dni potem, mimo osłabienia i zniszczenia zupełnego, dość szczęśliwie urodziła syna; lecz skoro to dziecko światło ujrzało, matka jego, jak żeby światła już ujrzeć nie chciała, w ustawicznych będąc mdłościach, więcej oczu niemal nie otworzyła. Raz tylko, wróciwszy do przytomności, syna swego do serca przytuliła; zaleciła, by imię Ludomira nosił; zaleciła, żeby ją w grobie Ludomira pochowano, a potem te słowa mówiąc: *Boże miłosierdzia, już teraz racz mnie przyjąć w dobrotliwie łono twoje!* spokojnie ku niebu jej dusza uleciała, ciało zaś (jak powiadali ci, co przy jej śmierci zostawali) tej rzadkiej piękności, którą za życia posiadała, po śmierci nawet nie utraciło. Martwą już postacią obleczona i w białą odziana szatę, zdawać się miała podług opisu przytomnych, jak pasmo czystego śniegu, co go wiatr północny uślał na ziemi; dziś go widać, a nazajutrz, inną burzą zwiany, śladu nawet po sobie nie zostawi na świecie.

Przytomni śmierci Taidy byli młynarz i młynarka, u których mieszkała, i proboszcz ze wsi sąsiedzkiej, którego przed śmiercią widzieć

zyczyla. Nie wyjawiając, kto była sama, kilka dni przed rozwiązaniem swoim, staraniom tych trzech osób poleciła dziecko, które urodzić miała, mówiąc im, że w przypadku jej śmierci zaklina ich na wszystkie obowiązki, żeby póty nad tem dzieckiem mieli opiekę, póki ci nie przyjadą, którzy o niego dopominać się będą; co iż niebawnie nastąpi, upewniała ich Taida, bo ufając w list do ojca pisany, o tem nie wątpiła; a dla zyskania od nich większej jeszcze uprzejmości dla dziecka swego, co tylko posiadała pieniędzy, drobnych, klejnotów i innych drobiazgów, wszystko im oddała. Te trzy osoby święcie jej przyrzekły wykonać to wszystko, o co ich prosiła, i widząc ich tklive dla siebie przywiązanie, Taida w tej mierze zupełnie była spokojną. Szczęściem ufność jej nie została zupełnie zawiedziona; młynarz i młynarka największe mieli staranie o małym Ludomirze, który daleko dłużej, niż się spodziewała, zostawał pod jedyną ich opieką; bo proboszcz, w inne zupełnie strony wkrótce przeniesiony, żadnej na niego baczości dawać nie mógł; a tym fatalnym losem, który zdawał się truć wszystkie życzenia Taidy, list ten, co była przed śmiercią do ojca napisała i sama na pocztę posłała, zawieruszył się był nie wiem jakim sposobem i we dwa lata po jej śmierci poczmistrz, w głębokiej szufladzie przebierając, znalazłszy list zapisany do Zdzisława księcia Melsztyńskiego, wtedy go dopiero odesłał.

Zdziwienia, zgryzoty i żalu Zdzisława po odebraniu tego listu ciężko byłoby opisać. Wczesna śmierć córki, najtkliwszą boleścią serce jego napełniając, pychę nawet potrafiła w nim przytłumić. Z głębi duszy darował i zaniechał wszelkiej urazy, a drogiej jej pamiętce zadosyć czyniąc, jak najspieszniej sam się udał na miejsce, gdzie miał odzyskać, co tylko zostawało jeszcze po niej na świecie. Odebrał wnuka z rąk tych, którzy dotąd mieli o nim staranie, i obsypał ich dobrodziejstwami. Grób najpyszniejszy okrył za jego rozkazem zwłoki Taidy i Ludomira, a syn ich stał się celem jedynym starań, zatrudnień i miłości jego. Wrócił z tem dziećciem do Warszawy i od tego czasu nigdy się już z nim nie rozłączył, imię Ludomira, podług życzeń matki mu zostawił, a widząc w nim jedynego swego dziedzica, właściwe swoje nadał mu przezwisko. Te to samo dziecię jest młody książę Melsztyński, tak szczerze (na swoje nieszczęście) zakochany w damie pewnej odenie znanej, która dość źle go traktuje, rzekła z uśmiechem księżna W i tem zakończyła długie swoje opowiadanie.

ROZDZIAŁ XVI NAJKRÓTSZY

Po odbytej wizycie u księżnej W*** Malwina wróciła smutniejsza, niż była wyjechała od siebie. Żałosna historia Taidey boleśnie ją dotknęła. Dobra Malwina najczulej żałowała tej pięknej Taidey, tej matki Ludomira, którego dziecinność opuszczona takż wzbudzała jej litość, nagły zaś wyjazd jego z Warszawy w smutne jakieś osłupienie umysł jej wprawiał. Coś to podobnego było, jak kiedy kto na żywo rozpalone światło dmuchnie raptem. Serce miała tak pełne i głowę tak ociężałą, że niczem się zająć nie była w stanie. Pokoje jej, gdzie tak miło umiała się zatrudniać i tak chętnie w samotności przesiadywała, zdały się jej puste i smutne. Nie wiedząc już dobrze, co począć, przywalona tęsknotą, trafem rzuciła oczy na stół, który stał pod oknem, i postrzegła na nim worek od kwesty, któren w wilgą była rzuciła i zapomniała. Chwyciła się tej czynności i natychmiast otworzyła worek, by porachować, wiele było zebranych pieniędzy. Wysypała je, i wtedy ładunek z monetą, któren w wilgą był wrzucił Ludomir, wypadł także i na papierze, którym był obwiniony, Malwina pisanie jego poznała. Podobno można jej darować, że ciekawie temu papierowi się przypatrzyła. To był świstek listu ręką jego pisany i niedokończony; w wielu miejscach słowa były wymazane i cały kawałek listu wydarty. Po cierpliwem i długiem staraniu te kilka linii pomieszanych Malwina przeczytać mogła: *Nieszczęśliwy, jak kiedykolwiek... Doryda porzucona na zawsze... pocóżem tu? matko kochana, nie śmiałem być u niej... o Boże! minęły... dla Ludomira — tu był wydarty duży kawał papieru, a na końcu to było jeszcze dołożono: Bywaj zdrowa matko moja ukochana, daruj zwykłą twoją dobrocią, żem jeszcze do ciebie nie wrócił. Niestety! wiesz, co mnie tu gwałtem zatrzymuje. Raz przekonany zupełnie o mojem nieszczęściu, przy tobie szukać będę ulgi i pomocy do dalszego dźwignia tego życia, które jedynie cenię jeszcze dlatego, że raczysz mówić, iż tobie jest potrzebnem...*

w Warszawie, 27 lutego.

Łatwo sobie wystawić można, jakie było zadziwienie Malwiny, gdy te słowa wyczytała. Domyśliła się, że ten bruljon listu nieposłany zapewne przez nieuwagę na ładunek został obróconym, ale do kogo

sam list był pisany? kto była ta matka ukochana, której Ludomir posyłał wyrazy czułości i wylew zmartwień swoich z zupełną, ile miarkować mogła, ufnością? jakie były te zmartwienia? Wszystko to do zrozumienia i pojęcia zdawało się niepodobnem. Szczegóły śmierci Taidy nadto wydawały się dowiedzionemi, ażeby o jej zgonie wątpić można było, a ułożenie księcia Melsztyńskiego zbyt wesołe, by go zrozumieć skrytem trapiącego się umartwieniem. Jednak, mimo tych oczywistości, serce i imaginacja Malwiny tak ją wkrótce zapędziły, iż po długim rozmyślaniu wpadła na wniosek, że Taida pewnie jeszcze żyje, że pasmem ciągnących się nieszczęść kryć się musi, że Ludomir tylko jeden o tem jest uwiadomiony i że ta okoliczność jest przyczyną tajemnicy, którą różne postęпки jego były okryte. Co do osobistych zmartwień, o których w liście do matki wspomniał, przeczcucie jakieś upewniało Malwinę, że ona może poniekąd i¹ była przyczyną. Wesoły humor księcia Melsztyńskiego sprzeciwiał się wprawdzie tajemnicom tym i skrytym żalom; ale Malwina pamiętała Ludomira w Krzewinie ponurego raczej, niż wesołego, i w Warszawie nawet wspomniała sobie, iż wśród zwyczajnej jego wesołości nieraz cień smutku przeziarał. Na wieczorze księżnej W*** przy pisaniu karteczek, gdy odpisywał na jej zapytanie, smutek bolesny postrzegła była na jego twarzy; smutną także tęskność tego samego wieczora podczas tańców, gdy chcąc poprawić we włosach zsunięte kwiaty, w zwierciadle była ujrzała Ludomira. A w wilją, gdy podczas kwesty spotkała go u fary, wtedy najbardziej wyraz czulego rozrzewnienia w jego oczach, w jego głosie, w całej jego twarzy tak głęboko był wryty, że Malwina to przypominając, utwierdziła się w przekonaniu, że wesołość zbyteczna i roztrzęsanie Ludomira było tylko udaniem, którem właściwy stan duszy pokrywał.

Czyliż przeczcucia Malwiny w tem wszystkim jej nie oszukiwały, czyli też żywa jej imaginacja łudziła ją może? o tem później się dowiemy.

Świstek owego listu schowała, obiecując sobie nic o nim Ludomirowi nie wspominać, któremu raptowny jego odjazd z Warszawy już w sercu swoim wybaczała, rozumiejąc z wielkiem uprzedzeniem, że go coś nieprzewidzianego przynagliło udać się do matki nieszczęśliwej.

¹ i – błąd druku z pewnością, zamiast *ich*.

Malwina rozmyślała o tem wszystkiem, gdy służący, wchodząc do pokoju, przerwał jej dumanie mówiąc, że dziewczynka mała i bardzo gadatliwa jest w sieni i chce się z nią samą widzieć. Jak weszła, Malwina poznała w niej Rózię, wnuczkę Dżęgi cygana, który szczupaka z swego połowu w podarunku jej przysłał. Lubiąc dzieci, bawiła się szczebiotaniem ładnej cyganeczki, która widząc się zachęconą, różne jej rzeczy prawila w dziecinnej swojej szczerości. Między inszemi powiadała Malwinie *o biednym warjacie, co Rózi korale podarował. Dziś rano sługa jego przychodził, mówiła, szukając czegoś, ale nie wiem dobrze czego, bo chciałem się wszystkich pytała, nikt Rózi nie słuchał i nie dowiedziałem się, czego szukali; ale ponoć jakiegoś papieru, bom słyszała, jak sługa mówił dziadulowici, że jego pan w nocy zachorował, że bardzo słaby, i że się trapi, że jakiś list zgubił; i tak, moja imość kochana, więcej się nie mogłam dowiedzieć, bo dziadzio kazał mi wziąć tego szczupaka w koszałkę i przynieść go imości i tak przyszłam tu.* Niewiele mogła Malwina dowiedzieć się z tych wszystkich wiadomości Róziulki; ale mimowolnie zajmując się tem biednem jestestwem, o którym Róziulka w swoim dziecinnym sposobie rozprawiła, umyśliła ją odsyłając kazać się dopytać u Dżęgi, czy to prawda, że ten mniemany warjat tak jest niebezpiecznie chorym? Pożegnała tedy cyganeczkę i służący, co z nią chodził, wróciwszy, doniósł Malwinie, że podług jej rozkazów pytał się u Dżęgi i że ten biedny mniemany warjat w samej istocie miał być mocno chorym, że nikogo widzieć nie chce, że córka Dżęgi sama u niego była, ale go nie widziała, tylko od służącego dokładniej jeszcze o jego dowiedziała się słabości. Malwina tak była dobrą i litującą się nad każdym cierpiącym, iż nie można się dziwić, jeśli i tego żałowała. Jednak nie wiem, czy *ten nieszczęśliwy* nie większe jeszcze jak inni wzbudzał w niej politowanie; z osobliwszem staraniem przez długie dni jego choroby posyłała do Dżęgi dowiadywać się o jego zdrowie i czyli żyje jeszcze, gdyż życie nawet jego przez czas długi było w niebezpieczeństwie.

ROZDZIAŁ XVII

LIST ALFREDA DO MAJORA LISSOWSKIEGO

Dawnom do ciebie nie pisał, mój Królu! to prawda; alez wiesz co, o to nie gniewaj się, bo widzisz, choćbyś się przez dziesięć lat gniewał, ja przecie nie więcej dla tego lubiłbym pisać.

Ale dziś mnie jakaś ochota napadła, chcę ci nagrodzić za wszystkie miesiące mojego milczenia i odwodzić cię wiejskimi komerażami za komeraże warszawskie, coś mi wiernie przez całą zimę donosił.

W jedynem położeniu znajduję się do zebrania rozmaitych pasztetów; bo jestem w Jeziorowie u pani chorążycowej Szeptalskiej, która siostrzenicę wydaje za mąż. Na to wesele całe sąsiedztwo o dziesięć mil wkoło zaproszone zostało. Eleganckie koczki, półkryty skromne, półtoraczne kareciska, pocztą, furmanami, i własnymi cugami przez trzy dni nawoziły figur rozmaitych conniemiara. Piękne poleby miał do opisywania ciekawych karykatur. Ale nie godzi się podobno naśmiewać z bliźniego, a przytem lube moje lenistwo szepce mi, że niebezpieczną jest rzeczą w długie zapędzać się opisywania. Więc z tych ciekawych komerażów, zabawnych portretów, pasztetów i wiadomości, które miałem ci donieść i na któreś już chciwie oczy i uszy otwierał, nic wiedzieć nie będziesz. Uspokój się, mój Królu! dość i tak mojej łaski, że ci pannę młodą opiszę.

Och! co ta, to godna jest, aby się nad nią zastanowić. Wątpię żebyście w Warszawie co ładniejszego mieli. Wyobraź sobie lat piętnaście i pęczek kwiatów, a będziesz miał portret Florynki. Dwa rzędy jednostajnych pereł błyszczą się jasno, ilekroć różowe usta otworzy, a to często bywa, bo lada rzecz ją rozśmieszy. Znać, że niedawno jeszcze dzieckiem była, i zdaje się że właściwe jej miejsce byłoby wśród grona wesołej ciuciubabki, co by daleko lepiej stosowało się do jej ułożenia, niżeli poważny stan małżeński, w który jutro ma wstępować. Jednak mówią, że to puste dziecko czas już miało kochać i nie kochać i znowu kochać przeszłego kuzyna, a przyszłego małżonka swego. Z dzieciństwa razem wychowani, nigdy nie (chyba lalka) mogło ich poróżnić, gdy w przeszłym roku wasz sławny Ludomir z pułkiem swoim w okolicy tu stanął kwaterą i przybyciem swoim zaburzył

trochę tę czułą sielankę. Kuzyn był nieprzytomny, książe jegomość pułkownik bardzo grzeczny, muzyka pułkowa zawsze na rozkazy Florynki gotowa, kosze z owocami i cukierkami co tydzień z Warszawy dla niej przyjeżdżały; przyznasz, że to dość ważne przyczyny, by ładna główka Florynki kręcić się zaczęła. Dołóż do tego, że książe pułkownik przysięgał jej codziennie (co bardzo sumiennie czynić mógł), że w całej okolicy nic ładniejszego nie zna, a nie będziesz się dziwił, że ta ładna główka tylko co zupełnie się nie przewróciła. Ludomir w tem wszystkim bawić się tylko myślał; Florynka Bóg wie co myślała. Ciotka, co o wielu rzeczach myśli, o tej pomyśleć zapomniiała, że siostrzenica bardzo młoda, książe bardzo grzeczny, a kuzyn bardzo daleko. Coby z tego było wypadło, Bóg raczy wiedzieć. Ale szczęściem lub nieszczęściem, fama (co tyle ma gąb donoszących co trzeba i nie trzeba, po wsiach jak i w mieście) doniosła te wszystkie okoliczności, drugie tyle przykładając, nieprzytomnemu kuzynowi. Kuzyn się szczerze kochał i przytem gorączka. Wrócił jak najspieszniej, nie dał sobie czasu o nic się wypytać, tylko gwałtem szukał kłótni z Ludomirem. Mówią o pojedynku, co miał wtedy nastąpić, w którym kuzyn ranę odebrawszy długo w niebezpieczeństwie życia zostawał. Jak się potem wszystko między nimi zakończyło, tego nikt nie wie i mimo moje starania dowiedzieć się i ja nie mogłem; a co mnie zaś najbardziej zadziwiło, to jest, że przyjechawszy tu onegdaj, zastałem księcia Melsztyńskiego, który z Warszawy, rozumiećby można że umyślnie przyjechał, i w najlepszej harmonii z panem młodym być się zdaje.

Może z całej tej historii będziesz mógł skleić jaki pasztecik, który ci się zda na co w twoich adoracjach do tej anielskiej Malwiny, czerniąc trochę w jej oczach Ludomira. Udać się tylko do Dorydy, ona ci pewnie poradzi, a ja będę rad, jeśli tobie moja rada przyjacielska będzie pomocną. Bywaj zdrów, mój Królu! Wiedz, że ledwom już list dokończył, i nie prędko spodziewaj się drugiego.

Major Lissowski, odebrawszy takowy list, nic nie miał pilniejszego, jak udzielić treść jego Dorydzie, by z nią naradzić się, jakby go do zobopólnych ich interesów użytecznym uczynić. Wiedząc, że tego samego lata, w przeciągu którego książe Melsztyński był zabrał znajomość z Florynką, Malwina także Ludomira w Krzewinie była poznała, nie tyle nadziei czynić im to mogło oczernienia go w jej oczach;

jednak płochość jego i zmienność względem kobiet mogła ją obrażać, i w tym celu Doryda poradziła majorowi, aby na wieczornem posiedzeniu, które tegoż dnia miało być u niej, wzmiankę uczynił o liście Alfreda, dobrych się z tego spodziewając skutków. W wieczór tedy, gdy społeczeństwo, zebrane u Dorydy, obsiadło stolik do herbaty, ktoś trafem zapytawszy się, czemu od tygodnia księcia Melsztyńskiego nie widać? *Naturalna tego jest przyczyna*, odpowiedziała Doryda, *gdyż od tygodnia niema go w Warszawie; bardzo raptownie wyjechał; ale dokąd i po co? z znacznym*¹ *dodała uśmiechem, to są tajemnice nieswiadome publiczności.* — *Otóż ja mogę w tem przeświecić publiczność*, odezwał się major Lissowski, list z kieszeni dobywając. *Dziś rano list od Alfreda odebrałem, który widział Ludomira i zabawną nawet anegdotę o nim donosi.* Na te słowa filiżankę, którą w rękę trzymała, Malwina mało co nie upuściła; herbata się rozlała na suknię damy, co koło niej siedziała, która bardzo mało o księcia Melsztyńskiego, a wiele o suknię swoją dbając, dość kwaśno tysiączne przeprosiny Malwiny przyjmowała. Ta scena wszystkich oczy byłaby na Malwinę ściągnęła; ale szczęściem kobiety zaczęły wołać na majora Lissowskiego, żeby list Alfreda pokazał. Major, który właśnie tego pragnął, z obojętną miną i bynajmniej na Malwinę nie patrząc, głośno list Alfreda czytać zaczął.

Różne skutki na umysłach osób zgromadzonych po przeczytaniu tego listu poznać można było. Zdziwienie, uśmiech złośliwy, miny kwaśne, na rozmaitych twarzach się okazały; lecz że co Malwina o tym liście pomyślała, jedynie obchodzić może, o tem jedynie doniosę.

List ten Malwinę zmartwił, jednak nie tyle, ile rozumieć można było. Naprzód nie wiedząc dokładnie, kiedy księżę Melsztyński stał z pułkiem koło Jeziorowa, nie mniemała, aby to w tym samym roku być mogło, gdy ona go w Krzewinie poznała, i sądząc (w czem się myliła) o zajęciach jego kiedyś dla Floryny jak o dziecinnej pustocie, o której dawno już był zapomniał, przekonaną zostawała, iż celem jego teraźniejszej podróży, było widzenie się z matką nieszczęśliwą, i tem samem bytność jego w Jeziorowie sądziła dziełem trafu, a nie układu.

¹ znacznym — raczej: złażącym

Jednak lekkość księcia Melsztyńskiego smutne na niej uczyniła wrażenie. Z żalosnem rozrzewnieniem przypominała zeszłe lato i dnie szczęśliwe Krzewina, w których ani pojmowaćby nie była mogła, że Ludomir kiedykolwiek w świecie co prócz niej był ukochał. Niestety! każdy niemal dzień mijający (od tego czasu, jak Malwina żyła na wielkim świecie) zabierał z sobą jedno z tych tysiącznych omamień, które w odludnej swojej młodości tak zachwycającemi malowała sobie i które w Krzewinie wszystkie w sercu Ludomira uiszczonemi dla niej zdawały się. Niestety! nie ten to już Ludomir dla jej szczęścia, do jej duszy właściwie stworzony; ale co gorzej, nie te same uczucia w sercu swoim dla niego znajdowała. Momentami wprawdzie miłość wskrzeszała się w jej sercu; ale to krótkie i przemijające były chwile, a wdzięczność zwykle, próżność czasem, a najbardziej przekonanie mimowolne jakowegoś względem niego obowiązku, właściwe były uczucia, które ksiązę Melsztyński w niej wzniecał od czasu bytności jej w Warszawie. Miłostki tedy księcia Melsztyńskiego, przekonując Malwinę o lekkości jego, zrazu zasmuciwszy ją trochę, stały się wkrótce poniekąd ulgą dla niej; gdyż przewidywała w tych lekkomyślnych miłostkach przyczynę do odsunięcia jeszcze swojej decyzji, gdyby ksiązę Melsztyński takiej dla siebie od niej wymagał; i jeśli czytelnicy, a bardziej czytelniczki tej historii (do których szczególnie się odzywam, bo może nieraz w podobnych okolicznościach się znajdowały i podobnego zbioru uczuć doznały), jeśli — mówię — dobrze zrozumiały stan serca Malwiny, to się dziwić nie będą, że cały układ Dorydy i majora Lissowskiego, żeby ją strapić i rozgniewać, tyle tylko miał skutku, że biedne jej serce, ustawniemiotane rozmaitemi odmianami od bytności jej w Warszawie, odetchnęło swobodniej i uspokoiło się nieco tą myślą: mam czas do namyslenia się, nie czuję się winną i nie mam w istocie tak nagłego obowiązku względem księcia Melsztyńskiego, jak (nie wiem dla czego) gwałtem go sobie do tego momentu w głowę wbijałam.

Może prędką i niemal niepojętą zmienność w uczuciach Malwiny naganną się będzie zdawała. Ale ja proszę tylko o cierpliwość i odczytanie do końca, a wtedy może, co się niepojętem i nagannem wydaje, okaże się przyzwoitem i bardzo naturalnem.

Przeciąg czasu, który minął aż do powrotu księcia Melsztyńskiego, był obojętnym i żadnym interesującym tłem dla Malwiny

oznaczonym nie został. Była to liczba dni szarych, których każdy niekiedy w życiu doznał i które z żalem widzą się mijające, nie dlatego, że były szczęśliwymi, ale dla tego, że żaden z nich nie pozostał użytek.

Zwyczajne zatrudnienia Malwiny mniej smaku dla niej miały i pierwszy raz może w życiu ciągle zająć jej nie mogły. Niespokojność nieznośna, której sama sobie wytłumaczyć nie mogła, ustawnie ją z domu wypędzała, i gdy większą część dnia na obojętnych i nieciekawych wizytach hyla spędziła, wracając w wieczór do siebie, znużona i zmęczona niesłychanie, z tą smutną myślą kładła się spać, że nazajutrz takiż sam dzień znowu nastąpi, jak ten, który ledwie dobić potrafiła.

Czemuż w smutnym, w odludnym będąc Głazowie, sama bez żadnych zabaw, żadnych rozrywek i niejedną mając przyczynę zmartwienia, Malwina nigdy ciężającej męki nudów nie doświadczała? Łatwo pojąć to można. W Głazowie młoda jej dusza żadną jeszcze namiętnością nie będąc wzburzoną, spokojnie korzystać z każdej chwili mogła, dobrą stronę w każdej wynajdywać okoliczności i zająć się najdrobniejszą rzeczą. Od tego zaś czasu, jak Ludomira w Krzewinie poznała, świat nowy (rzec można) dla niej się otworzył, w którym już nie jak dawniej z obojętną spokojnością chwil używała, lecz nadzwyczajnego szczęścia lub nieznośnej tęsknoty doznawała ustawnie.

Jednym z okropnych skutków miłości jest ten, że raz doświadczywszy unoszących jej uczuć, te uczucia, co tak zupełnie jestestwo całe zajmują, to niebo na ziemi, póki trwają, wszystko na świecie, prócz siebie, obojętnem czynią; a jak miną, wszystko bez nich zdaje się czcze, wypłowiałe, bez żadnego celu, ani zajęcia. O, jak długiego czasu potrzeba, aby po zgasłej miłości znowu smaku nabrać do życia! Jakież dnie nieskończone, wieleż trudnych i nieznośnych godzin przebyć trzeba, by do tej lubej, pogodnej wrócić spokojności, do której, niestety, mimo starań i pracy, już nigdy zupełnie wrócić nie można! Cóżby tedy począć w tej mierze? *nie kochać nigdy...* ale to i żyć nie warto! *kochać...* to jest męczyć się całe życie! ja nie mam w tem zdania, a raczej dla siebie go¹ zachowuję; niech czytelnik sądzi po dług własnego doświadczenia.

¹ go błąd gramatyczny, zipszą nieodosobniony.

POWRÓT KSIĘCIA MELSZTYŃSKIEGO

Po kilkotygodniowej niebytności książę Melsztyński wrócił do Warszawy z tem samem zajęciem, z równym zapalem ku Malwinie, z jakim był odjechał; ale bardziej stał się nieśmiały, gdy ją zimniejszą dla siebie zastał. Usilnie unikała okazji znajdowania się z nim sam na sam, w którejby miał sposobność wytłumaczenia się i może dopytywania się o jej prawdziwe względem niego uczucia; Malwina właśnie tego najbardziej nie życzyła. Nie mogąc sama dobrze zrozumieć, co się w jej sercu działo, lękała się, kiedy kto tknąć tylko chciał zasłony, którą to serce się obwijało. Kochała i nie kochała księcia Melsztyńskiego; boleśnie cierpiała jego zajęcia do Dorydy w czasie przyjazdu swego do Warszawy, a teraz wiadomość o jego intrydze z Floryną ulgą niemal stała się myślom jej niespokojnym i wahającym się. Podczas kwesty w kościele pół życia byłaby dała, żeby usprawiedliwienie tajemnych postępków Ludomira usłyszeć i w obfitości serca nawzajem uczynić mu wyznanie najszczerzej miłości; teraz najbardziej się lękała wszelkich tłumaczeń, czując, że go wcale nie kocha, a przynajmniej, że go kocha wcale inaczej.

Ciotka Malwiny, do której Zdzisław, życzący mocno związku jej z wnukiem, kilkakrotnie był się udał, ustawnie do niej pisywała, namawiając usilnie, aby determinacją jakąś przedsięwzięła. Nie pojmowała, dlaczego Malwina, nieznanego Ludomira w Krzewinie tak nadzwyczajnie kochając, teraz, gdy wszystkie inne układy, miłości jej sprzyjające, zupełne szczęście wróżyć zdawały się, dlaczego — mówię — tego już szczęścia nie chciała i wszystkimi go sposobami odsuwała? Nigdy nasza ciotka takowego przypadku w żadnym nie przeczytała romansie, ustawnie w tem szukała jakiejsz osobliwej przyczyny, i gdy Wanda z szczerością swoją przekładała jej, iż rozumie, że może czasem trafić się, że przestają się kochać bez przyczyny, jak często bez przyczyny kochać się zaczynają, ciotka wtedy, jak żeby bluźnierstwo jakie usłyszała, mocno Wandę za to strofowała.

Książę Melsztyński, nie śmiejąc tedy jawnie oświadczać miłości swojej Malwinie, szukał usilnie wszelkich okoliczności, w których przynajmniej mógł ją przekonywać, ile życzenia jej, ile chęci nawet najdrobniejsze były celem jedynym jego zatrudnień.

Na jednym posiedzeniu, nie wiem jakim trafem, rozmowa wszczęła się o czasach i dziejach rycerskich. Z większą żywością, niż ją zwykle w rozmowie ukazywała, Malwina zaczęła żałować, iż te czasy zachwycające minęły. Ponieważ, mówiła, rzeczywistego ich powrotu spodziewać się już nie można, szkoda, że przynajmniej wyobrażenie jakie nie przypomina nam tych chwil szczęśliwych, w których litość i poświęcenie się dla nieszczęśliwych, stałość i uszanowanie dla kobiet, równie zaleconemi bywały, jak waleczna odwaga. Wtedy zimna obojętność nie była jeszcze życia obnażyła z czarujących omamień, i ekliwej czczości nie znano. Wszystko przemawiało do serca, wszystko budziło umysły; dnie, napelnione użytecznem zatrudnieniem lub unoszącemi zabawami, obce były nudom, których nie tak nie mnoży, jak terazniejsze zniechęcone niedbalstwo, co lękając się najmniejszego musu, nie pozwala dodać ważności niczemu na świecie i tem samem czyni życie próżnem, nudnem, a często nawet i nagannem.

Malwina z obfitości przekonania wymówiła była te słowa; lecz ledwo je była wyrzekła, postrzegłszy (że przeciw swemu zwyczajowi) nadto może rozciągle zdanie swoje oświadczyła, zmieszła się, i chcąc wszystko w żart obrócić, śpiesznie dołożyła: „Przyznam się naprzykład, że kobiecej mojej miłości własnej dość byłoby dogodno stać się celem turniejów jakich i widzieć grzecznych rycerzów utrzymujących pierwszeństwo moich doskonałości zręcznością i odwagą“. Te słowa, które Malwina żartem wyrzekła, pochwycił natychmiast książę Melsztyński: „Pozwól tylko, piękna Malwino, odważył się rzec do niej, aby imię twoje było hasłem tych zabaw rycerskich, a wkrótce ujrzysz, jeśli nie wyobrażenie, to przynajmniej wspomnienie tych czasów tak godnych żalowania i które dusza twoja wyniosła tak powabnie opisuje“.

Nie wiem, coby Malwina na to była odpowiedziała, ale całe społeczeństwo naówczas zebrane nie dało jej nawet czasu do odmówienia. Jednomyslnie obstąpiwszy księcia Melsztyńskiego, wszyscy okazywali radość projektem jego wzbudzoną, i Malwina widząc, że księżna W*** (na którą jak na drugą matkę patrzała) na niego się zgadza, także mu się nie sprzeciwiła.

Młodzież polska, właściwie do ćwiczeń rycerskich stworzona, chwyciła się z największym zapalem tego sposobu okazywania odwagi i zręczności wrodzonej. Kobiety z uniesieniem przewidywały dzień turniejów, gdzie każda, sądząc podług życzeń i uprzedzenia, niemal pewną

była męża, brata, syna lub kochanka zwycięzcą turniejów oglądać. Niejedna w skrytości serca myślała sobie: nie publiczne oklaski będą mu najmiłszymi, ale trwoga i niespokojność, którą postrzeże na mej twarzy przed igrzyskiem, najwięcej go do boju zachęca, a spojrzenie jedno najdroższą może stanie się jemu nagrodą trudów poniesionych.

Przez parę miesięcy młodzież jedynie była zatrudniona ujeżdżaniem koni, przysposobieniem ich do rycerskich igrzysk, ćwiczeniem się w kruszeniu kopij, dźwiganiu zbroi i uczeniu się wszystkich przepisów, zachowywanych w dawnych turniejach.

Zbrojownicy, płótniarze¹ i wszyscy do tego potrzebni rzemieślnicy dość takż mieli do roboty, by na czas wygotować zbroje i rzędy dla rycerzów, bogate ubiory dla giermków i barwy dla liczego zbioru pacholików.

O niczem innem nie mówiono przez ten czas we wszystkich zgromadzeniach, po wszystkich społeczeństwach. Jakie wybrałaś kolory? czy masz już napis do tarczy? na polskim czy na tureckim koniu wjedziesz w szranki? kopja twoja czy lekka, czy wytrwała? i podobne zapytania ustawnie słyszeć można było. Młody jeden rycerz, zapytany, jaki kolor był obrał za szarfę, gdy odpowiedział, że lila, zakrzyczanym został od dam, które wszystkie utrzymywały, że to zmienny kolor, który niestałość wróży; lecz młody rycerz szczęśliwie się wytłumaczył, odpowiadając im: „Zmiany szarfy się nie boją, bo serca, co pod nią bić będą, nie nigdy zmienić nie potrafi”. Księżę Melsztyński, nie śmiejąc Malwiny prosić, aby napis do jego tarczy wybrała, odważył się jednak zapytać, czy dla siebie samej nie była kiedy uczyniła wyboru w znakach tych, które czułość, sława, zalotność, przyjaźń, miłość i tyle rozmaitych uczuć najświętszemi w dawnych czasach czyniły? Nieraz, mówił, te napisy były wyrazami serca, treścią życzeń, lub skutkiem wspomnień i doświadczenia. — Nie wiem, czy to mogę nazwać skutkiem doświadczenia, odpowiedziała Malwina, lecz przeświadczoną będąc, że miłości doskonałej, tak jak doskonałego szczęścia, daremnie byłoby szukać na tym świecie, i czując się mniej jak ktokolwiek w stanie utworzenia tego cudu, odstąpiłam od niego zupełnie i wzięłam za godło: *nadzieję urojenie karmiącą*. — *Ach! podobać się*

¹ płótniarze — raczej płatnerze (niem. Plattner), ci, którzy wyrabiają pancerze i wogół zbroje.

*Malwinie, prawdziwem jest urojeniem, z westchnieniem rzekł Ludomir, ale kochać ją nad wszystkie wyrazy dla niejednego najprawdziwszą jest istotą! To wymówiwszy, odszedł książę Melsztyński i natychmiast na swoim kazał wyrzeć puklerzu: *Ziścić je lub zginąć*¹. Ten napis Malwina tylko wytłumaczyć była w stanie, zresztą tajemnicą był dla wszystkich.*

ROZDZIAŁ XIX

TURNIEJE

Przyszła nareszcie chwila tyle oczekiwana, i dzień trzeciego maja, tak miłe zawsze pamiętny sercu każdego Polaka, był wybrany przez księcia Melsztyńskiego na odprawienie turniejów. Nie dziecinne to były zabawy, jak te karuzele, któremi wiek nasz zniewieszczały lenistwo swoje czasem zabawia²; ale prawdziwie rycerskie igrzyska, do których gdy zręczność i męstwo równie potrzebnymi były, nieraz patrząc na zbyt śmiały zapęd, niejedno serce czułą zadrżało trwogą.

Miejsce turniejów naznaczone było na zielonych błoniach Wilanowa. Jasne słońce i niebo najpogodniejsze zdawały się chcieć dodać okazałości dniu temu. Miejsce nie mogło być szczęśliwiej wybranem; miejsce to, pełne wspomnień Jana III, tego króla, który nigdy rycerzem być nie przestał, który zalotność łącząc z odwagą, nieraz (wróciwszy z zwycięskich bojów) chodząc po pysznych gankach Wilanowa, lub pod cieniem starodawnych topoli, wieńce laurowe męstwem jego zdobyte u nóg piękności składał, szczęśliwym się mieniąc, gdy w odwrot za nie gałązkę mirtu mógł otrzymać.

Wspomnienia te, mówię, stały się dzielnymi bodźcami do zaiskrzenia jeszcze bardziej gorejących już najszlachetniejszymi namiętnościami młodych dusz naszych rycerzy. Pogłoski wojny, która wkrótce nastąpić miała i której wojsko z kwiatu młodzieży złożone z chciwością sławy i przywiązaniem ku Ojczyźnie oczekiwało, ważności jeszcze tym igrzyskom dodawały, czyniąc je jakoby przygotowaniem do prawdziwych i krwawych bojów. Toteż, co tylko zręcznością i odwagą wal-

¹ *Ziścić* urojenie Malwiny, skutecznie wyobrażenie *doskonatości*, którą tak niepodobną rozumiała, że urojeniem ją przezwala. (*Przyp. autorki*).

² Autorka ma na myśli współczesne gry rycerskie na koniu. Słynny był karuzel, urządzony przez St. Augusta na pamiątkę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem.

czącą pod okiem piękności dokazanem być może, ziszczonem było na tym sławnym turnieju. Damy, cel i ozdoba takowych igrzysk, ławice i wywyższone pozasiadały gradusy. Przepych klejnotów, powiewne szaty, aksamity, hafty poważne, złoto, kamienie, jednym słowem, co tylko czarodziejstwo stroju dodać może piękności, najświetniej zdobiło to grono, na które raz oko rzuciwszy, ciężko go było oderwać, a ciężej jeszcze wybór jaki uczynić między krociami wdzięków, z których każdy zdawał się godzien pierwszeństwa. Tu świeżość pierwszej młodości w całym blasku zmysły zachwyciła — tu spojrzenie najtkliwsze wskroś przenikało duszę. Uśmiech Armidy mniej był ujmującym, a hoże dryjady giętkości i gracji tu pozazdrościłby mogły. Nie skończyłabym nigdy, gdybym chciała wyliczać każdy powab w tym mnogim wdzięków zbiorze; równieby to ciężko było, jak wyszczególnić każdy listek w kwiatach, po miękiej rozsypanych murawie. Ale powiem tylko, że jak lilja wysmukła, lub róża lubością tchnąca, w tłumie inszych kwiatów najpierwej postrzeżoną bywa, a pomiędzy najpiękniejszymi siostry najmilszą, najprzyjemniejszą jednak zawsze się zdaje, tak Malwina dnia tego wśród przemocy piękności, powabu wdzięków, uroku ponęt sztuki i natury, wszystkie oczy i serca ku sobie mimowolnie zwracała. Wstęga diamentowa, na gładkiem spuszczone czole, zasypana srebrnemi blaszkami, jak kroplami rosy, wstęgą także diamentową pod piersiami spięta, wydawała w całym powabie swoim ujmującą kibić Malwiny; bukiet z róż najświeższych, przy boku lewym przypięty, dokończał najponętniej stroju jej dnia tego. Trzymała w ręku łańcuch turkusowy, który stać się miał własnością zwycięzcy turniei. Z rąk Malwiny oddany, nieskończonej miał nabyć wartości, a już przez właściwą cenę godnym był przeznaczenia swojego.

Gdy damy gradusy dla siebie wyznaczone zasiadły, miejsca wybrane dla osób rządzących i dla tych, co z urodzenia lub wieku prawo do szczególnych względów mieli, także zajętemi zostały; tłum zaś, cisnąc się koło szranków, lub gromadząc się różnie po zielonych błoniach, lub pod rozłożystymi drzewami, najprzyjemniejszy wystawiał widok. Gościniec był okryty pojazdami, końmi, piechotnymi różnych stanów, i takie mnóstwo ludzi rozsypanych widzieć można było, iż sądziłby wypadało, że nikt w mieście nie pozostał.

Sędziowie turniejów, między którymi Zdzisław książę Melsztynski, Konrad hrabia Myszkowski i kilku innych znajdowało się, którzy

wszyscy wiekiem i ciągłą uczciwością na ufność publiczną zasłużyli, gdy znak dali, że gonitwy zacząć się już mogą, kotły, trąby i wszystkie wojenne muzyki, rozlegając się po całej okolicy, oznajmiły, że rycerze w szranki wjeżdżać zaczęli.

Ostroróg, Odrowąż, Pac i młody Radziwiłł pierwsi byli, którzy w szranki wjechali. Radziwiłł w pierwszym kwiecie młodości, piękny, pyszny, popędliwy, bojów i sławy chciwy, przysłał dolę chcąc temi słowy wywróżyć, nosił na tarczy *kometę* z napisem: *świetna i rzadka*. Prawy i niczem niestrwożony Odrowąż na znak miał *lwa leżącego spokojnie, który łapę na laurowym trzymał wieńcu*. Napis był: *nie zaczepiam, ale bronię*. Dwóch braci Pogończyków ujrzyć potem można było. Przyjaźń, krew, imię, łączyły ich najściślej, i ziomkowie, aby ich rozróżnić, nadali im czarnego i białego przydomki. Najczystsza miłość Ojczyzny, będąc najpierwszą ich żądzą, a dobro jej jedyną metą, do której gonili, nie chcieli innych znaków nosić, jak własny herb na tarczach swoich, i cnotę nieskażoną łącząc do obojętności na własne losy, dołożyli napis: *bądź co bądź*. Z dzieciństwa przyjaźń najczulsza pierwszem była uczuciem Adolfa i Gedymina (których zwykle tak po imieniu nazywano); ci znowu rycerscy bracia wzięli za godło *dwie ręce złęczone* z napisem: *w szczęściu i w nieszczęściu*. Hoża Kamila i Halina złotowłosa dzieliły, jak mówią, miłosne ich zapęły. Tarcze zaś, godła i napisy dwóch rycerzy, którzy natychmiast Adolfa i Gedymina zastąpili, stały się gadką dla wszystkich przytomnych. U pierwszego na czarnem polu *krzyż i róża* z napisem: *miłość nadzwyczajna i wieczne milczenie*. U drugiego kwiat ¹ (*myślą* zwany) z napisem: *chyba z życiem ją stracę*. Te tajemnice ciekawość publiczności, a osobliwie ciekawość dam mocno wzbudziły, która to była między nimi celem tej *nadzwyczajnej miłości*, dlaczego to *milczenie wieczne*? O, szczęśliwa ta, o której myśl *chyba z życiem stracić można!* były uwagi czynione przez przytomne spektatorki póty, póki nowy widok nie zajął powszechnej baczności.

Konstanty i Władysław Zamojscy, Roman Sanguszko i Lew Sapieha, z dziecinnych ledwo lat wychodząc (bo najstarszy między nimi piętnastą dopiero liczył wiosnę), wstępując w życie z tą niewiadomością nieszczęść, z tą czarującą nadzieją (najdroższym udziałem młodo-

¹) Kwiat *myślą* zwany jest ten sam, co po francusku zowią *la pensée*, a po polsku *bratki*. (Przyp. autorki).

ści), zielony kolor obrali sobie, zielone pióra na złotych hełmach wiatr powiewał, zielone szarfy twarde zdobiły pancerze, konie bielsze od śniegu rżały pod nimi z zapału i niecierpliwości, a na tarczach *wschodzące słońce* z napisem: *ślawę i szczęście nam wróżyj*, było wyborem ich jednomyślnym, wróżbą może przyszłych losów i właściwem piętnem ich wieku; wieku szczęśliwego, w którym wszystkie cnoty łatwemi, wszystkie szczęścia niezawodnemi zdają się.

Po tym młodocianym kadrylu nowy tłum rycerzy szranki zajął. Rzeczą niepodobną byłoby imię każdego z nich pamiętać, lub wyszczególnić kolory, godła i napisy, które tarcze ich zdobiły. Tu dwa wieńce *laurowy i oliwny* z napisem: *w obydwóch obywatel* postrzegały się na puklerzu szczęśliwego Denhoffa; szczęśliwego, bo ten napis nie miłość własna wybrała, lecz głos publiczny cnotliwemu nadał Denhoffowi. Na tej tarczy o miłości tylko wzmianka, tu sławę jedynem bóstwem mienią, ów przyjaźń nad miłość przekłada, ten napisem swoim wzywa nadzieję, u tego rozpacz i zemstę wyraża, jednym słowem, wspomnienie, chęci, uczucia, życzenia, wszystko, co serca wzrusza, zapala imaginacją, lub duszę zajmuje, wyrażone było jawnie lub tajemnie w kolorach, godłach i napisach rycerzy, którzy w tych ukazali się gonitwach.

Nareszcie ostatni, który wjechał w szranki, był Ludomir książę Melsztyński, sprawca tego turnieju i najcelniejsza jego ozdoba. Szlachetność i zapał, na jego wyrze twarzy, nadzwyczajny wyraz mu dawały, zręczność i męstwo rycerskie zdobiły każde jego ruszenie, złoty orzeł, unoszący się nad szyszakiem, zdawał się dążyć ku niebu, promienie słońca odbijały się stokrotnie o lśniącego pancerz, a szarfa szkarłatna z ramienia przez piersi na mężny pałasz spadała. Dzielny arabczyk, na którym siedział, grzywę wiatrom puściwszy, z zakrzywionemi nozdrzami, pełen ognia, czekał z niecierpliwością, rychło pan, któremu jedynie jest posłuszny, da znak upragniony do boju. *Ziścić lub zginać*, były słowa (jakośmy wyżej czytali) wyrze na tarczy księcia Melsztyńskiego; słowa, które miłość i jeszcze głębiej miłość własna w jego sercu wyrwały. Ale przyznać trzeba, że ktokolwiekby go ujrzał dnia tego, nie łatwoby pojął, jakby książę Melsztyński mógł *nie ziścić* wyobrażeń najświetniejszego urojenia.

Gdy rycerze w porządku podwakroć miejsce turniejów objechali, znak do gonitw osobistych przez sędziów wydany został, i młody Radziwiłł z poważnym Denhoffem najpierwsi się spotkali. Z zimną odwagą

Denhoff wytrzymał popędlivość Radziwiłła i kopja tego na puklerzu Denhoffa skruszoną została; ale w drugim zapędzie, zapalczywa śmiałość Radziwiłła wszystkich sił dobywszy razem, Denhoff został zwyciężonym. Dwaj Pogończykowie, których nic rozłączyć nie mogło, biegli razem przeciw rycerzom *myśli i krzyża z różą*. Konie ich, w tej gwałtownej natarczy piersiami się spotkawszy, w tył cofnąć się musiały, kopje skruszonymi zostały; ale wszyscy czterej rycerze, najmocniej na siodłach siedząc, strzemion nie puścili i wzruszonymi nawet nie byli. Doświadczywszy zobopólnej mocy między sobą, polecili innych szukać zwycięstw.

Ostroróg podwakroć z Adolfem potykali się, i dwakroć czułe serce złotowłosej Haliny pysznić się mogło zwycięstwem kochanka. Kamila nie tyle była szczęśliwą, gdyż Gedymin od młodego Konstantego Zamojskiego zwyciężonym został. Ta pomyślność zbyt podniosła śmiałość zielonego kadryla; bo ci młodzi rycerze, moc swoją sądząc równą odwadze, usilnie pragnęli spotkać się z samym Ludomirem. Ludomir z Melsztyna, zwycięzca już Odrowąża, Paca, Radziwiłła i tylu innych, chętnie się skłaniał do śmiałych zabiegów tych dzieci. Ale dziurdy, dziecinną ręką ciskane, nie drasnęły nawet jego tarczy, a kopje ich wstrząsnąć go nie potrafiły.

Rzeczą niepodobną byłoby wyszczególnić wszystkie czyny zręczności i odwagi, które widzieć się dały na tych sławnych gonitwach. Powiem tylko, że po kilkogodzinnych walkach między mnóstwem rycerzy, nie znajdując już żadnego przeciwnika, książę Melsztyński, powszechnymi naprzód oklaskami, a potem głosem sędziów już miał być ogłoszony zwycięzcą turniejów i łańcuch z rąk Malwiny odebrać, gdy trąby i kotły, straż mające przy wejściu koła, znak dały, że nieznamy rycerz prosi o pozwolenie wjechania w szranki i o zaszczyt kruszenia kopji przeciw księciu Melsztyńskiemu. Na co jak tylko sędziowie turniejów zezwolili, widok się ukazał, który baczną powszechną na siebie ściągnął.

Rycerz, którego twarzy poznać nie można było, bo spuszczone przyłbica tego nie dozwalała, z powierzchowności zręczność i męstwo okazywał. Czarną nosił zbroję, czarne pióra hełm okrywały, tarcza jego krepą była osłonięta, i na dzielnym karym koniu wjechał w szranki. Przepaska biała, która lewe ramię obwiją, w stroju jego jedyną była ozdobą.

Ułożenie dziwnie szlachetne i coś smutnego w całej jego postaci (co może kolor zbroi pomnażał) ujęło ku niemu życzenia wszystkich przytomnych, a osobliwie życzenia dam, które świadkami będąc świeżo odniesionych zwycięstw księcia Melsztyńskiego, przewidywały z politowaniem, że i rycerz o czarnej zbroi ofiarą jego zręczności i męstwa stanie się.

Chęć otrzymania nowych laurów i pycha urażona, że ktoś jeszcze śmiał spór z nim wieść o nie, całą zapalczywość księcia Melsztyńskiego wzbudziły. Z spuszczoną także przyłbicą, odjechawszy aż na koniec mety, w całym pędzie arabczyka zwracając, uderzył na swego przeciwnika, który w wytrwałej spokojności niewzruszonym został. Kilkakrotnie nacierali na siebie bez szwanku; lecz za trzecią razą kopja rycerza o czarnej zbroi, silniejszą znać ręką prowadzona i umiejająca tarczy księcia Melsztyńskiego uniknąć, trafiła go nieszczęśliwie, i z strzemiem podniósłszy, o kilka rzuciła kroków. Łatwo można pojąć, jaki rozruch to zdarzenie niespodziewane w całym zgromadzeniu sprawiło; lecz młody książę, nie dając czasu żadnej na to sędziom turniejów czynić uwagi, ani dozwalając im żadnej czynić sobie przestrogi, porwał się z ziemi i w najpopędliwszym zapale rękawicę rzucił swoją i oświadczył, że piechotą i na pałasze bić się będzie. Przeciwnik jego zebrał rękawicę, przyjął wyzwanie, i zsiadłszy z konia, do bliższego boju stanął natychmiast. Już tu nie igrzyska, ale walka prawdziwa nastąpiła. Po długim dość spotkaniu się, w którym los, wahający się między przeciwnikami, jeszcze na żadną stronę szali nie był spuścił, książę Melsztyński, u którego wszystkie namiętności były wzbudzone, zapomniawszy, że to nie istota, ale wyobrażenie walki być miało, dobywszy całej siły i zręcznie unikając żelaza swego przeciwnika, swoim ranił go dość głęboko w lewe ramię. Krew prysnęła, i w ten moment Malwina krzyknęła, i bukiet z róż, co miała na piersiach (biciem znac serca wzruszony), zleciał na plac zapasów. Co w tej chwili gwałtownego wzruszenia było przyczyną, tego nikt, ani może i Malwina sama nie wiedziała; ale co jest pewnego, to, że rycerz o czarnej zbroi postrzegł natychmiast te wszystkie szczegóły, że mimo rany odebranej pobiegł aż pod gradusy, gdzie damy siedziały, zebrał z ziemi bukiet Malwiny i w największym pędzie wracając, natarł na księcia Melsztyńskiego i z walecznością nadzwyczajną to potrafił, iż nie raniąc go, rozbroił Ludomira i natychmiast oręż jego i bukiet z róż u nóg Malwiny zło-

zył. W ten moment chrapliwe trąby się odezwały, oklaski powszechne i głos sędziów, podług praw używanych w podobnych gonitwach, osądziły już nie księcia Melsztyńskiego, ale rycerza o czarnej zbroi zwycięzcą turniei.

Książę Melsztyński z tą szczerością, która jest wierną towarzyszką prawdziwej odwagi, sam zwycięstwo przyświadczył swemu przeciwnikowi, i tłum, napelniający szranki, poniósł niemal (rzec można) rycerza o czarnej zbroi aż pod ławicę, gdzie stała Malwina.

Malwina w nadzwyczajnem zmieszaniu, jak łańcuch na szyję miała mu już zarzucać, niezręcznością, która z tego zmieszania pochodziła, zawadziła ogniwem o krepę, co tarczę rycerza osłaniała i też przedarła. Niemało ją zadziwiło widzieć, iż na tej tarczy nie było innego napisu, jak to jedno słowo: *Niewdzięczny*. Rycerz jak najspieszniej puklerz swój zaslonił znowu, z uszanowaniem odebrał łańcuch z rąk Malwiny, z uniesieniem bukiet z róż, którego Malwina nie pomyśliła odzyskać, oręż księcia Melsztyńskiego przy nogach jej zostawił i z głębokiem westchnieniem, przyłbicy nie odsłaniając, w tłum się zmieszał raptownie i wkrótce zupełnie zniknął.

Trudno by opisać, jakie uczucie sprawiło w sercu Malwiny zjawienie niespodziane rycerza o czarnej zbroi. Książę Melsztyński, który wkrótce nadszedł, najżywszą mając ciekawość dowiedzenia się, kto to był ten, co otrzymał chwałę być jego zwycięzcą, natychmiast kazał szukać wszędzie rycerza o czarnej zbroi; ale daremne były te zabiegi, gdyż onego nigdzie nie znaleziono.

Malwina w skrytości myśli swoich, a publiczność i damy najbardziej głośno wyrzekały, że raptownem swoim zniknięciem odjął im sposobność oddania zasłużonego hołdu jego zręczności i męstwu. O niczem innem nie gadano, jak o rycerzu o czarnej zbroi. Różne dochodzenia, różne uwagi nad tem czyniono. Niejeden rycerz na jego miejscu radby się był znajdował, niejedna dama jego damą staćby się była chciała. Ale Malwina, która od niejakiego czasu każdego dnia niemal w każdym zdarzeniu nową znajdowała przyczynę do wzburzenia zbyt może czułego serca, doświadczyła tego bardziej jeszcze w dniu turniejów i tem bardziej może, im więcej spokojną wydawać się chciała. Raptowne zjawienie się rycerza o czarnej zbroi niewytłumaczone wrażenie uczyniło na jej umyśle; mimowolnie zajmowała się jego sławą, ściagała każdy jego obrót, oczu z niego nie spuszczała, i gdy oręż księ-

cia Melsztyńskiego ranił rycerza i krew jego prysnęła, serce Malwiny gwałtownie ścisnęło się, nie było w jej mocy utaić tego poruszenia, ani zatrzymać krzyku, którego przełknięcie najżywsze było przyczyną. Napis na tarczy i głębokie westchnienie rycerza, które z głębi duszy jego pochodzić zdawało się i które Malwina dobrze usłyszała, gdy odebrawszy łańcuch z jej rąk, pożegnał ją i zniknął w tłumie, mocno ją także uderzyło. Do tych uwag, do tych nowych uczuć wdzięczności, którą czuła się być winną księciu Melsztyńskiemu za chęć niezmienną wypełnienia wszelkich jej życzeń, chęć, której uskutecznienie turniejów świeżym było dowodem, wdzięczność ta stała się źródłem właściwych wymówek w sercu dobrej Malwiny. Wymawiała sobie niestałość, niewdzięczność i tyle sprzecznych uczuć względem księcia Melsztyńskiego, i gdy wszyscy przytomni najmilej byli zajęci okazałością dnia turniejów, ta, której ta okazałość, te igrzyska, te wszystkie zachody były poświęcone, zamiast zabawy i przyjemności, tęsknoty, niespokojności i męczących tylko udręczeń w skrytości serca doświadczała.

Niestety! smutną jednak jest rzeczą pomyśleć, że na tym świecie jednego serca może nie ma, któreby utajonej rany nie zachowywało. Wieleż razy w życiu przechodzimy koło osoby, która z powierzchowności pogodną spokojność (jak Malwina w dniu turniejów) okazuje, mijamy ją, nie domyślając się nawet o tysiącznych troskach, które wewnętrznie burzą duszę jej nieszczęśliwą.

Z placu gonitw całe społeczeństwo do Wilanowa pojechało. Po licznym obiedzie bal przepyszny dzień ten zakończył. Ogrody wilanowskie, napełnione ludem, przez noc całą rześisto były oświecone: jednym słowem, co tylko okazałość, uprzejmość i gust dobry utworzyć mogą, wszystko zebrane było, by dzień turniejów uczynić najmilej pamiętnym¹.

¹ Motyw turnieju, zarówno jak czarnego rycerza, w dobie, w której powstała *Malwina*, w literaturze zachodniej był już niemal konwenansem literackim. Pierwszy motyw znajdujemy także u Waltera Scotta w *Pieśni ostatniego minstrela*. Tam zwycięzcą jest kochanek Anny, lord Kranston, także niepoznany przez nikogo, nawet przez Annę. Analogij w akcesorjach i dekoracjach nie brak. Księżna Marja, naogół nieczuła na barwy, pokusiła się w opisie turnieju o efekty kolorystyczne, łącząc biel z zielenią (u czterech młodzieńców), albo -- na sposób W. Scottowskiego -- złoto ze szkarłatem. U księcia Ludomira Melsztyńskiego „złoty orzeł, unoszący się nad szyszakami, zdawał się dążyć ku niebu, promienie słoneczne odbijały się stokrotnie

ROZDZIAŁ XX

WIDMO

Książę Melsztyński, rycerz o czarnej zbroi, igrzyska, gonitwy i wszystko to, co przez jakiś przeciąg czasu tak żywo umysły zajmowało, nazajutrz po dniu turniejów zapomnianem było, gdy każdy, wróciwszy do siebie, wiadomość o ogłoszeniu wojny, a wojskowi rozkaz wymaszerowania w dwudziestu czterech godzinach zastali.

Chociaż o tym wypadku nikt od kilku miesięcy nie wątpił, jednak tak raptowna pewność i nagle wymaszerowanie nie mogło jak tylko nader wiele zajęcia przynieść wojskowym. Te zajęcia i tysiączne służby obowiązki stały się przyczyną, iż książę Melsztyński nazajutrz po turniejach w przeciągu dnia ani być u Malwiny, ani spotkać jej nigdzie nie mógł.

Malwina, jak drudzy, wiadomość o wojnie u siebie zastała; zastała także listy od ciotki i siostry; każda z nich podług swego sposobu widzenia mówiła jej o księciu Melsztyńskim. Wanda, wspominając Krzewin i rozumiejąc, że Malwina poniekąd równie jak wtedy myśli, ciotka zaś na tem najbardziej gruntując uwagi swoje, iż miłość Ludomira zbyt już była w społeczeństwie znana i od Malwiny jakoby pożądana, ażeby bez powszechnej nagany odpowiedzi jakiegokolwiek przynajmniej już mu nie dała. Malwina, zawsze prędka do sądzenia się winną, z przykrem wrażeniem przeczytała uwagi ciotki i z bolesnem uczuciem życzenie siostry. Krzewin, Ludomir, wojna, odjazd na nią księcia Melsztyńskiego, rycerz o czarnej zbroi, wspomnienie nawet tego

o lśniący pancerz, a szarfa szkarłatna z ratmienia... spadała". Temi dwiema barwami olśnił zebranych również lord Howard:

„Na zwierzchnim płaszczu haft połyskał drogi,

Złoty miał łańcuch i złote ostrogi

I kółpak z polskich soboli.

Miecz Toledański, formy starożytnej,

Wisał w szkarłatnej pochwie aksamitnej,

U pasa cudnej roboty". (V, 16).

Istotne bohaterki obu walk w szrankach obie przystroiły się w różę. — W romansie polskim, przed księżną Marją, obraz walk turniejowych roztacza z zamitowaniem w *Astoldzie* Mostowska. Tam też znajdzie się i motyw czarnego rycerza, upowszechniony już przed Mostowską w poezji polskiej przez Niemcewicza

nieszczęśliwego jestestwa, o którym u Dżęgi słyszała i który po tej długiej chorobie mieszkanie odmieniwszy, żadnego śladu po sobie nie zostawił, wszystkie te przedmioty i tysiączne przykre i przeciwne jedne drugim uczucia cisnęły się do serca Malwiny i boleśnie myśli jej niepokojnością napełniały. Obraz wojny, czarną wydany farbą, ustawnie stawał jej w oczach i niemało pomnażał niespokojności. Dzień cały przepędziwszy w smutnych i trwożliwych rozmyślaniach, wieczorem, chcąc się rozerwać, a nie czując ani siły, ani chęci do znajdowania się między ludźmi, umyśliła użyć samotności, korzystając razem z pogodnego wieczora. Zaprząc kazała, i wioząc się sama, nie bardzo uważała, którędy jedzie. Po chwili znalazła się blisko Wilanowa, zajechała na dziedziniec; ale że zamek nie był wtedy zamieszkanym, cichość tam największa panowała; cichość, która po hałaśnym i świetnym dniu przeszłym tem bardziej się i głuchą i smutną wydawała. Malwina wysiadła z pojazdu i weszła do ogrodu. Słońce już było zaszło i blask księżyca oświecał tylko odwieczne szpalery, poważne świry i statuy kamienne, świadki owe wieków dawnych, które tyle już pokoleń przeżyły, tyle odmian koło siebie widziały.¹ Malwina, u której odwaga nie była cnotą wrodzoną, nie bardzo śmiała oczu podnosić na te posągi cieniem okryte, którym promień księżyca, niekiedy przez liście prze-

¹ Nie po raz pierwszy spotykamy się w *Malwinie* z ossjanowskim krajobrazem księżycowym i nie po raz ostatni. Wszelako pamiętać należy, że z równem zamiłowaniem, jak Ossjan, i pod wpływem Ossjana, kreśli pejzaż nocny, obłany światłem księżyca, W. Scott. W *Pieśni ostatniego minstrela*:

„Księżyc w pełni świeci mnie...
Pod drzewami, nad źródłami
Tłumy sylfów girlandami
W przezroczystej tańczą mgłę...” (I. *Słowa Ducha gór*).

„Jasność księżyca olbrzymie Mintu skały oświeca”. (I, 27).

„Lecz gdy z za chmury wyjdzie księżyc błądy,
A wzniosłe łuki i mroczne arkady,
Mdłem jego światłem bielejąc po wierzchu,
Czernią się spodem, jak otchłanie zmierzchu,

— — — — —

Wtedy, wędrowcze, idź, gdy ci się przyda,
Idź na gruz gmachu świętego Dawida”. (II, 1).

Księżyc nie jest w *Pieśni ostatniego minstrela* nigdy tylko dekoracją, jest środkiem nastrojowym.

dzierający się, ruchu jakiegoś zdawał się udzielać. Do tego jeszcze trwożliwa pamięć Malwiny przypomniła jej wieść, mocno między popółstwem zakorzenioną, jakoby w wilanowskich ogrodach widmo jakieś nadzwyczajne czasem miało się pokazywać. Wtem zegar na wieży zamkowej godzinę dziewiątą wybił, i Malwina, coraz bardziej strwożona, wspomniła, że od tej godziny w poniedziałki mało kto bywał w ogrodzie dla przesądu zadawnionego, że wtedy właśnie widmo to nocne wśród ciemnoty zjawiać się zwykło. Nieszczęściem trafiło się właśnie, że tego dnia był poniedziałek, i Malwina, która przy jasnym jeszcze słońcu z Warszawy wyjeżdżając, ani pomyśliła o tych wszystkich bajkach, w tej chwili umysł jej, tylu smutnemi uczuciami zmęczony i osłabiony, temi nawet drobnymi szczegółami przełęczonym został. Nie śmiejąc na dziedziniec wracać, bo znowuby przez cały ogród przechodzić trzeba, gdzie każda biała statua stawała się marą dla niej, w grobową płachtę odzianą, wołała w przeciwną udać się stronę. Zbiegła do dolnego ogrodu i odetchnęła swobodniej, gdy się w ulicy nad łąką znalazła. Ta ulica, z jednej strony wysokim lipowym szpalerem brzeżona, z drugiej strony do samej wody dochodzi. Księżyc w całym blasku wzniesiony nad łąką, srebrną pręgą ją przedzielał, a słowik wdzięcznym swoim głosem ciszę przerywając, zdawał się chcieć wypędzić okropność z serca Malwiny, a słodką tylko melancholją napęlić. Malwina, trochę już spokojniejsza, została zdolna cenić piękności tej nocy wspaniałej, szal i kapelusz zdjęła, by lepiej z powietrza korzystać. Wietrzyk igrał w jej włosach i z białym muślinem, którym była odziana; a koby ją był wtedy spotkał, mógłby ją wziąć łatwo nie za marę okropną, ale za ducha powiewnego. Ławka na końcu ulicy nad wodą stała, Malwina doszła do niej i siadła; strach ją był niemal zupełnie opuścił, ale skłonność do rozrzewnienia się i ściśnienie serca nie ustawały jeszcze. Rok mijał właśnie, jak w tym samym miesiącu, o tej samej niemal porze Ludomira była poznała w Krzewinie. Wieluż zdarzeń przez ten rok doświadczyła? wieleż uczuć, dotąd jej obcych, doznała? wieleż nadziei przyćmionych? wiele odmian zgasłych?... Zdawało jej się, to wszystko wspominając, że dłużej żyła przez ten rok jeden, niż przez resztę bytu swojego na ziemi.

Wtem dumania jej przerwane, a strach znowu wzbudzonym został postrzeżeniem figury, idącej ku niej z końca ulicy; ~~lecz~~ wkrótce uspokojoną została, gdyż poznała, że to był książę Melsztyński. Nie

śmiałybym nigdy przerywać samotności twojej, śliczna Malwino, rzekł do niej, przybliżając się, ani naprzykrzać się powtórzeniem wyrazów nieszczęśliwego uczucia, które gdy nie jest dzielone, aż nadto nieznośnem być musi; lecz rozpacz czasem zuchwałym czyni. Rozpacz serce moje zajęła, gdy nie widząc cię dzień cały, w wieczór nie zastałem cię w domu. Jutro równo ze świtem rozkaz mamy rzucać Warszawę; wychodzimy na wojnę. Wojna okropna nas czeka; losy wszystkich niepewne. Malwino! myśl, że może przyjdzie zginąć, nie widząc ani pożegnawszy ciebie, nie powtórzywszy ci raz ostatni, że uwielbiam cię nad wszystko w świecie, myśl ta okrutna opanowała całą duszę moją i żadnej innej nie dopuściła rozważań. Dowiedziawszy się, żeś w tę stronę pojechała, przyleciałem i u nóg twoich o przebaczenie mojej zuchwałości, o litość błagam nad moją rozpaczą! To mówiąc, księżę Melsztyński padł u nóg Malwiny i wlepiwszy w nią oczy, z trwogą czekał, rychło ona słowo wyrzeknie.

Tysiąc uczuć cisnęło się w serce Malwiny i moc do odpowiedzi odejmowało zupełnie. Lecz wyraz bólesci, wryty na twarzy Ludomira, przestrogi ciotki tylokrotnie powtórzone i które w ostatnim liście tyle jej uczyniły wrażenia, tkliwe rozrzewnienie, któremu zbiór okoliczności, miejsce, pora, ledwo nie powiem godzina, mocy niezwykłej dodawały, a bardziej, jak to wszystko, obraz niebezpieczeństw, na które szedł Ludomir, które żywa imaginacja Malwiny najokropniej jej wystawiała, wszystko to, złączone razem, opanowało jej duszę i wymogło (rzec mogę), że podniósłszy oczy, podała rękę księciu Melsztyńskiemu i raptownie wymówiła: *wróć, księżę, tylko szczęśliwie, a po wojnie...* Wtem krzyk okropny przerwał jej słowa, a widmo nadzwyczajne zmysły jej odjęło. W gęstwinie szpaleru, blaskiem księżycy zupełnie oświeconego, naprzeciwko siebie Malwina ujrzała drugą postać Ludomira; postać ta okropność i rozpacz nosiła na twarzy; nieład włosów i bladeść nadzwyczajna mieszkańca już nie tej ziemi wyrażać zdawała się. Malwina zemdlała zupełnie, a księżę Melsztyński, który tyłem obrócony do szpaleru, nie mógł widzieć przyczyny jej przestachu, rozumiejąc, że krzyk ten okropny, którego oboje słyszeli, jedynie sprawiał jej trwogę, niemniej jednak, jak Malwina, został złęcznionym, widząc ją leżącą bez duszy i tak daleką od wszelkiego ratunku. Oparł o ławkę, a sam poleciał do łachy czerpać wodę w kapelusz, nie mając naprędce innego sposobu ratowania jej. Szczęściem ludzie Malwiny niespokojni, widząc,

że tak długo nie wraca, szli właśnie jej szukać i słysząc ten krzyk okropny, zbiegli się nad łachę, gdzie znaleźli panią swoją, jak martwą leżącą, a księcia Melsztyńskiego, któremu ten widok przytomność odejmował, w ostatniej rozpacz.

Nosidla z gałęzi zrobili naprędce, na których omdloną Malwinę do zamku przynieśli i niemałym strachem nabawili żonę dozorca pałacu, gdy do jej weszli mieszkania. Malwina, bardziej do trupa niż do żyjącej jeszcze osoby podobna, księżę Melsztyński, którego z obłąkania za warjata brać można było, godzina dość już późna, poniedziałek nieszczęśliwy i relacje, które każdy raptownie czynił o krzyku okropnym, którego wszyscy słyszeli i za nową i nieodbitą pewność istności widma dawali, te wszystkie przyczyny zebrane, łatwo mogły przestraszyć odważniejszą nawet osobę, jak trwożliwą dozorczynię; ale że szczęściem przy tchórzostwie swoim była miłosierną i dobrą, zaraz zaczęła się krząć, by Malwinie w czem dopomóc. Położyła ją na swoim łóżku, zlała na nią co tylko kropel miała w całym domu i ręce załamywała, widząc, że to nic nie pomaga. Przecież felczer, który w Wilanowie mieszkał i po którego księżę Melsztyński był polecił, przyszedł zadyszany i mocniejszymi kroplami potrafił Malwinę ocucić nareszcie; lecz to ocucenie nie trwało długo, w ustawiczne znowu mdłości wpadała, między którymi nieprzytomną być się zdawała, i gadając od rzeczy, księcia Melsztyńskiego, ani swoich ludzi nie poznawała. Felczer oświadczył, że mocną ma gorączkę i radził, żeby ją można jak najprędzej do Warszawy odwieść, gdzie i doktora i lepsze wygody mieć mogła, jak w Wilanowie. Pojazd księcia Melsztyńskiego szczęściem się znalazł; przenieśli w niego Malwinę; księżę felczera zobowiązał, aby także w niego wsiadł i chorą do miasta odwiózł. Sam zaś dostał konia i przy powozie jechał z sercem jak strwożonem, to ci, co żywo kochali, a widzieli kiedy tę, którą kochali, w niebezpieczeństwie życia, najlepiej pojąć potrafia.

Przyjechawszy nareszcie do domu, zaraz Malwinę do łóżka przeniesiono. Obudziwszy najlepszego doktora, księżę Melsztyński przywiózł go i nie odstąpił póty, póki ten, obejrzawszy chorą, nie przysięgł mu, że niebezpieczeństwa życia w ten moment nie widzi. Ludomir mało go nie udusił z radości, ściskając go po tej odpowiedzi. Lecz doktor dołożył, że choć niebezpieczeństwa życia w tej chwili właśnie nie widzi, jednak Malwina mocno chorować może, że dużą bardzo ma gorączkę,

że ustawnie bez przytomności gada, że słabość ta zdaje się przyczyną moralną wzbudzona i najbardziej spokojności potrzebuje. Księżę Mel-sztyński pół życia byłby oddał, żeby mu wolno było zostać w pokoju Malwiny i pilnować każdego odetchnienia tego jestestwa, od którego życie jego naówczas zawisłe było. Ale doktor, postrzegłszy, że widok Ludomira w obłąkaniu gorączki lękać najbardziej zdawał się Malwinę, nie dozwolił mu zostania przy niej i gwałtem go wyprowadził, przy-rzekając na tysiączne powtórzone jego prośby, że Malwiny ani na chwilę nie odstąpi i że nazajutrz (to jest za godzin kilka) księżęciu będzie wolno widzieć ją jeszcze, co niestety, z rozpaczą przewidywał Ludomir, raz ostatni być miało przed jego wyjazdem, gdyż równo ze dniem rozkaz miał wymaszerowania z Warszawy.

ROZDZIAŁ XXI

NIEWESOŁY

We trzy tygodnie po tym dniu nieszczęśliwym Wanda, mocno niespokojna, nie mając przez poczt kilka żadnej od siostry wiadomości, odebrała nareszcie list od niej. Jakie wrażenie uczynić mógł na jej umyśle, czytelnik łatwo osądzi.

List Malwiny do Wandy.

30 maja 18.., z Warszawy.

Nie dziw się, luba Wando, żeś tak długo żadnej ode mnie nie miała wiadomości. Długa choroba, która przez dni kilka wszelką nawet przytomność była mi odjęła i podczas której zbliżam śmierć widział, jedyną mogła być przyczyną, że Malwina zaniechała pisywać do Wandy.

Luba Wando! przez tydzień między życiem i śmiercią zostawa-łam. Matczyna opieka księżnej W***, starania doktorów, młodość może, a raczej Opatrzność, na tej ziemi jeszcze mnie zatrzymały: Ale po wyjściu z niebezpieczeństwa wielkie zostało osłabienie i do tego mo-mentu wszelkiego broniło mi zatrudnienia. Przyczynę tej choroby nie wiem sama, jak ci mam opisać. O moja Wando! zbolełe serce, umysł zmęczony, rozróżnić same nie mogą, czy marzenia ludzkie, czyli istota prawdziwa trwogi mojej była przyczyną. Ale niestety od tej chwili mało spokojności doznaję. Smutne przecucia gonią mnie wszędzie.

Wojna bezustanku jest na myśli. Boję się bezustanku o wszystko, co kocham. Ach, Wando, boję się bardziej może jeszcze o to, ^{czy}bym kochać nie powinna! Wybacz, siostrze, jeśli teraz wszystkich tajemnic serca wytłumaczyć nie mogę; ale wkrótce złączona z tobą wynurzę ci to biedne serce zupełnie i przy tobie może cokolwiek spokojności odzyskam. A teraz słuchaj długiej powieści mojej, którą może weźmiesz za skutek gorączki, chociaż wszystko tak jest istotne, jak przyjaźń moja dla ciebie.

(Tu Malwina opisuje, co w przeszłych dwóch rozdziałach czytelnik przeczytał, aż do miejsca, gdzie ksiądz Melsztyński w ogrodzie wilanowskim wyjawiał Malwinie miłość i rozpacz swoją i czekał na jej odpowiedź).

O, Wando! (dokłada ona potem) wyrazić ci, co się wówczas w duszy mojej działo, jest mi niepodobna; tkliwe rozrzewnienie, widząc smutek Ludomira, trwoga o życie jego, które tylokrotnie narażone w okropnej wojnie być może, miłość nadzwyczajna, którą dla niego niegdyś czuła, miłość niestety, którą w sercu mojem nie dla niego już znajduję, obowiązki, co czuję mu być winną i tem święciej je czuję, im trudniejsze mi się zdają do wypełnienia, Wando, oto są wszystkie uczucia, co nawąłem rozdzierały serce nieszczęśliwe biednej siostry twojej! Ale, Wando, ty, co od dzieciństwa znasz mnie najlepiej, ty, co wiesz, że cudze szczęście zawsze mi pierwszej jest na myśli, jak moje własne, że gdy o szczęście szło Ludomira, chętnie moje poświęcić mu chciałam, dogadzając życzeniom jego, choć czułam tem dogadzanem moją spokojność i moje nadzieje straconemi na zawsze. Niejednemu może naganne i niepojęte będzie takie poświęcenie się, taki sposób myślenia i działania; ja go nie bronię ni ganię, lecz tak myślałam, tak czułam, i przed sercem przyjaznem, jak przed Bogiem litościwym, w całej szczerości się wynurzam. — *Wróć tylko szczęśliwie, a po wojnie...* były słowa, którem Ludomirowi odpowiedziała i do których dolożyć chciałam: *a po wojnie rękę moją otrzymasz*; lecz tych słów ostatnich domówić nie mogłam. Te słowa przerwane zostały, przerwane może na zawsze krzykiem okropnym i widmem nadnaturalnem, którego zjawienie się zmysły mi naówczas odjęło, a wspomnienie którego trwogą mnie dotąd przeraża. Postać Ludomira powtórzoną raptownie ujrzałam; rozpacz i śmierć nosił na twarzy, promień księżycowy go oświecał, a z ciemnot nocy zdawał się dobywać. Ujrzałam to widmo, okropność

niewymowna całe moje objęła jestestwo, zmysły utraciłam zupełnie i od tej chwili nie wiem już, co się ze mną działo. Zemdloną odwieźli mnie do Warszawy; przez tydzień w malignie bez przytomności leżałam i dopiero dziesiątego dnia, jak ze snu najprzykrzejszego ocucona, zaczęłam rozeznawać, co się ze mną dzieje i powoli przypominać, co się ze mną działo. Ach, Wando! widmo to okropne z pamięcią moją się wróciło i wrażenie tak głębokie na umyśle moim uczyniło, że chyba ze stratą pamięci straciłbym go mogła. Wando! wierz mi, to nie było omamienie, Wando, wróżbą to może nieszczęśliwą dla Ludomira... wróżbą może dla Malwiny i wczesną karą za to, że usta jej wymawiać chciały inaczej, jak dusza czuła, i rękę swą księciu Melsztyńskiemu oddawać, gdy serca już mu oddać nie mogła! Ale o Boże! czyż to jest przestępstwem swoje szczęście dla cudzego poświęcać? czyż to jest przestępstwem ofiarę z siebie czynić dla wdzięczności, dać się najtkliwszą litością i głosem obowiązku zwyciężyć? Jeśli to jest przestępstwem, o Boże litościwy karz mnie... niechaj na mnie gniew się Twój kończy, ale chroń wszystko, co kocham, chroń wszystko, com kiedy kochała!

Nazajutrz po tym dniu, w którym zachorowałam, książę Melsztyński z pułkiem swoim, tak jak wszyscy wojskowi, stąd wyruszył. Od tego czasu wiadomość od nich kilka razy już mieliśmy. Niedaleko są od granicy, w małych utarczkach przednia straż już się kilka razy z nieprzyjacielem potykała i niedługo bitwy generalnej się spodziewają. Ta bitwa los kraju, sławę naszych współziomków, ale niestety i życie wszystkiego, co kochamy, rozstrzygnąć może! Wando! i ty Polka, i ty masz serce, co sławę umie cenić, ale to serce pewnie, jak i moje, zadrży na wspomnienie, co ta sława czasem kosztuje...

Wszyscy już niemal Warszawę opuścili; pusto i smutno wszędzie, i w mojem sercu smutno, o! smutno nad wszelkie wyrazy! Osłabioną jeszcze jestem bardzo, lękam się najmniejszego hałasu, trwożę się każdą wiadomością. Doktorzy rozumieją, że zmiana powietrza pomocną mi być może i w tem z życzeniem mego serca się zgadzają; bo jedynie teraz pragnę dość mocy odzyskać, bym mogła do ciebie, luba siostró, i do lubego wrócić Krzewina. Może z wami, może przy was odzyskam tę spokojność, co oddawna opuściła serce Malwiny.

P. S. Tobie jednej wyjawiałam przyczynę mojego przestachu w Wilanowie i skutki tej trwogi na moim umyśle; wszyscy rozumieją,

że krzyk ów okropny jedynie mnie przeraził; więc proszę cię i zaklinam, nigdy o tem nie wspominaj, bo mozęby mi przyszło z boleścią widzieć, że wzięto za omamienie nadto żywej imaginacji, albo za udanie jakie, to, co niestety aż nadto było prawdziwą istotą.

ROZDZIAŁ XXII

WYJAZD Z WARSZAWY

Niedługo po napisaniu tego listu, Malwina, odzyskawszy dość sił, aby niewygody podróży wytrzymać mogła, umyśliła opuścić Warszawę. Nic ją naówczas w mieście zatrzymywać nie mogło; pustość, gdzie tylko kroki swe obracała, a w sercu własnem samą znajdowała tęsknotę. Nikt ją pocieszać nie był w stanie, bo każdy, bojąc się o syna, o brata, o przyjaciela, jednym słowem, o przedmiot jakikolwiek kochania, trwogą i niespokojnością równie, jak ona, był zajęтым.

Ach! ja łatwo mogę opisać stan ten nieszczęśliwy, w którym biedni Polacy, biedniejsze jeszcze Polki tyle razy już się znajdowały, bom i ja go doświadczała. Och, nie takie u nas wojny bywają, jak po innych krajach, gdzie wola jednego mocarza wysyła w dalekie okolice płatne rotę swoje, ażeby małą, a najczęściej niepotrzebną część kraju jakiego nabyły. Wojna ta w odległych krainach się odbywa, a tymczasem w środku prowincji, po wsiach, w zamkach, w miastach, w stolicy ledwo i wiedzą, że gdzieś tam część jaka wojska, co mało kogo i obchodzi, bije się przez czas niedługi. U nas wojsko, z ojców, braci, synów, kochanków, przyjaciół złożone, bije się blisko nas, pod naszymi oczyma; bije się o swoją własność, o swoje schronienia, za żony, dzieci, prawa, język i byt swój! Jedna bitwa przegrana może znowu wydrzeć, co tylko w świecie człowiek ma najmilszego, wygasić nawet tak niezłomne nadzieje! My wojen nigdy nie prowadzimy, ażeby złupić sąsiadów; zaburzenia i okropności nie wnoszą w kraje cudze dlatego, że odmiany rozumne lub porządek u siebie chcieli wprowadzać! Nasze wojny mają słuszość i prawo własności za pierwsze zasady, miłość Ojczyzny i sławę za godło; ale niestety głód, niedostatek, obnażenie z wszelkich pomocy i wróżbę wszelkich plag za zwyczajne towarzystwo. Każdego taka wojna dotyka, każdego zajmuje. Wieleż to ja ich sama przeżyła? wieleż razy widziałam siedliska panów i możnych obywateli

wściekłością hord nieprzyjacielskich do szczytu zburzone, drzewa, ręką ich naddziadów sadzone, do pnia wycięte, okolice, co koło siebie starali się uszczęśliwiać i zaczynali upiększać, spustoszone i zniszczone, a ustanowienia, założone w jakimkolwiek bądź zamyśle, czy dla potrzeby ludzkości, czy dla ozdoby kraju, nie lepiej szanowane. Gdy możliwym i bogatym tak się działo, cóżbym o biednych powiedzieć mogła? Ale nie chcę przydłużać i tak już może nadto długiego zboczenia, które się z obfitości serca mego wylało, i za które czytelnika przepraszam; ale do którego jednak dołożyć jeszcze muszę, że choć w tych zaburzeniach, w tych wojnach nieszczęśliwych każdy stan, każda pleć, każdy wiek cierpi, co może być najboleśniejszego, bo cierpi i boi się o wszystko, co kocha, oddaje niemal wszystko, co posiada, i waży nieraz jeszcze wszelkie sposoby ratowania się w przyszłości, gdyż zawziętość nieprzyjaciół i sąsiadów i to nam nieraz odejmowała — mimo tego jednak, za każdym promykiem nadziei polepszenia losu tej Ojczyzny, każdy stan, każda pleć, każdy wiek znowu siebie, dzieci, zdrowie, majątek i co tylko w świecie posiada, z tą samą gorliwością oddaje i poświęca.

Po kilkodniowej podróży, w której żadne znaczące nie spotkało ją zdarzenie, Malwina znowu się w Krzewinie znalazła. Czuła i szczerą radość, którą przybycie jej sprawiło w sercach mieszkańców tego miejsca, miłem nader były dla niej uczuciem; rozmowy z siostrą tysiącnie powtarzane i wynurzania, w których z ufnością zupełną troski, bojaźni, marzenia, błędy nawet bezpiecznie wyjawiać mogła, ulgą najslodsza stały się dla serca. Czuła, że te wynurzenia powierzała dbałej, tkliwej, pobłażającej przyjaźni. Nigdy wymówka ostra, postać znudzona, lub roztargnione odpowiedzi nie ziębiły uczuć w jej sercu, nie morzyły słów na jej ustach.

Posiadać ufność tych, co się kocha, otrzymać od nich powierzenie się zupełne, jest bez wątpienia największym dowodem, najdroższym darem przyjaźni; ale nie każdy ufność wzbudzać umie. Można być dyskretnym, czułym nawet, a nie posiadać tego czegoś, co ufność tworzy. Ciężkoby nawet wytłumaczyć, z czego się ten dar tworzy; są to tysiączne drobne odcienia, które serca mimowolnie czują, ale których rozwaga wytłumaczyć nie jest w stanie. Lecz jakimkolwiek bądź jest i z czegokolwiek składa się ten dar ujmujący, to pewna, że go Wanda najzupełniej posiadała, sprzeczne uczucia Malwiny pojmo-

wała, a przynajmniej dzieliła, łagodziła jej troski przychylnością, staraniem, litowaniem się, jednym słowem, temi tysiącznemi sposobami, których źródła nigdy niewyczerpane prawdziwa przyjaźń zawsze w sercu swoim odkrywa. Młodość Wandy temu nie przeszkadzała; wszakże dobroć może być udziałem każdego wieku, a wesołość jej niewinna potrafiła czasem rozerwać Malwinę.

Lecz ze wszystkiego, co jej siostra powierzała, jednego tylko zdarzenia lękliwa Wanda niebardzo chętnie słuchała, a tem zdarzeniem było zjawienie się widma nocnego w ogrodach wilanowskich. Malwina, widząc, ile to opisanie wrażenia sprawiało na młodym umyśle Wandy, już o niem nie wspominała; ale tem samem milczeniem traf ten nadnaturalny głębiej jeszcze w jej pamięci się wpajał i smutne utrzymywał przeczucia. Żeby nie to, pewnie w Krzewinie odzyskałaby wiele spokojności; bo dobra Malwina nie mogła nie być czułą i odżywioną przywiązaniem tak szczerem i codziennemi a z serca pochodzącemi staraniami ciotki i siostry, które obie jedynie tem tylko były zajęte, jakby ją do zupełnego zdrowia i do dawnej swobodnej wesołości przywrócić. Często wszystkie trzy razem objeżdżały wieś do Krzewina należące, wchodziły do chat, w których Malwina wypytywała się o powodzenie każdego jestestwa przez czas jej niebytności, pomagała biednym, słuchała cierpliwie skarg cierpiących w jakimkolwiek bądź gatunku; ale najtkliwiej użalała się nad biednemi matkami, siostrami, kochankami, którym do pułków na wojnę synów, braci, kochanków zabrano. Nie mogąc ich boleści pieniędzmi umniejszać, cieszyła je przynajmniej nadzieją i niejedno zbolące serce ułagodziła tem jedynie, że słuchała z zajęciem opisanie przymiotów i zasług tego, którego żałowano. Niezawsze pieniądze boleściom i cierpieniom pomagać mogą; nieraz tklivość dobroczyncy milszą ulgę sprawiła, niżeli wszystkie jego dary.

Te dobroczynne zatrudnienia wiele godzin w dniu zajmowały Malwinie i wielką pomocą stały się jej troskom. Rano zaś, gdy wszyscy jeszcze spali, lub wieczorem przy zachodzie słońca lubiła błądzić nawiasem w spokojnych dolinach Krzewina. Kroki jej mimowolnie ją wiodły między pagórki cieniste, ponad brzegiem strumyków, któredy z Ludomirem tak często się przechadzała. Nie było ścieżki w tej krainie, kładki na tych strumykach, któredyby z sobą nie byli przeszli: każde drzewo, każdy krzak go przypominał. Na tej giętkiej brzozie w pierwszych dniach, gdy przyjechał, zawiesił był wieniec z barwinku, którego Mal-

winie samej nie śmiał był oddać; gdzie ten głaz nad strumykiem schylony, jak często z sobą siadywali! Ławka, którą on z kamieni ułożył, stała jeszcze; słowa, które naówczas wyrył na skale, nie wymazane dotąd! Wieleż te wszystkie widoki miłych, lecz smutnych uczuć wlewały w serce Malwiny? Żałowała tych chwil upłynionych; żałowała ich tembardziej, iż podług stanu, w którym serce swoje czuła, nie miała nadziei, by kiedykolwiek wrócić jeszcze mogły. Rozrzewniła się nad wspomnieniem Ludomira, jak nad wspomnieniem kochanka, którego by była losem jakim niespodzianym utraciła na zawsze; w istocie nie była go utraciła, straciwszy miłość, którą serce jej dawniej jemu jedynie poświęcało? Ach! tego uczucia żałowała Malwina, tego uczucia najbardziej żałowała w Krzewinie, gdzie każda rzecz, każdy przedmiot przypominał jej zeszłe szczęście i zwrot smutny teraźniejszego jej losu. Jednak ten smutek, te rozrzewniające wspomnienia nie były jej przykre, i owszem lubiła zapominać się w przeszłości i otaczać się tem wszystkim, co było przytomne Ludomirowi wtedy, gdy go Malwina najtkliwszą miłością kochała. Wspomnienia zaś teraźniejsze odsuwała ile tylko było w jej mocy, gdyż troski jej natychmiast się pomnażały. Skoro o księciu Melsztyńskim myślała, zaraz obraz wojny, smutne przeczucia, widma okropne i przytem mimowolny i niewyraźny, ale przykry jakiś wstręt przymusu w oczach stawały i umysł pod niemi upadał.

Tymczasem dzień po dniu mijał i czas, którego ni chwile szczęśliwe, ni godziny goryczą napełnione wstrzymać nigdy nie mogą, przechodził nieznacznie. Nic nie przerywało spokojnej jednostajności życia mieszkańców Krzewina, gdy dnia jednego Malwina odebrała list od Zdzisława z Warszawy, który ustawnie o wnuka będąc niespokojnym, życzył jak najczęściej od niego odbierać wiadomości; a że Krzewin bliżej był granicy, niż Warszawa, Zdzisław prosił w tymże liście Malwiny, aby raczyła mu pozwolić bawić w swym domu póty, póki wojna się nie skończy, dokładając bardzo grzecznie, że szczęście bawienia przy niej jedynie oddalenie wnuka osłodzić mu może. Malwina odpisała, że ukontentowaniem będzie dla niej widzieć go w domu swoim, i wkrótce potem Zdzisław pomnożył liczbę mieszkańców Krzewina, którzy wszyscy starali się to siedlisko jak najprzyjemniuszem uczynić temu nowemu towarzyszowi. Z ciotką Malwiny Zdzisław odnowił tylko znajomość, gdyż dawniej często ją w Warszawie widywał; ale młodą Wandę pierwszy raz poznał wtedy. Wesolość przyjemna i niewinność

jej wkrótce go ujęły i mimo uprzedzenia swego dla *anielskiej*, jak ją zwał, Malwiny, ładna Wanda niemało mu się podobała i znalazł ją godną być siostrą tego *Anioła*.

Dnie poczt były dni najważniejsze w Krzewinie; wtedy nadzieje lub trwogi pomnażanemi zostawały podług wiadomości pomyślnych czy smutnych, które w listach prywatnych i w gazetach wyczytywano. Gościniec przez wieś przechodzący i dom pocztowy w samym Krzewinie ułatwiał najregularniejsze listów odbieranie. Trąbkę pocztową z okien pokojów Malwiny słyszeć można było i nieraz trwożliwa jej ciekawość pędziła ją ku poczcie, by pakiet listów prędzej odebrać lub dowiedzieć się, czy goniec z obozu lub przejeżdżający jaki z tamtych stron na poczcie się nie znajdował. Kiedy czasem tak się trafiło, o Boże! wieleż wtedy zapytań, wieleż słów raptownie wymówionych! gdzież już są nasi? jak daleko zaszli? czy wszyscy żyją, wszyscy zdrowi? wszak nieprzyjaciół odparty? wszak od ostatniej potyczki nie bili się jeszcze? wszak... ale na cóż mam tu powtarzać rozmowę, którą czytelnik łatwo sobie wystawi, będąc Polakiem; łatwo pojmie, jak gorliwe i czułe Polki wypytywać się musiały o powodzenie ojczystego wojska, tego wojska, na którem wszystkie nadzieje spoczywały, o którego wszystkie obijały się troski!

Jednego wieczora społeczność Krzewina zebrana była w bawialnym pokoju; Malwina, jak przed rokiem na początku tej historii, szyła w krosnach przy oknie, Zdzisław w drugim kącie z ciotką grał w szachy, a Wanda, przed dużym stojąc zwierciadłem, przymierzała, to sobie, to Alisi, które kwiaty najlepiej przypadły do cieniu ich włosów, biorąc je nawiasem z dużego kosza, którego ogrodnik świeżo był przyniósł.

Malwina zamyślona szyć była zaprzestała, jedwabie koło niej spoczywały, i oparłszy się o krosna, głowę na rękę spuściła i czarne oczy w otwarte wlepiwszy okno, patrzyła (nie widząc może nawet) na rozległą krainę, która u nóg jej jakby umyślnie rozwiniętą była. Wtem trąbka pocztowa dała się słyszeć i odgłos ten, który się dobrze rozlegał wpośród ciszy wieczornej, wszystkie osoby, co były w pokoju, ocknął raptem. Ciotka, Wanda, Zdzisław, Alisia, wszyscy do okna Malwiny przylecieli i widząc kurz i pojazd jakiś na gościńcu, jednomyślnie ułożyli, że iść trzeba na pocztę, aby się dowiedzieć, czy to nie ciekawy jaki gość tam zajechał, od którego wiadomość i z obozu

otrzymaćby można. Szale i kapelusze wzięwszy, ku poczcie całe się społeczeństwo udało; dochodząc, postrzegli ten sam pojazd, którego wprzód pomiędzy tumanami kurzu tylko widzieli, wyprężony przed pocztą. Była to kolaska niebardzo poczesna, z niedużym tłumakiem, i natychmiast gorliwa ciekawość Wandy nieco ochłodziła, widząc ten niewytworny pojazd; jednak weszli do domu. W izbie poczmistrza siedziała jakaś białogłowa, niemłoda już i którą z ubioru brać można było za bogatą mieszczańkę, a co w niej zastanawiało, to, że w grubej była żalobie.

Na zapytanie Zdzisława, kto ona jest, poczmistrz odpowiedział, że nie wie; lecz gdy w rozmowie trafem nazwał księcia Melsztyńskiego, ta białogłowa z radością wstała i do Zdzisława się udając: „Ach! mości księżę, rzekła, księżę pan pewnie mnie nie poznaje i ja też nie spodziewałam się księcia pana tu znaleźć! Wszakże to ja przecie owa młynarka z Zienkowa od granicy tureckiej. Księżę pan łaskami swemi był obdarzył nieboszczyka mego męża i póki on żył, pensja regularnie nas dochodziła. Ale że teraz Bóg zechciał wziąć nieboszczyka do swojej chwały, ja, wdową, sierotą zostawszy, wybrałam się do Warszawy, by upaść do nóg waszej księżęcej mości i udać się w łaskawą jego protekcję“.

Zdzisław, to usłyszawszy, poznał natychmiast ową młynarkę, u której nieszczęśliwa Taida ostatnie dni życia swego przebyła, a którą niezaraz sobie przypomniał; nie widział jej bowiem od lat 18-tu, to jest od czasu, jak jeździł do Zienkowa odbierać z rąk jej i jej męża wnuka swego Ludomira, mającego wtedy rok trzeci dopiero, którego, jakśmy wyżej czytali, matka umierająca tym pocziwym ludziom w opiekę była zostawiła.

Zdzisław, smutnemi wspomnieniami rozczulony, najłaskawiej przywitał młynarkę i oświadczył, że pensją, którą mężowi dawał, do śmierci jej dawać będzie. Malwina także jej była rada, i ponieważ, księcia Melsztyńskiego w Krzewinie znalazłszy, nie miała przyczyny przedłużać podróży swojej, Malwina ofiarowała jej przytulenie w domu swoim przez czas zaburzeń wojny; przytulenie, które młynarka z największą wdzięcznością przyjęła, i zabrawszy wszystkie swoje graczki, z całym społeczeństwem do zamku wróciła, gdzie przy pomocy Frankowskiej tegoż samego wieczora pomieszczoną została.

U młodej Malwiny staropolska gościnność była cnotą wrodzoną; ale w przyjęciu młynarki, przyznać muszę, że cokolwiek własnego mie-
szło się interesu. Rozumiała, że w domysłach swoich względem nie-
pewności śmierci Taidy młynarka oświecić ją będzie mogła i że przy
tej pomocy potrafi rozwikłać tę całą tajemnicę, nie przyznając sobie
samej, że w tem dochodzeniu przełamyla znowu obietnicę, uczynioną
Ludomirowi w Krzewinie, że nigdy nie będzie szukała przedrzeć zasłony,
którą w wielu postępkach swoich okrywał się. Niezupełnie dobrze dzia-
łała w tej okoliczności moja Malwina, ale naprzód ciekawość swoją
szczerem poniekąd rozumiała tylko zajęciem się o los Taidy i dlatego
ją sobie przebaczała; a powtóre komuż się nie trafiło choć raz w życiu
nie być szczerym nawet z samym sobą? Darujmy więc na ten raz
i Malwinie i darujmy jej tembardziej, że nic nie wskórała; ponieważ
mimo wszystkich swoich starań nic innego nie dowiedziała się od mły-
narki, jak to, co od księżnej W*** już wiedziała, a to było stwierdze-
nie śmierci Taidy i opisanie we wszystkich szczegółach dziecinności¹
Ludomira, aż do momentu, gdy go Zdzisław do siebie odebrał.

ROZDZIAŁ XXIII

BITWA POD MOHILEWEM

Najczęściej przed wszelkimi burzami czas cichy i ociężały bywa;
czasem tam, gdzie piorun w godzinę ma uderzyć, niebo jest pogodne,
drzewa żadnym nie wzruszone wiatrem i ptaszki, tą zdraudną zwiedzione
ciszą, najswobodniej pod ich cieniem spoczywają. Równie i u ludzi
nieraz się trafia; niejeden wesoło śpiewa, nie wiedząc, że za godzinę
płakać mu przyjdzie; nieraz jedna godzina dzieli spokojność od niedoli
i między dobrodziejstwami Opatrzności za jedno z najpierwszych liczyć
trzeba tę niewiadomość przyszłości, bo inaczej któżby kiedy momentu
szczęścia mógł użyć na tym świecie? Mieszkańcy Krzewina, jeśli nie
zupelnego szczęścia, to przynajmniej swobodnej używali spokojności,
częste i uspokajające z wojska odbierając nowiny. Już nieprzyjacieli

¹ *dziecinności* — oczywiście w znaczeniu: dziecięctwa.

Rozdział XXIII: Bitwa pod Mohilewem. — W rękopisie A i B, jak zaznaczono we
Wstępie, tytuł rozdziału brzmi: „Batalja pod Grannym”. Pamiętamy, że pod Gran-
nem walczył w roku 1792 brat autorki, ksiązę Adam Jerzy.

dość daleko od granicy był odparty, wojsko nasze cudów dokazywało. Ludomir z pułkiem swoim w kilku już utarczkach chwałą się okrył i ranionym dotąd nie był jeszcze, Zdzisław sławą i szczęściem wnuka chęlnie się, sędziwie tem lata odmładzał. Malwina, jeśli już nie miłością, to jednak uczuciem najtkliwszej przyjaźni (co *kochaniem* zważyć trzeba) napelnione mając serce dla niego, za jego życie, za jego szczęście, szczerze niebu dziękowała. Reszta zaś mieszkańców Krzewina, przejmując niemal zawsze wszystkie jej uczucia, także swobodnej doznawała spokojności; aż w pośrodku tej ciszy, gdy niczego złego się nie spodziewając, zebrani razem rozmawiali o nadziejach, które każdy miał prędkiego pokoju i o powrocie tych, co ich zajmowali, turkot bryczki przerwał rozmowę i wojskowy jakiś wszedł do pokoju, tak opalony i okurzony, że nie poznali w nim oficera z pułku księcia Melsztynskiego, aż dopiero jak list oddał Zdzisławowi. Przerażeni tem raptownem zjawieniem, nikt z przytomnych nie śmiał żadnego uczynić zapytania.

Zdzisław drżącą ręką oddał kopertę, przeczuwając jakieś niepomyślne wiadomości; Malwina, która z oczu go nie spuszczała, gdy czytać zaczął, postrzegła trwogę i boleść na jego twarzy. Zbladł, i gdy Malwina do niego przysunęła się: „daruj, rzekł, dobra Malwino, że czule twoje serce trwożę; ale nie było w mocy mojej ukryć przerażenia, co mnie wskrós przejęło, wyczytując niebezpieczeństwa, w których wnuk się mój znajdował i stan, w którym dotąd zostaje“. Na te słowa Malwina list uchwyciła; był on ręką majora B***, najpoczciwszego człowieka i zdawna do całej familji Melsztynów przywiązanego, pisany i znać, że z wielkim pośpiechem, bo Malwina ledwo tę pomieszaną relacją zrozumieć i co następuje wyczytać mogła.

List majora B*** do księcia Zdzisława z Melsztyna z obozu pisany.

„Z rozkazu księcia Imci pułkownika piszę do W. książęcej Mości, aby mu donieść, że książę żyje, gdyż inne może niedokładne wiadomości mogły uprzedzić i zmartwić czule serce jego fałszywą jaką relacją.

Ale w moment ten, gdy los, chwiejący się w ostatniej potyczce, nie był dał jeszcze naszym wygranej, książę pułkownik, uniesiony zbyteczną odwagą, zapędził się w kilka tylko koni za nieprzyjacielem, który z oddziałem jednym ucieczkę udawał i który, wyprowadziwszy

już księcia dość opodał od reszty wojska, by pomocy mieć nie mógł, obrócił się raptownie i otoczył księcia. Książę, mimo odwagi nadnaturalnej, byłby tam zginął bezwątpienia, gdyby szczęściem jeden z kilku ułanów, co z nim się byli zapędzili, widząc, w jakim zostaje niebezpieczeństwie, nie był wrócił w największym pędzie szukać posiłku jakiego. Jak krzyknął, że książę otoczony kozakami, natychmiast dzieściu naszych ułanów, nie czekając nawet rozkazów (bo pułk cały w innej bijąc się stronie, myśmy się nawet nie domyślali o niebezpieczeństwie, w którym książę zostawał), ułani ci, mówię, zebrawszy się, pobiegli jemu na ratunek. Cudzy zaś żołnierz z innego pułku, który trafem był tam w bliskości, słysząc takż o niebezpieczeństwie księcia, przyłączył się do nich i ten traf największą zwać można opatrnością, gdyż temu najwaleczniejszemu rycerzowi książę jedynie życie winien. On mimo zmroku, który nie dozwalał drogi rozeznawać, i mimo tego, że sam już był w głowę ranny (co obwinięcie twarzy poznać dało), doprowadził aż na miejsce naszych ułanów, gorliwością swoją dodał im odwagi i wpadłszy z nimi w pośród kozaków, pałaszem drogę sobie otworzył, piersiami swemi zasłonił księcia (którego po błyszczącym krzyżu poznał, bo twarzy krwią zalanej rozeznac było niepodobna) i tem heroicznem poświęceniem się dał czas rannemu księciu uchylenia się i wyjścia z tej utarczki. Noc takż była nam pomocą i szczęściem; księcia przed kozakami ukryła. Tracąc niezmiernie wiele krwi, nie miał już siły bronienia im się dłużej i odszedłszy o kilka kroków, padł pod drzewem i zemdlął zupełnie. Ów zaś żołnierz nieznajomy, cuda tymczasem waleczności dokazując, wspomagany od naszych ułanów, po długiej i krwawej potyczce potrafił kozaków rozpędzić; ale niestety pokłuty i raniony okropnie, padł ofiarą gorliwego swego poświęcenia się. Naszych ułanów kilku zginęło, a ci, co zostali, nie widząc już nieprzyjaciela i bojąc się, aby w większej sile nie wrócił jeszcze, cofać się umyślili, nie wątpiąc, że księcia pułkownika już przy naszym wojsku znajdują. Niemało się zasmucili, gdy zamiast tego, opodał od miejsca, gdzie bitwa ich była zapędziła, księżyc z obłoków się dobywszy, dał im poznać pod drzewem zemdlonego tegoż księcia, którego w pierwszym momencie już bez życia rozumieli; lecz poznawszy, że w mdłościach tylko zostaje, chustką naprędce największą ranę obwiązali i wzięwszy go na ręce, nieśli aż do wioski, która szczęściem niezbyt daleko jest placu bitwy; do pierwszej chałupy zastukawszy, sta-

raniom gospodyni oddali zemdlonego księcia, a sami pobiegli po felczera. Tymczasem, gdy to wszystko się działo, w innej stronie Bóg pomógł usiłowanym naszym i nieprzyjaciół porażonym zupełnie został. Po skończonej potyczce, nie widząc księcia, leciałem właśnie szukać go, gdym spotkał ułanów naszych, biegnących po felczera. Natychmiast udałem się do księcia i byłem przytomnym, gdy felczer, rany obejrzawszy, osądził, iż żadnej śmiertelnej niema i że strata tylko krwi w obfitości była przyczyną nieustannego mdlenia. Duży już był dzień, gdy księżę do zupełnej wrócił spokojności. Pierwsza myśl jego była o walecznego swego dopytywać się wybawiciela; ani słuchać chciał, co o śmierci jego upewniali ułani i rozesłał ludzi na wszystkie strony, żeby go szukali wszędzie i starali się koniecznie przywieść. Dotąd jeszcze żaden z rozesłanych nie wrócił i księżę pułkownik, nie będąc sam w stanie pisać, kazał mi tymczasem donieść o tem wszystkiem Waszej książęcej Mości, co wypełniwszy, mam honor zostawać z najgłębszem uszanowaniem

W. ks. Mości najniższym sługą.

B*** Major pułku 16-go.

16 lipca 18., w obozie pod Mohilewem“.

Czytelnik, znając już trochę sposób myślenia i czucia przytomnych naówczas osób, łatwo pojmie, jakowe na każdym wrażenie uczynił list majora B***; ja więc tylko dołożę, że Zdzisław, gdy miał odpisywać na ten list, udał się do Malwiny, oświadczając jej z nieśmiałością, że przychodzi o wielką prosić ją łaskę. Malwina, przeczuć trwożliwem zgadła natychmiast, że Zdzisław życzył zapewne widzieć wnuka przywiezionego do Krzewina, aby przy lepszych doktorach i staraniach prędzej do zupełnego przyjść mógł zdrowia. W istocie samej ta była myśl Zdzisława, który przytem może przewidywał w tej bytności wnuka większą dla niego łatwość zbliżenia się do Malwiny i nakłonienia jej do ulubionego Zdzisława projektu. Czy Zdzisław zupełnie dobrze czynił, wymagając rzeczy takiej, która mogła narazić Malwinę na opaczne ludzi sądzenie? tego nie wiem...; czy zupełnie rozważnie czyniła Malwina, zgadzając się na prośby Zdzisława i przyjmując do domu swego tego, o którym cała społeczność wiedziała, że się w niej kocha, tego także nie wiem...; lecz przez dobroć serca do tego kroku była przywiedziona, i że gdyby w skrytości serca swego

była pragnęła przyjazdu księcia Melsztyńskiego, to wtedy pewnie tysiąc przeszkód do tego przyjazdu byłaby znalazła; ale że właśnie w zakątkach tego serca zupełnie przeciwne znajdowała życzenie, śpiesznie na prośby Zdzisława zezwoliła, nie tłumacząc sobie jasno, dlaczego to czyni, ale szczerze rozumiejąc, że w tem zezwoleniu wypełnia jakowys obowiązek.

Żeby czytelnik tak dobrze znał Malwinę, jak ja, to może te dziwaczne uczucia pojąłby i wytłumaczył.

ROZDZIAŁ XXIV

W KTÓRYM NIESPODZIANE NIEKTÓRE ZNAJDUJĄ SIĘ ODMIANY.

Odebrawszy tedy list od dziada, zachęcający go do prędkiego przyjazdu do Krzewina, książę Melsztyński, który nad wszystko tego pragnął, natychmiast drogę przedsięwziął; ale nie mogąc dla słabości tak śpieszno jechać, jakby żądał, raz jeszcze z drogi napisał. W liście swoim do Zdzisława powtórzył niemal to wszystko, cośmy już w piśmie majora B*** czytali i czego ja drugi raz nie będę powtarzać; ale wypiszę tylko szczegóły niektóre, co o walecznym swoim dodawał wyhawicielu, ponieważ o tych nic nie było w liście majora.

Wypis części listu księcia Ludomira Melsztyńskiego do dziada swego.

„Batalja wygrana, utrzymanie się przy życiu, nadzieja nawet oglądania wkrótce tych, co kocham, wszystko to nie może jednak przytłumić trosków, które czuję, w niepewności zostając o losie tego, któremum życie winien. Wszystkie usiłowania czynione, by śladu jakiego dojść o nim, były nadaremne; ciała jego nawet nie znaleziono tam, gdzie ułani upewniają, że śmiertelne odniósł rany. Z opisanja ich, choć niejasno, bo przy zmroku i w tem zamieszaniu ciężko było dokładnie uważać, domyśliłem się, że z piątego mógł być pułku, i lubo pułkownika tego pułku wcale nie znam, napisałem natychmiast do niego o całej tej okoliczności, zaklinając, aby chciał mi donieść, co tylko o tem wiedzieć może. Pułkownik, który już o kilka mil był wymaszerował, odpisał mi najgrzeczniej, we wszystkie szczegóły wchodząc; ale niestety żadnej pocieszającej wiadomości mi nie dał. W samej istocie, w drugim jego szwadronie od dnia potyczki pod Mohilewem brakował żołnierz jeden,

o którym szef nie wie, czy zabitym został, czy się dostał w niewolę. Ten żołnierz przystał był do piątego pułku (dokładał pułkownik) tego dnia, co z pod Warszawy wraz z całą dywizją dostali rozkazy wychodzenia na wojnę, od tego momentu powinności swoje najdokładniej odbywał, we wszystkich okolicznościach zadziwiał nadzwyczajną odwagą; bo nie tylko, że śmierci się nie bał, ale zdawał się życiem gardzić, szukając niebezpieczeństwa, jak inni szukają spokojności. Przytem był ludzki i miłosierny, ale z nikim się nie wdawał i jak tylko służba go nie zatrzymywała, zaraz szukał samotności i oddawał się całkiem smutkowi, którego wyraz ustawnie nosił na twarzy. *Tyle tylko mogę o nim donieść* (kończąc dokładał pułkownik); *nie wiem, czy to jest ten sam, którego księżę tak usilnie szuka; ale radbym, żeby tak było i żebyśmy obydwu odzyskać go mogli, bo to waleczny i niepospolity człowiek*“.

Reszta listu księcia Melsztyńskiego, do dziada jedynie, napełniona była radością, w której serce jego opływało, myśląc, że wkrótce znajdować się będzie w Krzewinie.

W istocie samej tak był tym przyjazdem zajęty i tak tego momentu niecierpliwie żądał, że tem samem odsuwał go, bo chwili nie mając spokojnej, do zdrowia i do sił przyjść nie mógł. Nieraz w życiu te tak gwałtowne namiętności księcia Melsztyńskiego były źródłem zmartwień dla niego. Ale co przynajmniej w tem go ratowało, to, że częste te namiętności równie bywały nietrwałe, jak gwałtowne.

Zdzisław dzielił szczerze i radość i niecierpliwość wnuka swego; ale Malwina spokojną będąc względem życia księcia Melsztyńskiego i wiedząc, że tylko czasu trzeba mu było, żeby do zupełnego przyszedł zdrowia, w skrytości swego żałowała pośpiechu, z którym dała zezwolenie na jego przyjazd do Krzewina; przewidywała znowu niejedno przykre uczucie, a osobiwie stratę tej swobodnej spokojności, którą ledwo była zaczęła odzyskiwać, a która przyjazdem księcia Melsztyńskiego dla wielu przyczyn (bała się) znowu przerwana zostanie. Przytem jednak dobre serce Malwiny napełnione było wdzięcznością dla tego walecznego rycerza, któremu księżę Melsztyński życie był winien, i los nieszczśliwy tego nieznajomego i niepospolitego jestestwa czule zajmował ją często.

Mimo tej rozmaitości w sposobie myślenia i uczucia mieszkańców Krzewina, chwila nadeszła jednak, która nakoniec księcia Melsztyńskiego do niego sprowadziła, i Zdzisław po długich dniach trosków i tę-

sknoty otrzymał pociechę uściskania ukochanego wnuka. Trzeba być oddalonym przez czas jaki od tego, co się kocha, trzeba drzeć o życie w oddaleniu i niepewności, żeby pojąć szczęście widzenia go znowu. Musi być, że radość wielka i szczerza ma coś zarażającego w sobie; bo tego doświadczyła Malwina, i to musiało być przyczyną, że na pierwszym wstępie powrotu Ludomira nie przykre zmieszanie (jak się tego obawiała), ale miłe rozrzewnienie, jakieby przybycie lubego brata sprawić mogło, serce jej napełniło, zastępując w tych pierwszych dniach jakiekolwiek inne uczucia. Księżę Melsztyński, który bez tego długo smutnym być nie mógł, wtedy, gdy tyle przyczyn miał do radości, wesołością tylko oddychał, zapominając nawet trochę owej troski nad losem swego wybawiciela. Przywożąc zaś wiadomość, że pokój wkrótce miał być ogłoszonym i że rozejm już stanął, uciechą najprawdziwszą upoił serca w Krzewinie. Zwyczajna wesołość Wandy, którą powszechnie strapienia ledwo przytłumić mogły, tą wspólną radością podwoiła się jeszcze, i to podobieństwo w humorach między nią a księciem Melsztyńskim, ten stosowny sposób bycia, zbliżył ich do siebie wkrótce. Wanda, szanując zalecenie Malwiny, nie wspomniała księciu o pierwszej bytności jego w Krzewinie; ale inaczej widząc w tem, jak siostra, tegorocznego wesołego, pustego Ludomira, szczerze przekładała w myślach swoich nad owego, któremu w liście swoim do ciotki (przed rokiem pisanym) wymawiała, *że się nadto rzadko śmieje*.

Teraz jednak nieraz śmiać się zaczął i w pierwszych dniach bytności swojej jedynie szukał Wandy (a przynajmniej rozumiał sam, że jedynie jej szukał) dlatego, żeby o Malwinie z nią mówić i wynurzać przed tą młodą zwierzycielką wszystkie troski serca swego. Ale w dość krótkiej chwili coraz mniej będąc strapionym, codzień mniej żalami ją swemi zatrudniał, a codzień więcej nią samą się zajmował. Wanda tą myślą uspokojona, że w nim przyszłego widzi brata, bez żadnej obawy i doświadczenia niewinną poufalość mu okazywała, nie domyślając się nawet, że pod pozorem tej dziecinnej przyjaźni miłość już sercem jej kierowała.

Malwina zaś, domyślniejszą trochę będąc i trochę więcej mając doświadczenia, lepiej, rozumiem, czytała w sercach Ludomira i Wandy, jak może oni sami. Ale upewnić o tem nie mogę; tyle tylko mogę zaręczyć, że nic o tem nie wspomniała siostrze, zostawując może losowi sposobność ułożenia dla nich wszystkich przyszłości, która często szczęśliwszą wtedy bywa, niż kiedy usilnie ludzie chcą nią kierować. Gdy

książę Melsztyński miłości od Malwiny nie wyciągał, każde inne tkliwe uczucie łatwo dla niego w sercu swoim znajdowała i wdzięczność, uprzejmość, przyjaźń, najchętniej mu poświęcała. Te uczucia Zdzisław i ciotka brali za miłość, i widząc, jaka zgoda między młodem panuje społeczeństwem, nie wątpili bynajmniej, że się wszystko podług ich życzeń ułoży. — W istocie (nie podług ich życzeń zupełnie) ale nieźle i bez wielkich trudności rzeczy się układały. Lekkomysłność księcia Melsztyńskiego w tej okoliczności przysłużyć się zdawała: gdyż i on i Wanda, niebardzo zgłębiając uczuć swoich, oboje czuli się szczęśliwymi, a Malwina, wolną czując się od wszelkiego obowiązku względem księcia Melsztyńskiego, oddychała swobodniej. Zupełnie szczęśliwą wprowadzić nie była, ale słodka melancholja, rozrzewnienie, które lada okoliczność wzbudziła, czucia te tkliwe, zastępując radość w jej duszy, stały się zwykłym sposobem jej bycia, który miłym jej był dosyć i nic nie miał dla niej przykrego; owszem smutną jakąś w nim rozkosz znajdowała. Wspomnienia krótkich chwil szczęścia, wspomnienia niejednych dni płaczu, tkliwe niepokoje i przeczucia niewyraźne, utworzyły jej jakowyś gatunek szczęścia, który do romansowej jej imaginacji przypadał i którego z zazdrością (a może i dlatego, że czuła, iż mało ktoby go pojął i rozumiał) głęboko przed drugimi w sercu swoim dochowała.

W inszym stanie dwie osoby, które także w Krzewinie szczęśliwymi się mieniły, były młynarka z Zienkowa i Dżęga, ów cygan, który gdy był się dowiedział, że książę Melsztyński wychodzi na wojnę, prawą wdzięcznością przejęty, dom i dzieci porzuciwszy, przystał był do księcia, nie odstąpił go przez cały czas kampanji, pilnował go z największem staraniem, gdy książę rannym został, i za nim nareszcie przyjechał był do Krzewina, gdzie Malwina, której od czasu kwesty tak dobrze był znajomym, jak najlepiej go przyjęła.

ROZDZIAŁ XXV

ZAKONNIK

W takim stanie były umysły mieszkańców Krzewina, gdy 12-go sierpnia, blisko sześć niedziel po przyjeździe księcia Melsztyńskiego, społeczność będąc zebraną koło śniadania, uśmiech młodości i szczęścia (który zwykle umilał wesołą twarz Wandy) każdemu dnia tego zdał

się być jeszcze bardziej ożywionym, i widząc ilekroć nadszła ciotka, przyrzekając nawet krople z jej apteczki zażywać na chrypkę, Malwina domyśliła się, że jakiś projekcik uwijał się siostrze po głowie.¹ Łatwo doszła, o co jej szło, i żeby wstęp jej dać do wyjawienia tego projektu: „Wandulu, rzekła, czy nie pamiętasz, którego to dnia przypadają imieniny pani kasztelanowej, sąsiadki naszej, i bal, który z okazji tej co rok daje?” Dziś właśnie, z najżywszą wdzięcznością (za to trafne zapytanie) wnet odpowiedziała Wanda, i obracając się do ciotki: *Ciocia pewnie nie zechce uczynić niegrzeczności pani kasztelanowej, nie jadąc na jej bal; wszak prawda ciociu? ale i mnie z sobą weźmiesz i Malwina pojedzie, książę Zdzisław i Ludomir. Są pojazdy, są konie, pójdę wszystko obstalować, tylko późno nie wyjeżdżajmy, abyśmy nic z balu nie straciły.* Wtem Wanda sto razy ściskając ciotkę, nie dała jej nawet sposobności odmówienia czego, i nęcąc walce, które wieczorem spodziewała się tańcować, polecała układy czynić do tej szczęśliwej wyprawy. Malwina, nie chcąc radości psuć siostrze, nie powiedziała zawczasu, że na ten bal jechać nie myśli; lecz po obiedzie, gdy już siadać mieli, z łatwą wymówką bólu głowy oświadczyła, że w domu zostanie. Natychmiast rad nie rad każdy oświadczył chęć zostania takż, ale Malwina dogodziła każdemu, upewniając, że bynajmniej mocno nie czuje się być słabą, i że spoczynku jedynie potrzebując, zaraz się położy i prosi jak najusilniej, aby przejażdżki i projektu balu w niczem nie odmieniać. Tą odpowiedzią przekonani, wkrótce zebrali się wszyscy i pojechali.

Niejeden z czytelników z doświadczenia wie może, że bywają takie dni, w których nie ciało spoczynku, ale dusza spokojności i ciszy gwałtem potrzebuje. W takich dniach wieleby się dało za parę godzin samotności i swobody zupełnej. Wtedy najlepsze nawet obowiązki społeczeństwa trudnemi się wydają. Takim dniem właśnie dwunasty sierpnia był dla Malwiny, i jak zrana projekt balu się urodził, umyśliła zaraz na ten bal nie jechać i z radością przewidywała, że cały wieczór wolny dla siebie mieć będzie; ułożyła sobie użyć tego wieczora na długą samotną przechadzkę i miłą porę w tem przewidywała do ulubionych dumań; jak tylko też turkot pojazdów słyszeć przestała, ka-

¹ Cały ten okres pełen — jak odrazu widoczne — gallicyzmów.

pelusz słomiany pod brodę związawszy i szal wzięwszy na rękę, wyszła oknem.

Od powrotu swego z Warszawy nie była jeszcze kępy odwiedziła, owej kępy, którą z okien jej widać było i gdzie przed rokiem imieniny jej obchodzono. Folwark nowy na pamiątkę dnia tego był na tej kępie wystawiony i babce Alisi w nagrodę chałupy od piorunu spalonej (jak w najpierwszym rozdzialeśmy czytali) Malwina oddać go rozkazała. Rada była tę nową osadę mamki swojej poznać i cieszyła się zawczasu ukontentowaniem, które niespodziane jej przyjście sprawi. Zszedłszy nad brzeg wody, wsiadła w łódź i na drugą stronę przewieźć się kazała. Wieczór był najpiękniejszy; ostatnie promienie zachodzącego słońca różowatym cieniem Wisłę farbowały; wszystkie dniowe hałasy pomału ustawały i cichość wieczorna całą obejmowała krainę; fujarkę słychać było zdaleka, i chłopak, który Malwinę przewoził, wiosłem wodę ruszając, tym jednostajnym szmerem jedynie przerywał powszechne milczenie; tak jak ruch dniowy wkoło siebie ku wieczorowi ustawiający widziała, tak też niepokoje i tęsknoty, które bardziej jak zwykle burzyły jej serce dnia tego, takż z wieczorną ciszą powoli uciszać się zdały. Lżej i swobodniej oddychała.

Kilka gwiazd, które od wschodu dostrzec już można było, oczy Malwiny zwróciły ku temu obszernemu sklepieniu roztoczonemu nad jej głową, i mimowolnie serce jej wzniosło się ku twórcy dziwów, co ją otaczały. Nic tak nie koi, nie łagodzi zranionego umartwieniem lub zburzonego namiętnościami serca, jak zastanowienie się nad cudotwórczymi dziełami Boga. Widząc się otoczonym tylu niepojętymi i powszechnymi łaskami, osobiste przykrości nader drobne zdają się, i wstyd poniekąd niemi się zajmować. Czując się szczupłym tylko ogniwem tego odwiecznego łańcucha wszech rzeczy, człowiek zaczyna mało ważyć mijające zdarzenia, i nadzieja innego życia wszystkie teraźniejszego życia troski zapominać uczy.

Malwina doznała w tej chwili tego uspokajającego uczucia, i rozmyślając, ile w porównaniu zmartwień i przykrości, łaskami, szczęściem (i w tem nawet już życiu) Bóg ją był obdarzył, przedsięwzięła mniej się poddawać troskom i nawykłemu rozrzewnieniu, a bardziej jeszcze jak wprzód być wdzięczną Stwórcy za najmniejsze dobro. Ostatnie

to przedsięwzięcie lepiej niż pierwsze wykonała, o czem wkrótce się przekonamy.

Dopłynąwszy do brzegu, Malwina kazała chłopakowi z łodzią czekać, a sama na ląd gdy wysiadła, ubita ścieżka wprowadziła ją pomiędzy gaiki z leszczyny; dalej, w gęściejszym cieniu drzew wyższych, zbyt byłoby już ciemno, gdyby księżyc łagodnym swym blaskiem nie był oświecił krainy. Pomiedzy gałęzmi olszyn i grabów promienie jego srebrne igrać się zdawały; i drżącym tem światłem dość długo kierowana Malwina doszła nareszcie do owej murawy zielonej, otoczonej wkoło drzewami, *łąką Ludomira* przezwaną. Niespodziany ten widok, czule wrażenie na jej umyśle uczynił i łatwo przełamał owe przedsięwzięcie, by się rozrzewnieniu nie poddawać. Rok cały zniknął z pamięci Malwiny, i zdało jej się, że jeszcze znajduje się w dniu imienin swoich, które Ludomir tak starannie w tem samem miejscu obchodził, w dniu, w którym sama pierwszy raz poznała, jak silnie go kocha. Śpiewania, muzyki, śpiewy wesołe wtedy tam słyhać było, mnóstwo ludzi całą tę przestrzeń napelniało; teraz cichość zupełna panuje i konik polny, skacząc w trawie, czasami się tylko odzywa. Z najpiękniejszych kwiatów uploty od drzewa do drzewa zawieszane ukazywały, że ręka przyjazna te miejsca była przystroiła; dziś ani jednego kwiatu nie widać, kamień tylko z napisem, przez Ludomira położony, niezmiennie jak wtedy leżał; blask księżycy oświecał go zupełnie, powój dziki wkoło niego się obwijał; Malwina go odsunęła, i z rozczuleniem odczytała te wiersze przed rokiem na nim napisane:

Przyjaźń i miłość, łącząc wiernych serc daniny,
Wiły ten uplot w świeżość i wonie bogaty;
Oby tak na dni wszystkie nadobnej Malwiny
Czas, ulatując, sypał pełną dłonią kwiaty!

„Ach! rzekła Malwina, puszczając znów na kamień mnogie gałązki powoju, nie bardzo to życzenie ziściło się, i od tej chwili, gdy wyrte, niejeden kwiat z pasma mego życia czas, ulatując, zabrał już z sobą! Takim bywa los powszechny (osobliwie ku zachodowi życia), że czas, ulatując, kwiaty zabiera, a ciernie natomiast zostawuje“.

„Ale moje dziecię, zbyt jeszcze blisko zorzy życia być się zdajesz, abym mógł wierzyć, żeś już cierni jego doznała“.

Te słowa, miłym wyrzeczone głosem (którem nawet zdawało się Malwinie, że już gdzieś słyszała), przerwały jej dumanie, i obróciwszy się w stronę, skąd głos pochodził, postrzegła na obalonem drzewie siedzącego starca, którego cieniem gałęzi zakrytego nie była zrazu widziała. Teraz przy promieniu księżyca, padającym na jego sędziwą twarz, siwą brodę, kaptur, habit, krzyżyk na piersiach i biały kij w rękę, dokładnie rozeznąć mogła. Malwina osądziła go pustelnikiem, i łagodną jego mową zachęcona, ośmieliła się go zapytać, skąd jest, gdzie idzie, jakim trafem w tem odludnem miejscu się znajduje? „Właśnie toż same zapytanie chciałem ci uczynić, moje dziecko, odpowiedział staruszek, i przytem, jeśli to bez natrętności stać się może, dowiedzieć się, czem ten kamień z tym napisem, coś dopiero odczytała, tyle ciebie zajmować może? Drugą już jesteś osobą, którą widzę, że drogie jakieś wspomnienie do niego przyłącza; i mnie ten kamień nader drogim stać się może, gdyż niestety boję się, że (podług jego życzeń) wkrótce zwłoki mego biednego przyjaciela pod nim spoczywać będą“. „Głos twój, mój ojczu, rzekła, tak mi zdaje się być znajomym, że wątpię nie mogę, żem cię już gdzieś widziała. Chciej mnie w tem oświecić i ciekawość moją uspokoić względem twego przyjaciela, o losie którego kilka słów, przez ciebie wyrzeczonych, czułem mnie zajęciem napełniły“.

„Co do mnie, odpowiedział staruszek, wątpię, bym ci kiedy mógł już być znajomym. Na wielkim, gdzie rozumiem że żyjesz, świecie, nie miałaś okazji ubogiego spotkać mnicha i pewnie nigdy nie słyszała o starym Ezechjelu! „Ach! i owszem“, z radością krzyknęła Malwina, wdzięcznie przypominając sobie owego zakonnika, którego w czasie kwesty w klasztorze Bazyljanów poznała była, i którego pierzaste goździki i łagodna pobożność tak w jej pamięci utkwily. W istocie ten to sam był, i gdy Malwina powiedziała mu o sobie, kto jest, staruszek mocno się ucieszył, znajdując w niej też samą kwestarkę, która wówczas ojcowską jakąś przychylność w sercu jego była wzbudziła. Na obalonem drzewie, gdzie mnich wprzód samotnie dumał, oboje zasiedli i na powtórne Malwiny prośby, o zdarzeniach swoich i swego przyjaciela tak mówić zaczęli:

„W ciągu przeszłej zimy, krótko po tym czasie, gdyś kwestując i w naszym była klasztorze, moje dziecko, w głębokiej Rusi w zgro-

madzeniu takż naszym umarł przełożony, i z rozkazu Oficjała¹ na zastąpienia jego mnie wyznaczono. W naszym stanie, jak wiesz, wymówek nie przyjmują i pędkie tylko posłuszeństwo uchodzi; niedługom się więc bawił pakowaniem mego tłomoczka; habit, co noszę, książka do pacierza, nasienia goździków, mały krzyżyk i kij białe cały mój majątek składały; co wzięwszy z sobą, puściłem się w drogę. Ale w sercu nosząc zupełne oddanie się woli Boga, na Rusi, jak i w Warszawie znalazłem! spokojność duszy, ten skarb drogi, któren wszelkie szczęścia zastąpić może. Monaster nasz w dzikim ale pięknem nad Dnieprem jest położeniu. Zgromadzenie z ludzi prostych i dobrych składa się. Skoro wiosna pozwoliła, goździki swoim posiał; zeszły pięknie, słońce i tam grzeje, ziemia i tam rodzi, Bóg tam dobry.— Ciche i spokojne dnię pędząc, sądziłem, że już do śmierci nic jednostajności ich nie zmieni, gdy odgłos wojny aż w nasze dzikie zaszedł lasy. Niedawno pierwszą wzmiankę o niejśmy słyszeli, alic wkrótce mnogie rotę w te zaszyły strony; z krajem okolicznym niestety tak się działo, jak zwykle podczas wojny dzieje się; ale nasz klasztor przez swoje ubóstwo i odludne położenie uszedł przecie napadów i rabunków, choć blisko nas, bo o pół mili pod Mohilewem, stoczona była potyczka między naszym a nieprzyjacielskiem wojskiem“. Na to słowo „pod Mohilewem“, skąd były w czasie wojny datowane listy majora B*** i księcia Melsztyńskiego, Malwina jeszcze chciwiej przysłuchiwała się zakonnikowi, który tak dalej mówił:

„Nie mogąc się bić za Ojczyznę, chciałem przynajmniej w czemkolwiek stać się użytecznym moim współziomkom, i sądząc, że po batalji niejeden może ranny na placu pozostał, wzięłem z sobą, com mógł zebrać lekarstw i płótna, i udałem się ku tej stronie, kędy sądząc podług huku armat, bitwa stoczyć się miała. Alem stary i nieprędko zajść mogłem; noc już była zupełna, gdym się z boru wydobył. Księżyc jasno świecił, postrzegłem pod lasem leżących żołnierzy; byli to i kozacy i nasi ułani; żadnego przy życiu nie zastawszy, nie zatrzymałem się, i dalej idąc o kilka kroków naszedłem leżącego młodego ułana, który, gdym bliżej się przypatrzył, tchu jeszcze cokolwiek mieć zdawał się. Wlałem mu krople tęgic w gardło, i utamowawszy naprędce krew, co z mnogich ran tracił, przeniosłem go z wielką ciężkością aż do pustej chaty, com idąc w borze był ujrzał. W tej opuszczonej zagro-

¹ oficjał — godność duchowna (namiestnik biskupi dla pewnych spraw); tu prawdopodobnie użyła autorka tego wyrazu w znaczeniu prowincjała.

dzie wózek zaprzężony mizernym koniem stał, znać tam zapomniany, i prawdziwym darem Opatrzności stał mi się. Usłałem go trawą i gałęzmi i po wielu trudach i pracach dowiozłem przecie na nim rannego aż do naszego klasztoru“.

Malwina zaczęła się domyslać, że ten, o kim mówił staruszek, mógł być ten sam, którego księcia Melsztyńskiego od kozaków był obronił; ale chcąc jak najprędzej przeświadczyć się o tem, nie przerywała zakonnikowi, który mowę swoją tak ciągnął: „Gdym do celi przeniósł mego rannego, rozumiałem, że już martwe tylko zwłoki w ręku moich trzymam; lecz po opatrzeniu ran wszystkich nieco silniejszem oddechaniem znak dał przecie, że jeszcze żyje. Ten promyk nadziei serce moje radością nappełnił; bo z pierwszego spojrzenia, jakem tylko go spostrzegł, zaraz ten waleczny młodzieniec czułe politowanie we mnie wzbudzał, politowanie, które potem w największą się przyjaźń zamieniło. Przez tydzień w niebezpieczeństwie życia zostawał, i dziesiątego dnia dopiero wróciwszy do przytomności, zaczął wszystko rozeznawać i dowiedział się, jakim trafem i gdzie się znajduje. W wyrazach najszlachetniejszych dziękując mi, o sobie tyle mi tylko zrazu powiedział, że będąc w wojsku prostym żołnierzem, zapędził się był za kozakami, którzy widząc go niemal samego, otoczyli; bronił im się długo, lecz mnogości nareszcie nie mogąc się oprzeć, mocno raniony padł, i sądzi, że za umarłego wraz z drugimi musiał być zostawionym. Rana, którą miał nad okiem, przez prawą brew będąc ciętym, najdłużej zgoić się nie chciała. Wyszedłszy z niebezpieczeństwa, ze cztery niedziel chorował jeszcze, i ten przeciąg czasu dość był długi, bym się na wieki do niego przywiązał. Widząc go ustawnie, rozmawiając z nim codziennie, poznałem w nim wyniosłą i szlachetną duszę, serce aż nadto może tkliwe i cnoty, które zwykle prostoty są tylko udziałem, złączone z okrasą, jaką najlepsze tylko dać może wychowanie. Póki żyć będę, póty nie zapomnę godzin z nim przepędzonych. Furta naszego ogrodu wychodzi w las bukowy, który głęboką brzeży dolinę. Tam gdzieś pomiędzy drzewami urwy skaliste przez mech się przedzierają. Jeden z tych głazów nad przepaścią nachylony ulubionem był siedliskiem mego przyjaciela, i gdy słabość dozwoliła już mu wychodzić, tam go nieraz znajdowałem siedzącego w zamyśleniu i wzrokiem goniącego pęd potoku, co pod jego nogami w głębokiej leciał dolinie. Ja wtedy siadałem koło niego i godziny mijały niepostrzeżone w rozmowach

swobodnych. Raz, pamiętam, rzekł do mnie: „Lubię na ten patrzeć potok, obraz życia ludzkiego w nim widzę; patrz, jak na przemianę po miękiej murawie i po ostrych płynie kamieniach, równie jak i my różne spotyka krainy, czasem kwitnące pola, częściej smutne pustynie, a jedne i drugie prowadzą go do tych wód bezdennych i niezgłębionych, gdzie ginie na wieki“.¹

„Podobne tej rozmowie wszystkie wyrazy mego młodego przyjaciela tchnęły zawsze cieniem wewnętrznego smutku, który nawet mimowolnie w oczach jego się malował. Przywiązawszy się do niego i przez starania którym mu poświęcał, i przez wdzięczność tak czułą, którą codziennie w sercu jego postrzegałem, żywo żądałem przyczyn jego zmartwień i szczegółów wszelkich, życia jego dotyczących się, dowiedzieć. I tak, utrzymujesz mnie zawsze (dnia jednego rzekłem mu), iż inszego jak prostego żołnierza nie masz stanu. Wiem, żeś tym był dotąd; ale wychowanie niepospolite i wyniosłość w ułożeniu aż nadto wyraźnie twierdzą, że to nie może być jedynem twojem przeznaczeniem. Pozwól mi więc rozumieć, że los twój okrywasz tajemną zasłoną, i nie dziw się, że moja przyjaźń podnieść by ją rada. — Nie mam przyczyny tajenia się przed tobą (odpowiedział mi na to) i ojcowska twoja przyjaźń, której już tyle mam dowodów, zaręcza mi, że nie bez tkliwości słuchać będziesz opisu życia i zdarzeń jestestwa, nader mało znaczącego i które (wyjawszy jedno serce litościwe) nikogo w świecie nie obchodzi. To powiedziawszy, dalej o sobie tak mówić zaczął:

Historja nieznanomego.

W najpierwszem dzieciństwie od własnych opuszczony rodziców, nie znając ich nigdy i nie wiedząc nawet, czy mam prawo kogokolwiek tym lubym nazywać wyrazem, dostałem się w opiekę, rzec mogę, drugiej matce, której czułość i starania zastąpiły mi tę, którą los mi był odebrał. Jej to sercu litościwemu winienem, że żyję, ona mnie w dzieciństwie słabowitego nieraz od śmierci wyrwała, jej to łagodnym prze-

¹ *na wieki*. Ustęp ten (dumania Ludomira) jest refleksem słynnego ustępu z *Die Leiden*, w którym Werter mówi o naturze jako o wiecznie przeżywającym potworze. Autorka albo nie zrozumiała istoty myśli, tkwiącej w pełnych pesymizmu refleksjach Werterowskich, albo świadomie i celowo pozbawiła Ludomira tego rysu, który u kochanka Lotty jest najgłębszym, ale który też powoduje u niego rozstrój, wiedący go do samobójstwa. Dodajmy, że i inni w romansach polskich na obraz i podobieństwo Wertera utworzeni kochankowie filozofją jego się nie przejmą.

strogom, szlachetnym radom winienem cuoty, jeśli jakie we mnie znaleźć można, i ona jedna na świecie dotąd mnie kocha. U stóp Karpatów w odludnej i oddalonej wsi mieszkając, tam mnie wychowała; między lasami i skałami pierwszą młodość przepędził. Miłość tej matki była mojem szczęściem, czytanie zatrudnieniem, a samotne błaganie po dzikich okolicach naszego siedliska jedyną zabawą. Wilki i niedźwiedzie w głębokich ścigając parowach, wezbrane potoki, bagniste doły, wąskie nad przepaściami drożyny wstrzymać mię nie mogły, i nieraz za zwierzem się zagoniwszy, w polu nocować musiałem. Takiemu prawie z dzieciństwa prowadzonemu życiu winienem podobno zahartowane zdrowie i tę zręczność i odwagę, do których się przyznaję, nie znajdując w nich żadnej zalety.

Ale to dzikie wychowanie, tyle chwil przepędzonych wśród odludnych puszczy, tyle godzin, gdzie nic koło siebie nie widział prócz pustyni i samotności, wrażenia mocne na młodym moim uczyniły umyśle i pomnożyły może ten popęd niezwrócony do melancholji, którego prócz tego z pierwszym tchem życia z sobą przyniosłem.

Czuła moja opiekunka, bojąc się, aby ta zwykła melancholja w dzikość się nie zmieniła, umyśliła ulubionej mnie oderwać samotności i nie mogła lepszego do tego użyć sposobu, jak ku sobie baczność moją zwrócić. Wiek mój i zdrowie, rzekła mi raz, odejmują mi użycie wielu zatrudnień, i potrzebując roztargnienia, spodziewam się go w twojem znaleźć społeczeństwie. Te słowa najdroższym stały mi się rozkazem, i pożegnawszy puszcze ukochane, wszystkie dni moje odtąd matce poświęciłem; nie odstąpić jej, pilnować, rozrywać, jedynem i najczulszem mojem było staraniem. Przy jej łagodnych rozmowach surowość moich myśli i wyrazów ułagodziłem. Dla niej czytanie poezji i literatury różnych języków przydałem do ksiąg klasycznych, którem dotąd tylko czytywałem. Dla jej zabawy do zarzuconej wróciłem muzyki, i co tylko umiem, czem tylko jestem, wszystko jej jedynie winienem.

Przez wiele lat (i wtedy szczęśliwym się mieniłem) nie wątpiłem, że więzy natury, równie jak czułość, prawa do jej serca mi dają... Alić dnia jednego po długich wahaniach wyznała mi, że matką moją nie jest... To wyznanie niestety wszystkie czucia moje wzburzyło. Cios ten głębiej może niżby był powinien duszę moją zranił... Niemniej kochałem tę, którą dotąd własną rozumiałem matką; owszem wdzięczność w sercu mojem jeszcze się pomnożyła. Ale rozumiejąc, że

szlachetniejszemu jestestwu życie winien, znaleźć się raptownie celem jedynie miłosierdzia, bez stanu, bez imienia, odrzuconym od społeczeństwa... będąc niewinnym i czując w sobie chęć i sposobność do działania, być odsuniętym od wszystkiego w świecie przez tę cechę niesłuszną, która gdy nie wzgardę, to upokarzającą litość tylko wzbudza, to wszystko (mówił) utworzyło drażliwe i okropne myśli, które wkręcając się coraz bardziej w mojem sercu, wpędziły naostatek mnie już nie w melancholję, ale w dziki i ponury smutek. Widząc, ilem tem martwił tę, która matczynem czuciem mnie kochała, chciałem, alem nie mógł, utaić jej tęsknoty mojej duszy i nareszcie wolałem się od niej oderwać, niżli smucić ją bezustanku. Ona sama, rozumiejąc, że zmiana miejsc może mnie rozerwać potrafi, usilnie na tę podróż namawiała, i blisko teraz półtora roku mija, gdy pierwszy raz, rzucając siedlisko, gdzie w dzieciństwie przytulenie, a w opuszczeniu podporę był znalazł i przyjaźń, bez celu i nadziei w świat się puściłem. Co w przeciągu czasu od tej pory mi się wydarzyło, gdy już nie mnie jednego dotyczy się, ale i o innych osobach mówićbym musiał, daruj (rzekł) mój przyjacielu, że o tem zamilknę; tyle tylko dołożę, że tej wiosny, za wybuchnieniem wojny zbieg okoliczności i chwila jedna (chwila najokropniejsza z całego mego życia) popchnęły mnie jakby mimowolnie do przystania za prostego żołnierza w naszym wojsku do 5 pułku ułanów. W tym pułku całą odbyłem kampanję. Nie dbając o życie niewiele mam zalety, jeśli się bił walecznie; trudy i niebezpieczeństwa ulgę jakąś zdawały się przynosić moim niepokojom, a myśl, że krew przynajmniej wraz z drugimi za Ojczyznę wylewać mi wolno, duszy mojej dogadzała. Wtedy w zbyt może nierozważnem, ale Bóg jeden wie, jeśli nie w szlachetnem uniesieniu, zapędziłem się za kozakami w małej nadto liczbie; Opatrzność zrządziła, że mogłem wypełnić przecie zamiar, co mnie do tego był przyprowadził; i tam znalazłbym był koniec wszystkim moim cierpieniom, gdyby twoja litość i starania nie były mnie raz jeszcze do życia przywróciły. — Tak zakończył o sobie mówić młody mój przyjaciel i w zwykłe znowu wpadł zamyślenie.

„Łatwo pojdziesz (dalej rzekł zakonnik do Malwiny), że po tem prostem i szczerem opisanu uczuć swoich bardziej mnie jeszcze ku sobie zniewolił; rozrzewniał mnie stan jego opuszczony i przymioty jego (które w dziennem pożyciu najlepiej postrzec się dają) tak mi go drogim uczyniły, że gdy przyszło z nim się rozstawać, nie mogłem na

sobie przemoc słabego jeszcze i ledwo śmierci wyrwanego w tak długą drogę samego puszczać; gdyż aż pod Karpaty udać się miał, dla zaspokojenia troskliwej czułości matki, która wiedząc go rannym, najusilniej powrotu jego żądała. Umyśliłem aż na miejsce go odwiedzić i zostawiwszy na ten krótki czas dozór klasztoru doświadczonemu jednemu z naszych braci, z moim młodym przyjacielem puściłem się w drogę; pierwszych dni dosyć dobrze podróż wytrzymywał, ale onegdaj, tu dojeżdżając, nie wiem czy z upału, czy z innej przyczyny, gorączka znowu mu się wróciła, rana nad okiem znowu się otworzyła i tak mi zasłabł, że nie mogąc już do poczty dojechać, do tutejszego folwarku musiałem go kazać przywieźć. Od wczorajszego wieczora, gorączka bardziej się wzmogła; sądziłem go znowu w niebezpieczeństwie, posłałem natychmiast do najbliższego miasta po doktora. Strwożonym będąc najbardziej tem, że sam mocno słabym czuć się musi, kiedy wczoraj list do matki z przyłączonym pakietem w przypadku śmierci przesłać mi zalecił, a że zwłoki jego tu pod tym kamieniem, którego najszczególniej mi opisał, złożyć każe, najsolenniejsz przyrzec musiałem. Dziś pierwszy raz, znużony kilku bezsennymi nocami, usnął przecie ku wieczorowi, a ja zmęczony niespokojnością i niewczasem, wyszedłem był dla odetchnienia. Nie wiedząc sam, gdzie idę, zaszedłem aż do tej łąki, którą z opisanego przyjaciela zarazem poznałem; znalazłem kamień z napisem, i siadłszy na tem obalonem drzewie, smutnie rozmyślałem, jak mnie staremu przyjdzie przeżyć w kwiecie młodości przyjaciela, gdy widok twój niespodziany, jak przecucie jakieś niespodziewanego szczęścia, raptownie mi się ukazał i pokrzepił umysł mój strapiony. — Otóż teraz wszystko o mnie i o moim biednym wiesz przyjacielu (dołożył staruszek), daruj, jeśli zbyt może długo zatrudniał cię opisaniami drobnych szczegółów, co mnie tylko zajmować mogą; aleś sama tego wymagała, a teraz pozwól, bym cię opuścił i wrócił do mego chorego“.

Malwina już prawie przekonana, że ów chory, cel starań najtkliwszych zakonnika, był ten sam młodzieniec, któremu księżę Mel-sztyński życie był winien, oświadczyła starcowi, ile powieść jego wzbudziła w niej zajęcia, czule dzięki czyniąc mu za okazaną jej ufność w opisywaniu zdarzeń, dotyczących się przyjaciela, który choć jej nie był znajomym, niecił już w jej duszy przychylności i litości uczucia. Dla późnej już pory do folwarku iść nie mogąc, „żegnam cię mój ojcie

(rzekła), jutro wrócę w towarzystwie kilku osób, które niezawodnie tyle jak ja rade będą poznać ciebie i twego przyjaciela; ale zawczasu nic mu nie mów; oczekiwanie cudzych osób mogłoby przykre na nim uczynić wrażenie“. Staruszek przyrzekł Malwinie, iż o tem zamilczy, i zostawszy się z chęcią widzenia się nazajutrz, w przeciwną udali się stronę. — Zakonnik wnet zniknął w krzakach, a Malwina, idąc znowu ścieżką pomiędzy łąki i drzewa, stanęła nareszcie nad łąką, gdzie chłopak na nią czekając, głęboko był zasnął. Szczęściem nie zbłądziła, gdyż to mogło nastąpić, tę całą drogę przebiegłszy tak myślami zajęta, iż nic nie uważała, którędy idzie. Wróciwszy do Krzewina, niecierpliwie balujących wyglądała, by im jak najprędzej wiadomości swoich udzielić; ale nie mogąc się doczekać, położyła się nareszcie, rozumiejąc, że tem przyspieszy porę wstawania. Tysiączne myśli, obrazy, wspomnienia i dochodzenia po głowie jej się snuły, a gdy ociężałe powieki przy-
mknęły się nareszcie, wszystkie te marzenia niknące i coraz mniej wyraźne, w takowy sen się zamieniły:

Zdało się Malwinie, jakoby raptownie na błonia Wilanowa przeniesioną była i znajdowała się wpośród tłumu i świetności turniejów. Plac zapasów ludem napelniony, grono dam, odgłos trąb, wszystko jak na jawie wyobrażało się; lecz wkrótce myśli snem płatane, rycerza o czarnej zbroi ukazały leżącego i we krwi zbroczonego; dźwięk trąb w głos organów się zamienił, i zamiast tłumu turniejów w ciemnej katedrze Malwina się znalazła. Mająca ustawnie chęć ratowania rycerza o czarnej zbroi, spotkała niespodzianie Dżęgę cygana, który wiodąc ją po różnych i długich gankach, przyprowadził nareszcie na miejsce, gdzie ujrzała rycerza tego przy grobie opartego; przyłbicę odsłonił, i Malwina poznała w nim księcia Melsztyńskiego, a raczej to widmo okropne, którego widok tyle ją przeraził w ogrodzie wilanowskim. Przejęta okropnością, chciała jednak przybliżyć się do rycerza; lecz gdy już do niego dojść miała, pożar ogromny kościół oświecił, i krzyki *wojna, wojna* zewsząd dały się słyszeć. Potem zmrok wszystko okrył i Malwina, nie słysząc, znalazła się przeniesioną na łąkę *Ludomira*, gdzie niebo pogodne i czyste powietrze zdało jej się nowem napelniać ją życiem. Łąka, jak w dniu jej imienin, kwiatami była ustrojona, łagodna muzyka w powietrzu się rozlegała i przy kamieniu z napisem „Malwina“ we śnie swoim ujrzała niewiastę w przejrzyste odzianą szaty, która dwa jednakowe trzymała w ręku wieńce. Dała je Malwinie, i gdy Malwina

raz jeszcze chciała spojrzeć na tę anielską postać, już była znikła, i na jej miejscu postać Wandy tylko jej się ukazała, z tym wdzięcznym uśmiechem młodości i szczęścia, który ją tak przyjemną czynił.¹

Wtem Malwina się obudziła. Sen ów takie był uczynił na jej umyśle wrażenie, iż wątpiła na chwilę, czy te marzenia nie były istotą prawdziwą. Szukała na rękę swoich owych dwóch pięknych wieńców, przez białą zawieszonych niewiastę; lecz nie znalazłszy ich, przetarła lepiej oczy i przekonała się nareszcie, że wszystkie obrazy, co przez godzin kilka ją miały, skutkiem tylko były wspomnień i życzeń poniekąd może żywej imaginacji, a promienie słońca jasno bijące w jej okna, dowiodły, że długo spać musiała. Spiesznie więc wstała w nadziei, że reszta społeczeństwa (choć po późnym balu) także powstawać musiała.

ROZDZIAŁ XXVI

JEDNAK SERCE RZADKO SIĘ MYLI

Życzenia Malwiny nie były zawiedzionemi; bo najleniwszych nawet ze społeczeństwa już przy śniadaniu zastała, i zdarzenia jej z przeszłego wieczora spiesznie opowiedziane powszechne zajęcie i ciekawość wzbudziły. Ksiązę Melsztyński, w tym nieznajomym chorym nieznanego swego spodziewając się znaleźć wybawiciela, najgoręcej pragnął poznać go; a ponieważ nikogo wtedy nie było, coby także tego nie życzył, zaraz po śniadaniu wszyscy się przewieźli i ku folwarkowi udali. Ludzie domowi (między którymi Dżęgę i młynarkę z Zienkowa liczono), widząc całą społeczność tak żywo tem zdarzeniem zajętą, ciekawością pobudzeni, z swojej strony także na kępę poszli, nie mogąc obojętnie czekać rozwinięcia trafu, który tyle panów ich zdawał się obchodzić.

Gdy już blisko byli folwarku, Malwina, chcąc zakonnika ostrzec wprzód i lekszą będąc od drugich, naprzód wybiegła. Doszedłszy do domu, nierozmyślnie (jak się jej czasem trafiło) otworzyła pierwsze drzwi co napadła, myśląc, że do gospodyni trafi, i nikogo nie widząc

¹ Motyw snu wróżebnego znany był w romansie przed *Malwiną*. Spotykamy się z nim u Richardsona, w romansie sensacyjnym jest on motywem ulubionym (u Lewisa, p. Radcliffe i i.) Genezę snu stara się ks. Wirtemberska uzasadnić przeżyciami i życzeniami tajnemi bohaterki, na co też sama niżej zwraca uwagę.

w tej izbie, weszła do drugiej, pytając się: *czy niema tu babki Alisi?* Na te słowa ktoś się odezwał: *o Boże! to Malwina...* Co Malwina usłyszawszy, obróciła się w stronę, skąd głos zbyt jej znajomy pochodził, i spojrzawszy w zakąt ciemniejszy pokoju, krzyknęła i bez zmysłów padła zemdlona. W ten moment zakonnik jednemi drzwiami, a ci, co byli z Krzewina razem z Malwiną przyszl, na krzyk jej nadbiegli. Niełatwo mi będzie pomieścić w jednym obrazie wszystkie naówczas zebrane osoby. Osłupienie i przestрах wyrażał się na twarzach, gdy wchodząc do pokoju tego, z jednej strony ujrzeni Malwinę bez zmysłów leżącą, a z drugiej chorego młodzieńca, którego życie zdawało się już opuszczać i na którego twarzy (choć cieniem śmierci już okrytej) księżę Melsztyński własny swój obraz wrytym znalazł. Przytomni tej scenie nieprędko byliby przestali dziwić się, gdyby i Malwina i ten biedny młodzieniec prędkiego nie byli potrzebowali ratunku. Malwinę na drugą stronę domu przeniesiono, gdzie ciotka i siostra za nią poszły i nie odstąpiły pęty, póki zupełnie do siebie nie przyszła. Młodzieniec zaś, żywy ten obraz księcia Melsztyńskiego, w którym on wybawiciela swego znaleźć spodziewał się, przyjaciel ten najdroższy starego Ezechjela, i ten, którego widok Malwinę tyle był przeraził, stał się celem zajęcia powszechnego. Doktor przywołany osądził, że puszczenie krwi jedynie z tych mdłości wybawić go może. Księżę Melsztyński pobiegł po felczera, Ezechjel doświadczonemi kroplami starał się ocucić chorego, a Dżęga i młynarka rękaw od sukni i od koszuli zaczęli przecinać, by krew prędzej puścić można było; lecz gdy znak, którego chory miał na lewem ramieniu raptem ujrzeni, oboje zbledli, zmieszali się niesłuchanie, i jak w obłąkaniu z pokoju uciekli. Znak ten był tak niepospolity, że nie można go było nie postrzec; był to płomieńczyk dosyć duży i co z kształtu jak z farby prawdziwy płomień wyrażał. Księżę Melsztyński, wracający z felczere, posłał go najprędzej do chorego, gdyż sam niemal gwałtem zatrzymany został przez Dżęgę i przez młynarkę, którzy padłszy mu do nóg, zaklęli na wszystkie najświętsze obowiązki, aby natychmiast raczył ich wysłuchać i przytem obiecał swoje i dziada swego przebaczenie i darowanie winy zatajonej do tej chwili, którą teraz niezwłocznie chcą wyjawic. Księżę Melsztyński niecierpliwie życząc wracać do chorego, ale mocno jednak ciekawy wiedzieć, co mogło przynaglać tak gwałtownie Dżęgę i młynarkę do zatrzymania go w tym razie, zawołał dziada, i przełożywszy mu prośby tych dwóch osób, łatwo od Zdzisława

otrzymał dla nich obietnicę darowania im winy, jeśli jaką przeciw niemu mieć się czują; co usłyszawszy, przedsięwzięli natychmast wytłumaczyć się z tajemnicy, która dawno im na sumieniu ciążyła, i nieraz wszelką im spokojność truiła. Dżęga więc mający odwagi, pierwszy też w następujący sposób mówić zaczął.

Historja cygana przez niego samego książętom Zdzisławowi i Ludomirowi opowiadana.

„Człowiek temu nie jest winien, że nieba tu lub tam przyjść na świat mu każą; wszak prawda, kniaziu Melsztyński? mnie los wyznaczył, zem się na Pokuciu wpośród obozu cyganów urodził, zem cygańskie wychowanie dostał i przez całą młodość cygańskie życie prowadził. Dżęgi rodzice byli cyganami, Dżęgi kochanka była cyganką, osądzicie, kniazie, jakby też Dżęga mógł być, czem innem jak cyganem? ale potem o tem, teraz wróćmy się do tego, co bym rad jak najprędzej powiedzieć, a co mi jednak tak ciężko jest coś wymówić. — No mówże, a kończ już prędzej, rzekli razem Zdzisławi i wnuk jego zniecierpliwieni długim bajaniem cygana, który zlekniiony, jak mógł już najkrócej starał się dokończyć resztę.

Jednego wieczora (zaczął tedy mówić dalej) cały nasz obóz rozrzuconym będąc w głębi puszczy, która ciągnie się ponad Dniestrem na granicy tureckiej, kilku z naszych poszło na wędrowkę i Dżęga poszedł z nimi. Z mileśmy uszli i nareszcie na brzegu rozrzedzającej się puszczy doszliśmy do dąbrowy mniej dzikiej, gdzie trawa usłaną była jagodami. — Ach! cóż nam do tych jagód? (niemal z gniewem zawołał książę Melsztyński) do rzeczy już dojdź i nie zatrzymuj nas twemi niepotrzebnymi bajami. — Ach! daruj, kniaziu łaskawy; ale te jagody były początkiem wszystkiego. Poziomki to były, ale cośmy lepszego przy nich w tej dąbrowie znaleźli, oto dzieciątko kieby anioła, które na murawie się tarzało i igrając niewinnie jagody zbierało. Nic piękniejszego w życiu swoim Dżęga nie widział jak to miluchne dzieciątko. Zamiast bania się naszych urwisioskich figur przybiegł chętnie do nas, i gdy kapitan nasz wziął go na kolana, ten aniołek zaczął się z długimi jego wąsami bawić, uśmiechając się i głaszcząc go pod brodę, co kapitana tak za serce ujęło, że umyślił przywłaszczyć sobie to dziecko, i to mi powiedziałwszy, natychmiast skutecznił. Teraz Dżęga czuje, że zgadzać się na tę kradzież było występkiem niegodziwym, wtedy nawet Dżęga domyślił się tego poniekąd; ale kapitana szanując

od dzieciństwa, nie śmiałem mu się przeciwiać, a przytem dzieciątko tak było miluchne, że mi się cieszył niesłuchanie (przynajmniej tak mi się wydawało), że przy nas zostanie; i tak gdy kapitan kazał mi go wziąć na ręce i nieść za sobą, najchętniej to uczyniłem.¹ Tyle tylko od dziecka mogliśmy się dowiedzieć (które niewyraźnie mówiło jeszcze), że Ludomirem go zwali. Trzeci rok mieć się zdawał; zrazu płakał nieco, ale nim do obozuśmy wrócili, jagody i kwiateczki mu zbierając, tak na przyjaźń jegom zasłużył, że mocno Dżegę pokochał i wkrótce do naszego cygańskiego życia się przyuczył. Tej samej nocy obożeśmy zebrali i poszli w głąb kraju; wędrowaliśmy tu i owdzie na granicy tureckiej, i Ludomirek zawsze z nami, który opalony, osmolony jak i my, jednak nigdy zupełnie na cyganeczka nie wyglądał. Nieraz w długich marszach naszych sadzałem go na swego konia, i wtedy dzieciątko było bardzo szczęśliwe. Szczebiotaniem swoim bawił mnie i trudów i długości czasu zapominałem. Takeśmy Bukowinę i część Węgrów przeszli i nareszcie w górach karpackich stanęli; tam kapitan zachorowawszy, odpoczynku potrzebował. Zaraźliwa choroba w naszym

¹ Porwanie dziecka (a także jednego z bliźniąt) jest motywem ogólnie-europejskim. Z natury rzeczy wypływa z niego motyw nieznanego pochodzenia. Porywającymi często są cyganie. Dla księżnej Marji głównym źródłem pomysłu była opera Książnina *Cyganie*, „której treścią jest zwrócenie przez cygankę dwojga dzieci porwanych rodzicom przed laty kilkunastu. Opera ta nieraz była w Puławach przedstawiana i niepodobieństwem jest prawie, ażeby ks. Marja jej nie znała. Co więcej, możeby należało przypuszczać, iż ks. Wirtemberska z pewnym rozmysłem pomysł ten do swej powieści wprowadziła, zwłaszcza gdy zważymy, że te same miejscowości (Pokucie, Podole, Ukraina) są wspomniane zarówno w *Cyganach*, jak i w *Malwinie*, że toż samo imię „Dżega“ spotyka się w obu utworach, z tą jedynie różnicą, iż w *Cyganach* nosi je porwany młodzieniec, a w *Malwinie* cygan dziecię porywający. Taki zbieg szczegółowych odcieni pomysłu przypadkowym chyba być nie może”. (Chmielowski, op. c., s. 18). W *La vie de Marianne* ofiarą napadu zbójckiego staje się Marjanna. Opiekunkę i drugą matkę znachodzi w pewnej damie, siostrze plebana, osobie zacnej, rozumnej, pełnej oglady, cnotliwej. Zczasem, po różnych perypetjach, odnajduje swą rodzinę i oddaje rękę zakochanemu w niej panu de Valville, nie jako sierota nieznanego pochodzenia, lecz jako wnuczka znakomitego magnata. Poznanie ułatwia znanie. Motyw ten nieobcy był także komedji francuskiej. U Beaumarchais'go w *Weselu Figara* bohater okazuje się również dzieckiem porwanem ongiś przez cyganów (dowodem znamie), jakkolwiek w *Liście o upadku i krytyce Cyrulika sewilskiego* wyśmiał autor pomysł podobny jako zwietrzały i melodramatyczny. W Polsce w dobie *Malwiny* nie trącił on jeszcze myślką, a widocznie i w Anglii nie spospolitował się do cna, skoro W. Scott posłużył się nim jako motywem przewodnim w *Guy Mannering* (1815).

wypełniałam, com przy śmierci matce ich była przyrzekła, a to było, że staranie o nich najpilniejsze mieć będę, i że nie opuszczę ich poty, póki ci, co do tego prawo mieć będą, nie odezwą się. Blisko do trzech lat te dzieci wychowałam, nie mogąc inaczej ich rozeznawać jak wiążąc im wstążki różnofarbne na rękę; bo ten znak w kształcie płomieńczyka, co jeden z nich miał na ramieniu, pod suknią schowany nie mógł go od brata rozróżnić.

„Nie słysząc przez parę lat, aby kto się o te dzieci odzywał, rozumiałam i cieszyłam się nadzieją, że ich na zawsze już utrzymam; alic jednego dnia ku wieczorowi *Płomieńczyk* (bo tak go zwykle zwałam) wybiegł z domu, i jak teraz miarkuję, za jagodami aż w las, który opodal jest od domu, musiał się zapędzić. Niestety brat jego naówczas był trochę słaby, i pilnująca tego nie uważałam zrazu, że tamten nie wraca; lecz gdy się zmierzchło, wyszłam patrzeć, gdzie się mój *Płomieńczyk* podział. Nie zastawszy go przed domem ani w sadzie, strach mnie ogarnął równie jak i męża mego; rozbiegliśmy się oboje do lasu, w pola, na trakt, szukając, wołając *Płomieńczyka*; ale niestety daremne były wszystkie nasze zabiegi tego wieczora, i wszystkie nasze starania, które przez długi czas czyniliśmy, by odzyskać to ukochane dziecko; gdyż on tymczasem (jak dziś od Dżęgi się dowiedziałam) od cyganów wykradziony, daleko już od nas był uwiezionym. Łatwo wasza księcia mość pojmieś moje stąd zmartwienia i boleści, i jeszcze ta rana o Boże nie była zgojona, gdy przyjazd waszej księżniczki do Zienkowa dodał strachu i przerażenia do wszystkich utrapień. Jakem się dowiedziała, że wasza księcia mość jesteście ojcem księżniczki Taidy i przyjeżdżasz odbierać po niej zostawione dziecko, niestety przyznać muszę, iż widząc, że o jednym tylko wiedziałeś, i jednego tylko dopominać się będziesz, myśl mi przyszła zataić urodzenie drugiego, bojąc się gniewu i żalu waszej księżniczki mości, jak się dowiesz, że drugi wnuk jego zginął. Otóż to moja wina, otóż to jest, o co prześląganiam waszej księżniczki mości usilnie wzywam, otóż to tajemnica, którą mąż mój do grobu zaniósł i ja ze zgryzotą do dzisiejszego dnia w sercu mojem chowałam, aż gdy przed godziną znamię to *Płomieńczyka* (którem na jego ramieniu wraz z Dżęgą ujrzała), tegoż Dżęgi wyznanie, imię Ludomira, które nosi ten młodzieniec, i nadewszystko podobieństwo jego to niepojęte z księciem Melsztyńskim, wnukiem waszej księżniczki mości, wszystko to zebrane nieodwłocznie mnie zapewniło, że książę Mel-

sztyński w nim brata, wasza księcia mość drugiego wnuka, a ja Płomieńczyka odzyskuję. Opatrzność mojej winie zapobiegła, cudem go zachowując i oddając go cudem. Na wzór jej bądź księżę litościwy i racz przebaczyć tej, która od momentu wykradzenia tego dziecka godziny spokojnej już nie знаła!

Ach! darujem! wszystko w świecie darujem (wyrzekli razem oba książęta) i jeszcze wam krociami dzięków czynimy tobie i Dźdze; gdyż zdaje mi się, że wy nam brata i wnuka oddajecie. Lećmy do niego, rzekł Zdzisław; lećmy, rzekł młody książę Melsztyński, i przez naszą miłość, przyjaźń, przez nasze starania, dajmy mu zapomnieć, że od dzieciństwa nie doznawał szczęśliwych węzłów pokrewieństwa.

Nie jestem w stanie wytłumaczenia tego, co się działo między wszystkimi osobami, których to zdarzenie obchodziło, gdy nasz chory młodzieniec, który przed godziną bez imienia, bez rodziców, bez nadziei szczęścia żadnego, ani prawa do niczyjego serca, raptownie znalazł się przytulonym do serca dziada i brata właściwego, należącym do familji jednej z najpierwszych w kraju, a co więcej wybawicielem tegoż brata, który ustawnie mu powtarzał: „Tobiem życie winien, tyś mię z pośród niezawodnej śmierci wyrwał, i tobie jedynie radbym to życie poświęcić“. Znając szlachetną i tkliwą duszę Ludomira (bo Płomieńczyka odtąd już zawsze *Ludomirem*, a brata jego *księciem Melsztyńskim* zwać będę dla zaniechania omyłki), znając tedy mówię duszę Ludomira, łatwo się pojmie, jakie wrażenie takowe słowa i tyle wynurzanej przyjaźni na nim uczynić mogły. Dowodem największym i najważniejszym będzie, gdy powiem, że Ludomir, heroiczną uniesiony czułością, rozumiejący, że księżę Melsztyński, równie jak on, zapamiętale zawsze kocha się w Malwinie, i nie pojmujący jakby ją kochać inaczej można, wymógł jednak na sobie przedsięwzięcie ofiary i odstąpienia wszelkich zabiegów, które z odmianą losu sprawiedliwie i bez własnej już nagany teraz czyniłby mógł dla otrzymania ręki tej, którą najpierwszy był ukochał w życiu (bo spodziewam się, że czytelnik dochodzi teraz węzła tajemnicy, który dziwnymi czynił i nieraz niepojętymi zdarzenia tej historii, i że się domysła, że przed rokiem w Krzewinie *Ludomir*, a nie *księżę Melsztyński*, poznał był Malwinę, z niebezpieczeństwa pożaru ją obronił i tak wyłącznie, tak nadzwyczajnie w niej się zakochał). Teraz zaś ten sam Ludomir bratu odstąpić zamysła tę ubóstwioną Malwinę. *To nie jest*

rzeczą podobną, to nie jest uniesienie w istocie naturalne, powie nie-jeden może; ach zaręczam też, że dla przyjaciela jedyne, że dla naj-droższych węzłów, dla brata nawet i sam Ludomir nie byłby przed-sięwziął uczynić tej okropnej ofiary. Ale niestety, jemu brat życie był winien, i dusza jego szlachetna w pierwszym zapale uniesiona nie poj-mowała, jakby szczęście mógł wyrwać temu, któremu życie uratował. Przytem też rozumiał się być od Malwiny zapomnianym, i bojąc się, aby zjawienie jego nie było przeszkodą i do jej szczęścia, te tak święte dla niego przyczyny przywiodły go do uczynienia w tajemnicy myśli swoich tej popędliwej z siebie ofiary. Wtrąciwszy więc nazad w głąb serca swego uczucia najboleśniesz, starał się okazać radość bratu i dziadowi, gdy w istocie najokropniejszy smutek ciążył na jego duszy i malował mu przyszłość jego bez porównania czarniejszą, niżeli prze-złość kiedykolwiek bywała.

Stan zdrowia Ludomira słaby i tak niedawno nawet niebezpieczny pomagał mu do ukrycia smutku wewnętrznego; bo doktor naj-większą rozkazawszy mu spokojność, Ludomir użył tego pozoru, by nie wchodzić w szczegóły zdarzeń jego się tyjących, gdy z dziadem i bratem rozmawiał, odkładając to do czasu zupełnego ozdrowienia, i pod tym samym pozorem nie przeniósł się do Krzewina, tylko został jeszcze na kęp-nym folwarku, ustawnie miotany chęcią i obawą postrzeżenia tej Malwiny, której myśląc odstąpić, czuł, że ją kocha bardziej jak kiedykolwiek. — Ale wróćmy się i my do niej; myśmy także raptownie odstąpili, zo-stawiwszy ją na drugiej stronie domu zemdloną na ręku ciotki i nie wiedzącą o ważnych odmianach, które były nastąpiły i o których sio-sτρα i ciotka uwiadomiły ją dopiero, jak zupełnie do siebie przyszła.

Zrazu nie była w stanie pojęcia, co te wierne przyjaciółki jej mówiły, ani w możności rozplątania tłumu myśli, wspomnień, domysłów, uczuć, które razem cisnęły się do jej serca i mieszały się w jej głowie; ale skoro nieład tych marzeń uspokoił się nieco, i zwykły (że tak rzekę) porządek w umyśle jej nastąpił, radosna nadzieja ze wszystkimi swemi czującymi wdziękami opanowała jej duszę, i tłumacząc sobie ponie-kąd tajemnice i zmartwienia, które w zeszłym roku tak boleśnie ją męczyły, przyszłe teraz lata przewidywała najprzyjemniejszymi ożywione farbami. Ale pomieszanie jakieś (któremu przyczyny wyraźnej daćby nie mogła, lecz które dlatego nie mniej mocy miało nad jej działaniem) oddaliło ją od chęci widzenia w ten moment Zdzisława, lub którego

z jego wnuków, i spokojniejszą będąc o zdrowie Ludomira, o polepszeniu którego ją zapewniali, kazała więc Zdzisławowi oświadczyć, że nie chcąc przerywać szczęśliwych chwil, których w tak niespodzianem odzyskaniu wnuka używać musi, i sama słabą jeszcze się czując, wraca z ciotką i siostrą do Krzewina, gdzie jak tylko stan zdrowia młodego księcia nie będzie temu na przeszkodzie, spodziewa się, że zechce jakiś czas zabawić i przy świeżo odzyskanej familji po trudach wojennych odpocząć. Co powiedziawszy, Malwina, nie czekając odpowiedzi, przez sad, co był za domem, wymknęła się, i nie spotkawszy nikogo, z siostrą i ciotką do domu wróciła.

Grzeczne oświadczenie Malwiny w zaproszeniu do domu swojego drugiego wnuka Zdzisław z wdzięcznością odebrał. Młody książę Melsztyński, jedynie odzyskaniem brata zajęty, i przytem ze zwykłą lekkością swoją biorąc zdarzenia codzienne, nie bardzo się zatrzymał nad postępkim Malwiny; ale Ludomir zato, który w każdym kroku Malwiny szczęście lub niedolę swoją znajdował, w raptownem jej odejściu do Krzewina rozumiał, iż postrzega nowy dowód zmiany jej względem niego i tem bardziej, choć z męką najboleśniejszą, ugruntował się w przedsięwzięciu odstąpienia wszelkich o nią zabiegów.

ROZDZIAŁ XXVII

ŁAWKA POD KASZTANEM NA WALE

Kilka dni minęło, które żadnej odmiany w sposobie bycia osób w przeszłym rozdziale wzmiankowanych nie przyniosły. Ludomir, równie smutny i z prawdziwemi uczuciami nie wynurzający się, pod pozorem jeszcze złego zdrowia z pokoju swego nie wychodził, choć w istocie młodość biorąc górę nad wszystkimi przyczynami, które zniszczyć to zdrowie byłyby powinny, znacznie go była już polepszyła. W samotnych tych godzinach walki nieustanne (jakem już powiedziała), miały umysłem Ludomira i zbolełe jego burzyły serce. Nareszcie myśl jedna, wracając mu się i stając ustawnie w pamięci, wahania wszystkie zatrzymała i utwierdziła go w sposobie, jakim na przyszłość miał działać; a myśl ta była, że ponieważ słychać było, że wojna znowu wskrzesić się miała, z niczem nikomu nie wynurzywszy się, ujechać z Krzewina i do wojska wrócić, gdzie nareszcie koniec życia spotkać spodziewał się, życia, które od urodzenia samego opuszczeniem tylko, trudami i goryczą napełnione

było... Rozumiejąc Malwinę zmienioną dla siebie i ukochaną przez brata, nie chciał być zawadą w szczęściu tym, dla których wszystkie w życiu szczęścia z rozkosząby oddał. Wolał tedy z siebie najboleśniejszą uczynić ofiarę. Przyczyna zaś tajnego ujechania z Krzewina była ta, że nie czuł w sobie możliwości widzenia raz jeszcze Malwiny i siły oderwania się potem od niej na zawsze. Skrycie więc (nie zwierzywszy się nawet wiernemu Ezechjelowi) naznaczył sobie dzień wyjazdu i w wigilją dnia tego, myśląc nazajutrz rzucać na zawsze, co tylko go do życia przywiązywało, nie mógł na sobie przemóc, żeby raz jeszcze nie odwiedzić i nie pożegnać przynajmniej tych miejsc, które były świadkami krótkich i jedynie szczęśliwych chwil w całym życia jego przeciągu. Rano ze świtem, by nikogo obudzonego z zamku nie spotkał, i gdy na folwarku wszyscy jeszcze najgłębiej spoczywali, Ludomir, wstawszy z sercem ściśnionem, a raczej przytłoczonym najboleśnieszemi uczuciami, wyszedł od siebie niepostrzeżony i ku Krzewinowi samotne kroki obrócił. Rok mijał właśnie, jak w tym samym miesiącu Ludomir był wyznał Malwinie miłość nieograniczoną, którą w sercu jego była wzbudziła, jak wzajemności jej śmiał się być domyślać i jak rozumiejąc się jej niegodnym, od niej się był oderwał. Przeszedłszy przez łąkę, na której przed rokiem dzień imienin Malwiny obchodzono, postrzegł kamień z napisem, przy którym niebawnie¹ rozumiał, że zwłoki jego przynajmniej spoczywać będą; i znalazłszy łódkę przy brzegu zostawioną, na drugą stronę rzeki przepłynął.

Wysiadłszy na ląd, i myśli jego i uczucia wzięły inny poniekąd kierunek. Gdy stopę na tej czarującej ziemi postawił, gdy tem powietrzem oddychać zaczął, które z tchem Malwiny zmieszane mu się zdawało, gdy nareszcie znalazł się w pośród tej krainy, gdzie pamiątki niezliczone rozkoszą napawały serce jego, gdzie pierwszy raz ukochał, gdzie każdy obrót, każde spojrzenie, każdy krok, co uczynił, przedstawiały mu wspomnienia męczących wprawdzie chwil niektórych, ale też krocie nieprzebranych szczęśliwości, kiedy się znalazł otoczonym temi niemymi świadkami pierwszej i jedynej miłości swojej, przeistoczonym stał się zupełnie. Przedsięwzięcia, zgryzoty, zmartwienia, wszystko natychmiast zniknęło; *miłość tylko i Malwina* w sercu jego zostały. *Miłość i Malwina*, te słowa z głębi serca wymawiał Ludomir... *miłość i Malwina* powtarzały echa po wonnych dolinach Krzewina. Spiesznym krokiem, jakby lotnemi uniesiony skrzydłami, szedł Ludomir; radby był

¹ niebawnie — niebawem.

w jednym momencie obieć (i niejako na nowo odzyskać) wszystkie miejsca, które tylokrotnie z Malwiną obchodził. Wzrok swój chciwie napawał rozlicznymi widokami, na które w tej wdzięcznej krainie tylokrotnie razem patrzali; wszędy jej postać anielska mu się wyobrażała, wszędy głos jej łagodny słyszeć mu się zdawało, wszędy ją czuł, wszędy ją widział, od nieba, od natury całej odzyskania jej wymagał, i czując potęgę i najwyższy kres miłości: „Ach nadto już ją kocham (rzekł w uniesieniu), abym twardych nawet nie ubłagał losów! żelazne ich prawa przełamać potrafi miłość moja, takowa miłość wszystko zwyciężyć powinna“.

Już bliższy domu, okna pokoiów Malwiny mógł rozeznąć Ludomir; furtka od kwiecistej zagrody była otwartą, wszedł do oddzielnego jej ogrodu. Ten ogród, jak wiemy, z jednej strony różanym płotem od reszty krainy był oddzielony, a z drugiej zielonym wałem strzeżony od Wisły. Wszystkie te lube przedmioty drogiemi są znajomościami Ludomira. Ale widok wału osobiłwie, gdzie przed rokiem o tej samej niemal godzinie, ostatni raz sam na sam rozmawiał z Malwiną, najbardziej go rozrzewnił... Biegnie ku ławce, którą kasztan stuletni rozłożystym swym cieniem okrywa; tam wyznał kochance pierwszy i ostatni raz nieszczęśliwą miłość swoją; tam pierwsze i ostatnie słowo miłości z ust kochanki usłyszał; tam zgłodniałe serce pragnie napoić temi unoszącymi wspomnieniami, albo też w gwałtownem tłoku uczuć spotkać nareszcie i koniec wszystkich utrapień... Leci Ludomir..., serce jego bijąc gwałtownie zdaje się z męcznych chcieć piersi się wyrwać, dobiega do ławki — o Boże! o nieba! o wszystkie w przyrodzeniu szczęśliwości! *Malwina!*... istotnie Malwinę samą ujrzał Ludomir i z głębi duszy: *Nieba litościwie, któreście pozwoliły, bym ją ujrzał raz jeszcze, już i w waszej nauce mocy nie jest teraz mię od niej oderwać!* Padł przed nią na kolana, wszystko prócz niej zapomniał na świecie. Miłość zapamiętała zdawała się przez wzrok jego do niej się przedzierać; w mowie obłąkanej taż miłość tak długo przytłumiona i dusza najgorętszymi miotana namiętnościami mimowolnie i bez ładu się wynurzały. „Malwino, mówił, ulubiona, ubóstwiona Malwino, nikt cię tak nie kochał, jak ja — dla ciebie jednej żyć pragnę na świecie, dla ciebie śmierci w krwawej szukał wojnie, tyś godziny moje, dni, życie, serce napelniała. — Postać twoja anielska towarzyszyła chwilom moim samotnym. Malwino! nadto ciebie już kocham, abyś dla mnie zmienną, nieczulą, okrutną

była! Malwino! powiedz słowo, podnieś te oczy, w których ja zawsze nieba szukałem! podnieś je bez gniewu, a ja jeszcze niebo w nich znajdę. Powtórz to słowo, co przed rokiem na tem samym miejscu z ust twoich słyszałem, a wtedy i nieba żądać nie będę! Niewdzięczny! wyrzekłaś naówczas, odpowiadając na wszystkie uskarżania się moje przed tobą. W tem jednym słowie pierwszy promień nadziei, pierwsze wyobrażenie szczęścia postrzegłem, ale też i źródło rozpacz; bo śmiejąc z niego wzajemności twojej domyślać się, a nie sądząc się naówczas godnym twojej ręki, od ciebie oderwać się zniewoliłem; ale to słowo, z ust Malwiny słyszane, to słowo, przez tkliwą jej duszę wyrzeczone, głęboko i na wieki w mem sercu się wyryło. Na tarczy mojej jak godło i upominek jedyny mego szczęścia wyryć go kazałem. Tam samaś go ujrzała w tej chwili na zawsze mi pamiętnej, gdy w dzień turniejów, rozumiejąc, iż waleczność nadgradzasz nieznajomego ci rycerza, nadgradzałaś w stałym Ludomirze chęć jedyną ściągnięcia twojej uwagi, chęć, która jedynie dała mi zwycięstwo. Malwino! wczoraj jeszcze, przed kilku godzinami, w rozpacz pogrążony, rzucać cię na wieki żądałem. Myśl ta okropna... zabijająca..., że inny, że mój brat... „*Niewdzięczny!*” krzyknęła Malwina, w pośród płaczu i łkania, które natłokiem uczuć wzbudzone ledwo jej odetchnąć dozwalały. — Niewdzięczny! to jedno słowo wyrzec mogła i padła bez mocy na ręce Ludomira. — Czemżeby najdłuższe mowy w porównaniu być mogły? W tem jednym słowie miłość, szczęście, niebo ujrzał Ludomir; wszystkie wątpliwości, wszystkie bojaźni znikły. Przekonany zupełnie i nie pomyśliwszy nawet, by zapytać się o jakie wytłumaczenie, przycisnął kochankę do serca wrzącego w uniesieniu. „O nieba! (zawołał) i życie mi już teraz odebrać możecie! doznałem w niem, co tylko dać mogą rozkoszy najtkliwsze duszy uczucia, od was nadane“!

Porywczością tego uniesienia strwożona, Malwina wyrwała się z rąk Ludomira; lecz choć łyzy kropliste zbłądłe lice jeszcze rosily, uśmiech anielski pomiędzy niemi ujrzeć na jej twarzy już można było. Ale Ludomir, rozumiejąc ją zbyt czułym tem uniesieniem zrażoną, „ach nieszczęśliwy, rzekł, cóżem uczynił? Gniewem twoim Malwino, karzą mnie może nieba za moje o bracie moim zapomnienie. On ciebie także kocha, on twojej wzajemności, szczęścia swego także oczekuje! Malwino! Bogiem się świadczę! iż dziś rano jeszcze ujechać tajemnie z Krzewina, ofiarę zupełną uczynić z siebie dla szczęścia brata chciałem...

ale Malwino, ujrzałem ciebie, słowo przez ciebie wymówione załało rozkoszą serce moje, i wszystkich przedsięwzięć zapomniałem; wszystko, prócz ciebie, znikło na świecie, i teraz już nie jest w mocy mojej, nawet już i nie w twojej, bym ciebie mógł porzucić. Karz mnie, każ mi umrzeć... ale nie każ mi od ciebie się odrywać; tego jednego dla ciebie uczynić nie mogę!”

„Ludomirze luby! (rzekła na to Malwina) uspokój zapęd bolesny tkliwego równie jak szlachetnego serca. Jeśli z postaci, to pewnie nie ze stałości brat twój podobnym jest tobie; strata Malwiny bynajmniej go martwić nie będzie, gdyż owe lekkie zapęły, które nowość, a może przeszkody, w jego sercu dla mnie były wznieciły, w nowej (a spodziewam się trwalszej) miłości ku mojej siostrze ugaszonymi zostały. Co do mnie zaś (zapłoniwszy się, ciszej dołożyła Malwina) serca ci mego oddawać dzisiaj nie mogę, gdyż ty jeden na świecie i oddawna już go posiadasz. Ale przyjmij dzisiaj rękę Malwiny, tej Malwiny, która bez Ludomira, żadnego już nie mogłaby doznać szczęścia!”

Radość, uniesienia szaleństwa (ledwo, że nie powiem), które na te słowa całkiem zajęły serce Ludomira, nie przedsięwezmę określać, gdyż tegobym nigdy nie wydołała. Świadoma przez doświadczenie bolesnych uczuć, łatwiejby mi było je opisać; ale radość i szczęście nadto mało mi są znajome, ażebym dokładnie wydać je mogła. Tyle tylko powiem, iż szczęśliwszego jestestwa w tej chwili od Ludomira w całym przyrodzeniu pojąćby nie można było, i że Malwina z głębi duszy dzieliła wszystkie jego uczucia.

Gdy odmet radości dozwolił im rozmawiać trochę spokojniej, Ludomir wytłumaczył wszystkie postęпки swoje Malwinie, od momentu gdy przed rokiem poznał ją był w Krzewinie i gdy ją potem był odjechał; jak stan wątpliwy i nieznany zdawał mu się upodlający, jak wyznać go przed nią nie było w jego mocy i jak dlatego przysięgę od niej wymógł, że odkryć tajemnicy, którą się zasłaniał, nigdy w żadnym czasie szukać nie będzie; jak potem do Telimeny, opiekunki swojej, wróciwszy, smutek i tęsknoty go nie opuszczały; jak w kilka miesięcy później listy do tejże Telimeny, z Warszawy pisane, o miłości księcia Melsztyńskiego do Malwiny, doniosły; jak nareszcie list jeden doszedł oznajmujący za wiadomość niezawodną bliskie ich pobranie się. „Wtedy ukochana Malwino, wtedy głowę zupełnie straciłem, i nie ostrzegłszy nawet Telimeny, bez żadnego zastanowienia, bez żadnego układu,

dniem i nocą lecąc, stanąłem w Warszawie. Stanąwszy tam (dokąd z takim pośpiechem leciałem), nic przedsięwziąć nie byłem w stanie. Aż nadto czując głęboko tę nieszczęśliwą granicę, która nas dzieliła, udać się do ciebie nie śmiałem, poznać zaś, widzieć nawet księcia Melsztyńskiego, przemóc na sobie nie mogłem, i nie znając ani jednej osoby w całej Warszawie, kryłem się przez dzień niemal z obłąkanemi zmysłami, wieczorem po pustych ulicach i odludnych przedmieściach snułem się, jak mara nocna. Podczas jednej z tych przechadzek nad brzegiem Wisły, poznałem poczciwego Dżegę, który podobno zupełnym mnie warjatem osądził, widząc, że w wodę lecieć chciałem za kawałkiem muślinu, którego wiatr mi wyrwawszy w cygana sieć zaplątał“. „Ach Ludomirze! (wtém przerwała Malwina), serce się nigdy nie omyła. Poznaję teraz w tym niewytłumaczonym powabie, który myśli moje zwracał ku temu mniemanemu warjatowi, ku temu mniemanemu czarnemu rycerzowi, ku temu nareszcie nieszczęśliwemu przyjacielowi Ezechjela, poznaję aż nadto niezmienną miłość, którą Ludomir jeden jedynie wzbudzić mógł w sercu mojem...“ „Oto jest muślin, ten tak drogi dla mnie (znowu ją przerywając i pokazując muślin, rzekł Ludomir), ten sam welum, co ciebie osłaniał, o moja najdroższa Malwino, i którego zdjawszy z siebie, na tejże samej ławce rok temu zostawiłaś; jam go uchwycił naówczas i odtąd przy mojem zawsze sercu był schowany; on wkoło mej ręki obwiniony, jedyną moją był ozdobą przy czarnej zbroi w dniu turniejów i do śmierci najdroższym dla mnie będzie upominkiem“. — „Szarfą twoją niechaj na zawsze stanie się, rycerzu o czarnej zbroi (z tkliwym uśmiechem powiedziała na to Malwina), miłość ci ją daje... oby tylko moc w sobie mieć mogła od wszelkich bronienia cię nieszczęść. Nie dziwię się teraz (mówiła dalej) memu nadnaturalnemu zajęciu dla tego skrytego, dla tego czarnego rycerza, zajęciu, które tylko wówczas wymawiałam sobie. Nie dziwię się także, dlaczego w czasie kwesty w katedrze, gdy ujrzała (jak wtedy rozumiałam) księcia Melsztyńskiego, serce moje, które od przyjazdu mego do Warszawy bynajmniej dla niego miłości nie czuło, w ten moment najtkliwsze uczucia, którychem w Krzewinie była doznała, przejęły go natychmiast...“ — „Ach droga, luba, ukochana Malwino! i mnie na zawsze pamiętny ten moment, gdy cię w kościele tak niespodzianie i najpierwszy raz ujrzał w Warszawie. Ale coś wtedy wyrzec chciała...“ — „Chętnie teraz powtórzę, o mój Ludomirze, gdyż to było wyznanie

najszczerzej miłości; ale oddając ci serce bez żadnej granicy, wytłumaczyć ci pragnę wszelkie tego serca w każdym czasie uczucia; więc słuchaj:

„Przyjechawszy przeszłej zimy do Warszawy, gdym ujrzała twego brata, widzieć ciebiem rozumiała; ale błąd to oczu był, nie serca. Oczy moje widziały w nim Ludomira, serce moje nigdy w nim Ludomira nie znalazło, i mimo tego niepojętego podobieństwa w postaci, w głosie, imionach, mimo życzeń Zdzisława, namów ciotki i siostry mojej, mimo wszelkich okoliczności, które mnie przekonywały, że księżę Melsztyński w istocie moim jest Ludomirem, mimo tego wszystkiego, serce moje wzdygało się na samą myśl łączenia z nim losu mojego. Przyjaźń i wdzięczność jakimś niewyraźnym powabem przyciągały mnie ku twemu bratu; ale odrazę niepojętą czułam do niego, skoro miłości odemnie żądał. Srodze tę płochą zmienność wymawiałam sobie, najboleśniejszych mąk, jakie tylko czułość, miotana przeciwnościami pełnemi goryczy, tworzyć może, doznawałam ustawnie. Z żalem, z rozrzewnieniem przypominałam szczęśliwe chwile Krzewina z lubym pędzone Ludomirem, i razem tegoż Ludomira w świetnej postaci księcia Melsztyńskiego kochać mi już nie było podobno; jednak obowiązana względem niego być się rozumiałam, i własnymi wyrzutami strapiona, zagnalona życzeniem Zdzisława, radami całej familji, głosem niemal całej publiczności (choć będąc przekonaną, że wieczne moje czynię nieszczęście), wzięłam była nareszcie przedsięwzięcie uczynić z siebie ofiarę i dać na koniec przyrzeczenie księciu Melsztyńskiemu, że po skończonej wojnie za niego pójdę; tę przysięgę wiecznego nieszczęścia wyrzec już miałam, gdy naówczas w ogrodach wilanowskich widmo okropne, jakem wtedy sądziła, a raczej anioł stróż mój, jak teraz dochodzę, dokonać mi tej przysięgi nie dozwolił, przysięgi, którą łączyłam się na wieki z tym, którego nie mogłam kochać, a odrywając się od tego, którego jedynie kochać mogę. Teraz wiesz wszystko, luby Ludomirze, i jeśli w postępках co sądzisz naganne, to przebac, wspominając, że uczucia moje w każdym czasie i w najmniej pospolitych zdarzeniach tobie jednemu poświęcone były“.

„Jaby cię miał obwiniać, moja najdroższa Malwino? Ciebie, w której anioła i postać znajduję i duszę? Ciebie, w której sercu niebian czerpam słodycze?... Nie, nie sądzę, nie widzę, nie czuję nic innego, tylko to, że jestem najszczęśliwszy w całym przyrodzeniu i że tobą

to szczęście winien! Okropne prawda miewałem chwile w przeciągu życia mego; okropne było to uczucie posępnego, upokarzającego wstydu, które wątpliwość i tajemnica urodzenia mego z samej młodości w serce moje wlały i wszystkie zdarzenia mego losu tą goryczą truły. Najokropniejszy zaś w całym przeciągu życia był ten moment, gdy obląkany nawiasem¹ w ogrodach wilanowskich, już miałem usłyszeć przyrzeczenie twoje bratu mojemu, który wtedy z imienia księcia Melsztyńskiego i z losu świetnego (tak od mego różniącego się) był mi tylko znajomy. Krzyk mój szalony, któren rozpacz nierozważna naówczas z łona mego wyrwała, przerwał twoje słowa. Więcej nie wiem, co się wtedy w Wilanowie działo, gdyż rozumiejąc się przekonany, że nigdy już moją nie będziesz, obląkany w rozpacz wybiegłem, sam nie wiem jak, z ogrodu, i biegnąc ku Warszawie, spotkawszy piąty pułk ułanów maszerujących na wojnę, przystałem natychmiast za prostego żołnierza do pułku, w jedynej nadziei znalezienia w tym stanie przedzej śmierci. Tam ręką Opatrzności prowadzony, rozumiejąc, że rywala nienawidzonego ratuję, brata własnego od śmierci obroniłem. Resztę zdarzeń moich od dobrego już słyszałaś Ezechjela. Dłużej smutnemi wspomnieniami nie chcę zachmurzać myśli twoich, osobiście w chwili, gdy ja sam nie pojmuję, żem kiedykolwiek bolesnego mógł doznać uczucia“. — Na te słowa pełne tkliwości, rozczulona Malwina, jak niegdyś w raju Ewa,

Oddała rękę w ręce młodego kochanka.

I spłonęła jak zorza przy wrotach poranka².

Ludomir rękę tę łzami oblał, i przyciskając ją do serca, „Boże! zawołał, czemuż być musi niebo, jeśli jeszcze przewyższa rozkosz, której doznaję“.

ROZDZIAŁ XXVIII

KONIEC

Niejednemu może z czytelników za długą stała się rozmowa Ludomira z Malwiną; ale niestety! tak mało godzin szczęśliwych w życiu bywa! nie żałujmy więc naszym zakochanym tej, którą tak mile z sobą przepędzili; długa dla czytelnika, dla nich piorunem przeleciała. A ja

¹ *nawiasem* — przypadkiem, przez zbieg okoliczności.

² Przetłumaczone z francuskiego poematu *Ogrody de Lilla*. (Przypis autorki).

winę ich zastępując, resztę opisanie obrotów, jakie wziął odtąd los Ludomira, Malwiny i wszystkich wzmiankowanych osób w ciągu tej powieści, starać się będę jak najkrócej opisać.

Po tej szczęśliwej tedy z Malwiną rozmowie Ludomir nie mający już bynajmniej chęci do tajnego, do jawnego, ani do żadnego odjazdu, zamiast przedsięwziętej podróży przeniósł się natychmiast do Krzewina, gdzie dobry Ezechjel, porzuciwszy kępę, także do zamku z nim się przeniósł. Ludomir naówczas najszczerzej zdarzenia swego życia i stan serca dziadowi wyjawiał, i Zdzisław, któremu jedynie o to chodziło, ażeby Malwinę wnuczką mógł nazywać, z radością przyjął oświadczenie Ludomira, gdy ten mu wyznał, że oddawna w Malwinie się kochając, przed kilku godzinami odebrał od niej samej przyrzeczenie jej ręki. To wyznanie tem bardziej Zdzisława ucieszyło, że w szczęściu jednego wnuka nie widział przeszkody do życzeń drugiego, gdyż się wtedy także dowiedział, że ten drugi wnuk (który posiadając zbiór wielu cnót, niekoniecznie stałość w tym zbiorze mógł rachować), umierający z miłości przed kilku miesiącami dla melancholicznej Malwiny, teraz upewniał go, że żyć nie może bez wesołej Wandy.

Wanda w przeszłym roku, jak czytelnik przypomni sobie, poznawszy Ludomira, jedyną wadę w nim znajdowała, że *nie dość często śmieje się*. Ten przymiot teraz w doskonałości czując złączonym do wielu innych w miłym i pustym księciu Melsztyńskim, niedługo dała się prosić, by mu także rękę oddała.

Gdy te wszystkie układy ułatwionemi zostały, Ludomir natychmiast doniósł je listem Telimenie, prosząc ją przytem usilnie, by zjechała najprędzej do Krzewina być świadkiem dnia, który na zawsze ustalić miał szczęście tego, który w każdym czasie najczulszą w niej znajdował matkę. Z prawdziwą i wtedy matki czułością list ten przeczytała Telimena, i niedługo na jej przybycie czekano w Krzewinie, co jak tylko nastąpiło, Ludomir Malwinę, a brat jego Wandę do świętych zaprowadziwszy ołtarzów, w obecności Boga usta ich wyrzekły to, co serca tylekroć wzajemnie sobie były poprzysięgły. Najpogodniejsze słońce dzień ten oświecało. Obie siostry w bieli odziane, dwoma równemi z mirtu wonnego wiankami skromne swe czoła uwieńczyły i podobne były dwom białym liljom, które razem na jednej niwie zrodzone, czystym wdziękiem zobopolnie wzrok każdego zajmowały.

Sędziwa starość Ezechjela, który ślub dawał naszej młodzieży, stawiając przed oczy zachód życia koło najświetniejszej pory młodości, tklwym była obrazem, w którym czułość wyryta na twarzy Telimeny, łagodny wzrok ciotki i szlachetna postać Zdzisława, nie pewnie nie psuły.

Reszta przytomnych osób, które w dniu tym kościół napełniały, była złożona z domowych Krzewina i z poddanych Malwiny, i w tym zbiorze Alisi, Dżęgi, młynarki Zienkowskiej i wiernej Frankowskiej zapomnieć nie można.

Mówić nie będę o pierwszych dniach, które po tym dniu nastąpiły, gdyż każdy czytelnik lepiej będzie mógł wyobrazić sobie szczęście, które wszystkie serca naówczas w Krzewinie napełniło, niżelibym ja go wyrazić potrafiła, a wolę mu wyjaśnić niektóre szczegóły, których zawilość niejasnemi czyniła niejedne zdarzenia w ciągu tej powieści, jako to na przykład, przyczynę mniej wesołego humoru księcia Melsztyńskiego. — Gdy zabawiwszy czas jakiś przy pułku, wrócił był do Warszawy w czasie, gdy wkrótce potem Malwina pierwszy raz tam była przyjechała, posępny i zajęty ten humor księcia Melsztyńskiego (o którym i major Lissowski w czasie listem Alfredowi doniósł) pochodził z przyczyny pojedynku księcia z kuzynem i przyszłym mężem Florynki, o życiu którego długo powątpiewano, gdyż w tym pojedynku książę Melsztyński bardzo niebezpiecznie go ranił i tem bardziej sobie to wymawiał, że ta cała kłótnia z okazji miłostek jego do tejże Florynki wyniknęła. Zimny i odrażający sposób, w którym Malwina zaraz z początku przyjmowała jego oświadczenia, w myślach księcia był skutkiem złej opinii, którą o nim wziąć była mogła; gdyż rozumiał, że trafem jakim o tej całej awanturze uwiadomiona była, o czem bardziej się jeszcze utwierdził, gdy na wieczorze u księżnej W***, grając w sekretarza, Malwina myśląc, że temu Ludomirowi, którego była w Krzewinie poznała, zapytanie czyni, napisała na karteczce: *czy zeszłe lato, czy sierpień zeszły, żadnego nie uczynił wrażenia?* chcąc tem bytność jego w Krzewinie i wyznanie, które właśnie w sierpniu miłości swojej był uczynił, tem przypomnieć; na co książę Melsztyński, który właśnie miał być nieszczęście śmiertelnie niemal ranić swego przeciwnika i który rozumiał, że o tem chce wspomnieć Malwina, odpisał: *niestety! wrażenie niewymazane na wieki, ale litościwa dobroć o tem może wspominaćby nie powinna.*

Gdy zaś w czasie kwesty książę Melsztyński raptownie był wyjechał z Warszawy, ten drugi wyjazd (jakośmy w rozdziale 16 czytali) Malwina wtedy osądziła, że był przedsięwziętym przez Ludomira, by się zjechać z matką nieszczęśliwą, a w istocie ta podróż była przedsięwziętą przez księcia Melsztyńskiego, żeby się wytłumaczyć kuzynowi Floryny i klótnie te zupełnie zaspokoić, czego szczęśliwie dokazał; gdyż (jakośmy z listu Alfreda do majora Lissowskiego w domu pani chorążynej Szeptalskiej pisanego widzieli) książę Melsztyński, na weselu Florynki się znajdując, w najlepszej harmonji z panem i panną młodą zostawał.

Te tłumaczenia, które ja czytelnikowi tu czynię, książkę Mel-sztyński z wielką szczerością przed dwiema siostrami przed swoim weselem uczynił, i gdyby był jedynie miał w celu przekonać nimi i zjednać sobie Malwinę, tego celu możeby nie był doszedł; gdyż ona płochość, lekkość i niejedne niedoskonałości w jego postępkach postrze-gała; ale Wanda, mniej jak siostra wymagająca doskonałości w kochanku, a więcej jak ona ufająca w własne zalety, by go odtąd w stałości dla siebie zatrzymać, przekonaną, a przynajmniej łatwo zaspokojoną jego tłumaczeniami została.

Obydwa wnuki Zdziśława z żonami swojemi parę miesięcy zabawiwszy jeszcze na wsi, do Warszawy pojechali na zimę; gdzie zobopólnie dom duży kupiwszy, wszystkie odtąd zimy w mieście, a piękne pory roku razem w miłym przebywali Krzewinie. Zdziśław szczęściem ich się ciesząc, to tu, to tam, często przy nich przesiadywał, równie jak i ciotka naszych dwóch sióstr, która przytem wychowaniem ładnej Alisi się zatrudniała. Telimena odległą wieś swoją sprzedawszy, kupiła inną w najbliższem od nich sąsiedztwie, dokąd się całkiem przeniosła, i szczęśliwy Ludomir miał sposobność okazywać jej najczulszą swoją wdzięczność i wypłacać się podeszłemu jej wiekowi z tych tkliwych starań, któremi ona otaczała dziecinność jego opuszczoną.

Wierny Ezechjel, złożywszy przełożęństwo monasteru na Rusi, odebrał od Malwiny plebanją w Krzewinie, gdzie do późnego wieku łagodnością, pobożnością i miłosierdziem stał się ojcem i dobrodziejem wszystkich swoich owieczek. On zprasem dwóch synów Malwiny i córeczkę chrzcił Wandy i z wielką radością, choć drżącą już ręką, w kilka lat potem przynosił tym dzieciom (jak kiedyś kwestującej Malwinie) pierzaste goździki. Dzęga za zdrowie wszystkich kniazów Mel-

sztyńskich *węgorze i szczupaki* szczęśliwie znowu poławiać zaczął i nieraz w długich swoich bajaniach utrzymywał, że to jego węgorze sprawiły, że nareszcie wszyscy są szczęśliwymi, bo jednak, mówił, żeby wtedy po miesiącu Dżęga nie był węgorzów poławiał, chusteczka owa biała nie byłaby się w jego sieć wplątała, i kochany mój drugi książ, którego z przeproszeniem wtedy czystym warjatem sądziłem, byłby za tym gałgankiem w Wisłę wpadł i utonął. Ale ja jednak do dzisiejszego dnia dobrze nie rozumiem, dlaczego ten dobry pan chciał wtedy robić warjacje, dokładał Dżęga, mruczając pod nosem.

Młynarka z Zienkowa, pocziwa Frankowska i stary Marcin kredencierz nigdy już Krzewina nie porzucili. Frankowska do śmierci Malwiny nie odstąpiła i z młynarką dzieci jej i Wandy wypiaستowała, a stary i zasłużony jeszcze u jej ojca Marcin dzieciom tym, na ręku ich nosząc, długie bajki prawił, których one z większą cierpliwością słuchały jak niegdyś ich matki.

W innym stanie i na innym zupełnie horyzoncie jedna z aktorek także mojej powieści, owa sławna Doryda, przez czas jakiś w tonie, w ubiorach, w pojazdach, w elegancji jeszcze prawa dawała. Ale w kilka lat mniej ładną, mniej świeżą zostawszy, i gdy młodsze i świeższe od niej na świat się pokazały, sławna Doryda, od nikogo nie ulubiona, bo nikogo nie lubiła, od nikogo nie żałowana, bo dokuczała wielu, nie mogąca wytrzymać życia wielkiego świata, gdzie pierwszych ról grać już nie mogła, a nie umiejąca się zatrudniać w samotności, ciężaru nudów znieść dłużej w Warszawie nie mogąc, umyśliła nareszcie długie przedsięwzięcie podróże, i tęsknotę swoją z miejsca na miejsce przenaszając, nie więcej szczęścia za granicą, jak na ojczystej ziemi znalazła.

Przyjaciół jej, a raczej współ-towarzysz intryg, któremi wzruszała społeczność stolicy w czasie swego w niej panowania, major Lisowski, nieco zrazu w swej miłości własnej dotknięty zamęsciem Malwiny, uczuł to tem mocniej, gdy ona, przyjechawszy do Warszawy, łagodniejsza, miłsza, weselsza jak kiedykolwiek, uprzejmość i każdego powszechnie oklaski bardziej jeszcze jak wprzód dla siebie zyskała. Major nasz, chcąc na tej niewdzięcznej zemścić się Malwinie, umyślił wtedy udać się do Wandy i zaczął do niej palić ofiary, ale niestety wkrótce poznał, że u pustej Wandy nie lepiej jak u tkliwej Malwiny zabiegi jego były przyjmowane; rozgniewany przeto na wielki świat

i na miłość prawdziwą, porzucił miasto i przy pułku swoim na prowincji osiadł szczęśliwie. Tam rozpostarł całą swoją nieoszacowaną elegancją, napelniając zazdrością sąsiadów, admiracją i chęcią przywłaszczania sobie takiego niewolnika sąsiadki, i nareszcie te triumfy, walcowania swoje doskonałe, kasztanka jedyne, fraki, żyłety,¹ karykle² etc. etc. wszystko to złożył u nóg Florynki, która od roku będąc za mężem, była ową jaśniejącą gwiazdą, która w tamtych stronach wszystkie inne ćmiła planety. Florynka, mniej wymyślną będąc, niż Malwina i Wanda, z wdzięcznością przyjęła oświadczenie majora. Miłostki jego biorąc za miłość, jakowej jeszcze świat nie widział, mężowi wyperswadowała, że on mieć nie może lepszego od majora Lissowskiego przyjaciela, i upojona próżnością urojonych nad wszystkimi kobietami w powiecie swoim triumfów, najszczęśliwszą się sądziła być pomy... póki major nasz, nasycony dziecinna jej pięknnością, jednego dnia porzucił szczęśliwie to bożyszcze dla nowej tam przybyłej damy! Ani wspomniał odtąd Florynki, która spodziewając się i długi i ważny z nim romans prowadzić, temu urojeniu cnotę, spokojność i szczęście poświęciwszy, nie stała się nawet w pamięci majora znaczącą epizodą.

Wanda, wesole i łagodne pobbżazania łącząc do wielu innych przymiotów, potrafiła w niedługim bardzo czasie tyle do siebie przywiązać męża swego, iż gdy minął ten pierwszy zapal miłości, którym gorzał dla niej, jak dawniej dla wielu innych kobiet, ksiązę Melsztyński najszczerzej przywiązał się do żony tem stałem uczuciem, którego dla żadnej innej kobiety w życiu nie doświadczył.

W Malwiny zaś sercu ni czas ni lata nie odmieniły tej powabnej, wyłącznej miłości, która z pierwszym rzutem oka w sercu jej była się wszczęła dla Ludomira; równie takż niezmienne i do końca życia od niego była kochaną tą miłością, której wdzięki ujmujące życie, świat każdy dzień, każdą godzinę czarującym napelniają szczęściem, ale które zwyczajnie nader krótko trwają... Dla szczęśliwej Malwiny przez długie lata stały się one codzienną własnością, i kilkoro już dzieci szczęście jej pomnażało, gdy dnia jednego pierwszą i ostatnią chmurką zazdrość tylko co tego szczęścia nie zasępiła. Dnia tego cała familja zebrana będąc w Krzewinie, wszyscy na owej ławce na wale pod rozłożystym siedzieli kasztanem. Ksiązę Melsztyński tysiąc figlów podług zwyczaju

¹ żyłety — z franc. gilet (kamizelka).

² karykle — karykiel: powóz mały, lekki (z niem. Karikel).

dokazując z dziećmi, między innemi żartami ten był wymyślił, żeby kresę nad okiem udać sobie podobną tej, którą w istocie miał Ludomir z rany pod Mohilewem odebranej i która go jedynie od brata różniła. Temi figlami zaprzątńiona i zabawiona tą pustotą, Malwina Ludomirowi zdała się bardziej zajęta księciem Melsztyńskim jak zwykle, co go naówczas boleśnie dotknęło. Malwina niezaraz na to uważała; lecz spojrzawszy na męża, postrzegła na jego twarzy wyraz smutku. Pierwszy raz to było od momentu ich pobrania się, że takowy wyraz na jego postrzegła twarzy; tem bardziej ją to przeraziło. Serce Malwiny natychmiast serce Ludomira zrozumiało; najszczerzej rozrzewniona, chwyciwszy go za rękę *Niewdzięczny* i lży mając w oczach cicho mu powiedziała. — To słowo, które już dwa razy losu jego było wyrokiem, trzeci raz i odtąd na zawsze moc miało serce jego zupełnie uspokoić, napełniając go najprawdziwszą i wygasnąć niezdolną szczęśliwością.

KONIEC





Kochanowskiego PIĘŚNI, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki*
WYBOR KAZAN STAROPOLSKICH, w oprac. prof. *ks. J. Fijałka*
Kościuszki PISMA I LISTY, w opracowaniu *Henryka Mościckiego*
Kraśńskiego IRYDJON, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki*
Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota*
Kraśnickiego PRZYPADKI DOŚWIADCZYŃSKIEGO, w opracowaniu
prof. *Bronisława Guhrynowicza*

Zamojskiego WYBOR MÓW I LISTÓW, w opr. prof. *St. Łempickiego*
SONET POLSKI, w opracowaniu prof. *Władysława Folkierskiego*
Słowackiego POWIEŚCI POETYCKIE, w opr. prof. *Manfreda Kridla*
Malczewskiego MARJA, w opracowaniu prof. *Józefa Ujejskiego*
Szarzyńskiego POEZJE, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki*
Kraśnickiego SATYRY, w opracowaniu prof. *Ludwika Bernackiego*
Słowackiego BALLADYNA, w opracowaniu prof. *Juljusza Kleinera*
FILOMACI I FILARECI, w opracowaniu prof. *Józefa Kallenbacha*
Fredry PAN JOWIAŁSKI, w opr. prof. *Eugenjusza Kucharskiego*
Konarskiego WYBOR PISM POLITYCZNYCH, w oprac. prof.

Władysława Konopczyńskiego

Ujejskiego WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Michała Janika*
Górnickiego DWORZANIN, w opr. prof. *Jana Bóloz-Antoniewicza*
i prof. *Stanisława Łempickiego*

W drugiej serii

BIBLIOTEKI NARODOWEJ POŚWIĘCONEJ ARCYDZIEŁOM LITERATURY OBCEJ

ukazują się:

Sofoklesa ANTYGONA w opracowaniu prof. *Kazimierza Morawskiego*
Plutarcha ŻYWOTY SŁAWNYCH MĘŻÓW, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki*
Ajchylosa PROMETJUSZ, w opracowaniu prof. *Stanisława Witkowskiego*
Homera ILJADA, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki*
Sofoklesa EDYP KROL, w opracowaniu prof. *Kazimierza Morawskiego*
Homera ODYSSEJA, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki*
Owidjusza PRZEMIANY, w opracowaniu prof. *Gustawa Przychockiego*
Danteo WYBOR PISM, w opracowaniu prof. *Stanisława Wędkiewicza*
Tassa JERUZOLIMA WYZWOLONA (wybór), w oprac. prof. *Romana Pollaka*
Corneille'a CYD, w opracowaniu prof. *Władysława Folkierskiego*
Cervantesa DON KICHOT, w opracowaniu prof. *Stanisława Wędkiewicza*
Calderona KSIĄŻE NIEZŁOMNY, w opracowaniu prof. *Władysława Folkierskiego*

BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

sprowadzać można za pośrednictwem każdej księgarni oraz wprost od

KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

(KRAKÓW, UL. ŚW. FILIPA L. 25)